PRZEMOC W PRACY
Feudalny klimat naszej codzienności

ROZDARTE JĘZYKI
Co masz na myśli, kiedy mówisz „Konstytucja”

JAK POKONAĆ ODRĘ
Możemy się jej pozbyć na zawsze, ale...

INDIE NIE ISTNIEJĄ
Arundhati Roy o największej demokracji świata

Kraków 18 listopada 2018 nr 47 (3619) cena 8 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Polska szkoła świętowania

ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425
47
9 770041 480802

REKLAMA

Kraków

JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA

KRAKOWSKIE NOCE 2019

Noc Muzeów 17/18 maja

Noc Teatrów 15/16 czerwca

Noc Tańca 16/17 czerwca

Noc Jazzu 13/14 lipca

Noc Cracovia Sacra 14 i 15 sierpnia

Noc Poezji 12/13 października

KRAKOWSKIE
noce

www.krakowskienoce.pl

KS. ADAM

Boniecki: *W nabożnym opakowaniu*

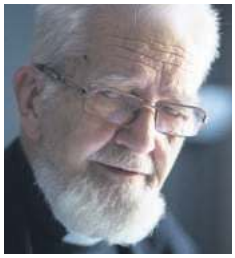

Czy ks. Wojciech Lemański był ofiarą mobbingu? Dyskutowano o tym bodaj w roku 2013. Zuzanna Radzik i Zbigniew Nosowski twierdzili, że był. Polemizowała z nimi twardo Alina Petrowa-Wasilewicz: to raczej ks. Lemański nękał abp. Hosera. Kto miał rację? Z materiałów prekursora badań nad mobbingiem prof. Leymanna wynika, że w 81 proc. przypadków prześladowcą jest przełożony, w 14 proc. równy rangą, w 5 proc. podwładny. Mobbing – przypomnijmy – oznacza terror psychiczny: szykany, upokarzanie, poniżanie, ośmieszanie, zaniżanie samooceny, zastraszanie itd. – w komunikacji „nie wprost".

Może ktoś pamięta, że w listopadzie 2011 r. odbyło się w Krakowie dwudniowe sympozjum naukowe „Mobbing w białych rękawiczkach". Było zorganizowane przez Uniwersytet Papieski Jana Pawła II i Polskie Towarzystwo Teologiczne. Inicjatorem i organizatorem sympozjum był rzecznik Archidiecezji ks. dr Robert Nęcek (który uważa, że „znęcanie się nad pracownikiem, bo tym jest właśnie mobbing, jest grzechem wołającym o pomstę do nieba"). Patronat objął kard. Stanisław Dziwisz. W liście do uczestników przypomniał słowa Jana Pawła II: „Człowiek w pracy nie jest przedmiotem, którym można dowolnie dysponować i poniewierać, lecz podmiotem, który należy traktować z godnością". Na wspomnianym sympozjum zjawisko mobbingu zostało omówione w różnych aspektach, począwszy od przyczyn, a na skutkach psychologicznych i społecznych skończywszy. Głos zabrali teologowie, psychologowie, socjologowie, lekarze i prawnicy, specjaliści w zakresie prawa pracy.

Wydawało się, że obszerny program i udział wybitnych specjalistów pozwoliły naświetlić wszystkie możliwe aspekty mobbingu. Jednak dziwnym trafem nie zastanawiano się tam nad zjawiskiem mobbingu w Kościele. Zapytany o to ks. Nęcek wyjaśnił, że nie wyobraża sobie takiej sytuacji „we wspólnocie, która głosi prawo miłości i prawo prawdy", jak również i tego, że „Kościół, który głosi prawa człowieka, miałby je deptać". Jeśli w pojedynczych przypadkach dochodziłoby do takich sytuacji, zaznaczył, „jest to godne potępienia".

Władza w Kościele, mająca swe uzasadnienie w Ewangelii („Kto was słucha, Mnie słucha, kto wami gardzi, Mną gardzi, lecz kto Mną gardzi, gardzi Tym, który Mnie posłał", Łk 10, 16), w wykonaniu ludzi sprawujących ją na jakimkolwiek szczeblu w Kościele, właśnie przez swój religijny charakter otwiera jednak szerokie możliwości nadużyć także w praktyce mobbingu. Przecież specjaliści zwracają uwagę, że mobbingowi sprzyjają sztywne struktury społeczne, umożliwiające sprawowanie władzy z pozycji siły, organizacje o skostniałym, zhierarchizowanym sposobie zarządzania, a dobrym gruntem dla mobbingu są organizacyjny nieporządek oraz nieporadne czy niekompetentne zarządzanie.

Ważne też są osobowe cechy przełożonego-dręczyciela, do zaobserwowania także czasem u kościelnych przełożonych. To zwykle osoba przeceniająca swoje umiejętności i wiedzę, nieprzyjmująca krytyk, zazdrosna, dążąca do zachwiania wzajemnego zaufania wśród podwładnych, starająca się doprowadzić nękanego pracownika do niskiej samooceny i niskiej oceny przez kolegów.

Niestety, ta choroba nie omija instytucji kościelnych. Czyż przyczyną wielu dramatycznych odejść od kapłaństwa lub z zakonów, a także pokornie znoszonych cierpień, nie jest mobbing, tym gorszy, że opakowany we frazeologię religijną? Nie słyszałem, by jakaś kościelna instytucja prowadziła szkolenia księży (i biskupów) w tej materii albo szukała pomocy w rozbudowanej dziś sieci wyspecjalizowanych ośrodków, np. w poradniach Krajowego Stowarzyszenia Antymobbingowego. A szkoda. ©℗

TP

Zapraszamy na spotkania z ks. Adamem Bonieckim

GDAŃSK
czwartek, 15 listopada, godz. 18.00
spotkanie „Co dalej z Kościołem w Polsce?". Miejsce: Ratusz, ul. Długa 46

WROCŁAW
środa, 21 listopada, godz. 17.00
Miejsce: Ratusz, Sala Mieszczańska, Rynek 50

WARSZAWA
środa, 28 listopada, godz. 18.00
spotkanie autorskie, promocja wywiadu rzeki Anny Goc „Boniecki. Rozmowy o życiu". Miejsce: Muzeum POLIN, ul. Anielewicza 6.

Kontakt w sprawie spotkań:
kuczminska@tygodnik.com.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

84 Polska szkoła świętowania
MARCIN NAPIÓRKOWSKI
Nie ma jednej Polski, która mogłaby wspólnie przeżywać rocznicę niepodległości. A może nigdy jej nie było?

58 Jak pokonać odrę
BARTOSZ KABAŁA
Nie jest chorobą niewinną ani łagodną, grozi poważnymi powikłaniami i śmiercią. Wzrost zachorowań na nią nie jest spowodowany silniejszym wirusem ani spadkiem efektywności szczepionki. Problemem jest rezygnacja ze szczepień.

22 Rozdarte języki
MARCIN MATCZAK
Nowomowa narzucona przez władzę dzieli ludzi w sposób najgorszy z możliwych. Wypowiadamy te same słowa, lecz znaczą one coś przeciwstawnego.

54 U stóp świętego Wacława
ANDRZEJ KRAWCZYK
Esencją historycznych przemian sprzed stu lat były trzy wydarzenia: ograniczenia narzucone Niemcom, odrodzenie Polski i powstanie Czechosłowacji. Oto historia tego ostatniego.

32 Piękno pozwala wrócić
ROZMOWA Z ANDRZEJEM PTAKIEM, OPIEKUNEM BEZDOMNYCH: *Dzień Ubogich jest wydobyciem bezdomnych z niewidzialności i zarazem świętowaniem ich człowieczeństwa.*

70 Milczeć jest trudniej
MAREK RABIJ
Indie nie istnieją. To wytwór chorej wyobraźni tych, którzy ich obsesyjnie pragną – mówi Arundhati Roy, najbardziej znana współczesna pisarka indyjska.

KRZYSZTOF KAPICA / POLSKA PRESS / EAST NEWS // JIM VARNEY / SCIENCE PHOTO LIBRARY / EAST NEWS // ZYGMUNT JANUSZEWSKI // DOMENA PUBLICZNA // MISER ART // GRAŻYNA MAKARA

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Marsz z dziegciem
PAWEŁ BRAVO

7-11 Wiadomości / Komentarze

20 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ / PAWEŁ ŚPIEWAK / O. WACŁAW OSZAJCA / PIOTR SIKORA

62 Tygodnik Czytelników

■ ■ KRAJ

22 Rozdarte języki
MARCIN MATCZAK

26 Dołki i szczyty
JAROSŁAW FLIS: *W wyborach samorządowych PiS wyszedł z dołka – ale wcale nie jest górą*

28 Tabletką we wszystko
KRZYSZTOF STORY: *Na suplementy diety wydajemy ponad 4 miliardy rocznie*

31 Popsuta Superniania
ANNA GOLUS: *Wciąż nie zwracamy uwagi na słowa, gdy mówimy o dzieciach*

■ ■ WIARA

32 Piękno pozwala wrócić
ROZMOWA Z ANDRZEJEM PTAKIEM

36 Monarchia czy demokracja
JÓZEF MAJEWSKI: *We współczesnym Kościele odpowiedzialność za wspólnotę leży wyłącznie w rękach księży*

39 Zielona parafia DOROTA BIDZIŃSKA *o przewodniku ekologicznym, który powstał w diecezji sosnowieckiej*

■ ■ ŚWIAT

42 Białoruś na rozdrożu
WOJCIECH KONOŃCZUK: *Władze modyfikują politykę tożsamościową, która dotąd miała charakter neosowiecki*

■ ■ TEMAT TYGODNIKA ■ ■

12 Feudalny mamy klimat
MICHAŁ KUŹMIŃSKI, MICHAŁ OKOŃSKI, MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, RAFAŁ WOŚ
Jeśli każda władza deprawuje, to władza pracodawcy w kraju bez bezrobocia może być największą szarą strefą przemocy.

Jak sprawdzić, czy jesteśmy mobbingowani? Jak się przed tym bronić?

Specjalny raport „Tygodnika” o mobbingu, codziennej patologii polskiej pracy.

TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

■ DODATEK SPECJALNY ■

KRZYSZTOF PENDERECKI. 85 LAT

■ FELIETONY ■

41 SZYMON HOŁOWNIA **53** ANDRZEJ STASIUK
82 JAN KLATA **83** PAWEŁ BRAVO
90 STANISŁAW MANCEWICZ **90** BARTOSZ MINKIEWICZ

Na okładce: SŁAW SOCHACKI „Współczesny Stańczyk”
Fotografia: JUSTYNA KRZEPKOWSKA I JÓZEF GAŁKA / WOLNE STUDIO
Redaktor prowadzący: PIOTR MUCHARSKI

46 Referendum nad Trumpem
JAN SMOLEŃSKI *po wyborach uzupełniających do Kongresu*

48 Jasnowłosa i trolle
PATRYCJA BUKALSKA: *Fiński sąd skazał dwóch prorosyjskich aktywistów, którzy szerzyli fałszywe informacje. To precedens*

50 Ekstremiści wokół nas
ROZMOWA Z NIKLASEM ORRENIUSEM, AUTOREM KSIĄŻKI „STRZAŁY W KOPENHADZE”

■ ■ HISTORIA

54 U stóp świętego Wacława
ANDRZEJ KRAWCZYK

■ ■ NAUKA

58 Jak pokonać odrę
BARTOSZ KABAŁA

■ ■ KULTURA

70 Milczeć jest trudniej
MAREK RABIJ

74 Kto zamawia ruskie?
ROZMOWA Z KONSTANTYM USENKĄ, MUZYKIEM I PISARZEM: *Modelem rosyjskiego świata jest sinusoida*

78 Bożonarodzeniowa apokalipsa
JAKUB MAJMUREK *o serialu „Ślepnąc od świateł”*

80 Przez dotyk
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Touch Me Not”*

81 Warto zobaczyć w TV

82 Powrót ważnej książki
LEKTOR *o książce „Tablica z Macondo. Osiemnaście prób wytłumaczenia, po co i dlaczego się pisze” Stanisława Barańczaka*

■ ■ ZMYSŁY

84 Polska szkoła świętowania
MARCIN NAPIÓRKOWSKI

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Strona świata
Kardynał Laurent Monsengwo Pasinya kilka razy mógł zostać prezydentem Konga, wymieniany był także jako kandydat na papieża – **WOJCIECH JAGIELSKI** *portretuje duchownego, który może jeszcze zamieszać w lokalnej polityce*
tygodnikpowszechny.pl/stronaswiata

Woś się jeży
Kibol to współczesny kozioł ofiarny. Rodzaj worka treningowego, na którym można wyładować rozliczne frustracje – **RAFAŁ WOŚ** *namawia, by zakończyć nagonkę i przyjrzeć się kibicowskiemu światu*
tygodnikpowszechny.pl/wossiejezy

17 mgnień Rosji
Pewien cichy pułkownik austriackiej armii przez ostatnie dwadzieścia lat pracował na rzecz rosyjskiego wywiadu wojskowego – **ANNA ŁABUSZEWSKA** *prognozuje, że temperatura uczuć Wiedeń-Moskwa odczuwalnie spadnie*
labuszewska.blog.tygodnikpowszechny.pl

/TygodnikPowszechny ■ /Tygodnik ■ /Tygodnik ■ YouTube /TygodnikPowszechny

MARSZ Z DZIEGCIEM

Taki był ten 11 listopada, jak i cały poprzedzający go rok.

PAWEŁ BRAVO

Warszawa, 11 listopada 2018 r.

KUBA ATYS / AGENCJA GAZETA

11 LISTOPADA 2018 R. OBNAŻYŁ SŁABOŚCI i śmieszności polskiego państwa, którego stulecie nowoczesnego żywota mieliśmy obchodzić, małość jego elit, a jednocześnie jakże często sprawdzającą się tu zasadę, że improwizacja, prowizorka i nagłe łatanie okazują się *per saldo* prowadzić do pożytecznych skutków.

Po miesiącach pełnych lokalnych inicjatyw (o czym pisze w dalszej części tego numeru Marcin Napiórkowski) powinniśmy raz a dobrze, na skalę całego kraju i centralnie, zdmuchnąć świeczkę na biało-czerwonym torcie. A jednak kiedy przyszło do projektowania czegoś najbardziej oczywistego – uroczystej parady przez stolicę – dał o sobie znać jeszcze mocniej niż poprzednio (bo pomnożony przez symboliczne „sto") problem, jaki rządząca Polską prawica ma ze skrajną prawicą.

W sensie politycznym znaczy ona tyle co nic, ale od paru lat potrafiła, na ten jeden dzień w roku, 11 listopada, skutecznie zagospodarować ulicę, prowadząc marsze, którym od kilku lat nie sposób odmówić masowości, mimo że zachowują swój radykalno-pogromowy posmak. Klasa polityczna, nawet rozumiejąc szkodliwość wizerunkową falangistowskiego festynu, niespecjalnie miała dotąd pomysł, co z tym fantem uczynić – wszak formalnie były to zgodne z ustawą imprezy, zgłoszone przez legalne organizacje. Wystarczyło zamknąć oczy i odczekać do następnego listopada.

Aż do teraz, do 11 listopada 2018 r., kiedy nagle się okazało, że organizacje te są nie tylko

całkiem legalne, lecz także na tyle bezczelne, aby traktować jedyną imprezę naprawdę potrafiącą ściągnąć tłumy jak swoją własność – i twardo negocjować ewentualny patronat oraz udział dostojników państwowych. Właśnie to chyba mogło najbardziej boleć w poprzednim tygodniu: nie samo istnienie wiecowo-pogromowej łobuzerii odtwarzającej mroczne nurty polskiej polityki sprzed prawie stu lat – przy serdecznym wsparciu kolegów z zagranicy, dla których, w odróżnieniu od naszych dziarskich chłopców, epitet „faszyści" nie jest wcale przesadą – ile miękkość prezydenta Polski.

Andrzejowi Dudzie najwyraźniej nie przeszło przez myśl, że skoro tak lubi mówić o łączeniu ponad podziałami, to ma obowiązek użyć wszystkich środków państwa – podobno już sprawnego – aby rodacy nie musieli, chcąc pójść w marszu patriotów, ulegać szantażowi skrajnych organizacji, niezgodnych z polską kulturą polityczną.

Trudno policzyć, ilu z ćwierć miliona ludzi, którzy przyszli na marsz w ubiegłą niedzielę, uczyniło to, bo wskutek nagłej improwizacji władz – sprowokowanej (na szczęście?) przez stołeczny ratusz – cały marsz zyskał status neutralny, „państwowy", biało-czerwony. Na pewno znaczna ich część – gdyby zapytać ich wprost o poparcie dla rasizmu, przemocy i całkowite odrzucenie integracji europejskiej – odpowiedziałaby negatywnie. Obecność w dalszej części marszu emblematów ONR czy Młodzieży Wszechpolskiej (wraz z przedziwną galerią portretów, gdzie obok Dmowskiego i Kasznicy widnieli Sienkiewicz i prymas Wyszyński...) była tym, czym w istocie jest: przykrym zgrzytem i zarazem memento, że wszelkie emocje zbiorowe potrafią się degenerować.

Owszem, tym razem wszystko przebiegło spokojnie i skrajności zostały tam, gdzie ich miejsce – na marginesach. Ale to nie wynik świadomego działania władzy. W dniach poprzedzających 11 listopada 2018 r. jej przedstawiciele odmieniali słowa „jedność" i „wspólnota" przez wszystkie przypadki. Być może ośmielone tym przypadkowym sukcesem pokażą za rok, że państwo polskie istotnie wstaje z kolan – przed swoimi wewnętrznymi wrogami, którym ojczyzna co prawda z ust nie schodzi, ale którzy chcieliby ją urządzić tak, że dla większości z nas nie byłoby w niej miejsca. ©℗

Sześć dni Donalda Tuska

MICHAŁ OKOŃSKI

Najpierw starcie z sejmową komisją śledczą w sprawie afery Amber Gold, później przemówienie na „Igrzyskach Wolności" w Łodzi, a w końcu udział w obchodach 11 listopada (rano przyciągnął media i wielbicieli pod pomnik Piłsudskiego, w południe zajął wskazane mu miejsce w tylnych rzędach zaproszonych na państwowe uroczystości, choć jako przewodniczący Rady Europejskiej był niewątpliwie gościem najwyższym rangą). Intensywne to było i dało przedsmak tego, co może nas czekać w przyszłym roku, o którym spekuluje się, że Donald Tusk skróci brukselską kadencję, by stanąć na czele polskiej opozycji.

Zapowiadało to zwłaszcza łódzkie przemówienie – ze wszystkim, co w nim było. Kontekstem międzynarodowym, gdzie jako polityk z Brukseli mówił do audytorium znacznie szerszego niż polskie. Wiecowością, na której karb należy złożyć frazę o „współczesnych bolszewikach" i która nie wróży raczej obniżenia temperatury debaty. Sprawnym połączeniem tematów historycznych z bieżącym sporem – także ustawieniem obok siebie Piłsudskiego i Wałęsy (oraz wspomnieniem Kuronia). Pomysłem politycznym: wezwaniem, by powstał komitet, który przygotuje przyszłoroczne obchody 3 Maja (czyżby właśnie wtedy miał oficjalnie ogłosić powrót?).

Tych sześć dni pokazało, że wśród polskich polityków Tusk nie ma sobie równych w kwestii medialnej charyzmy („Nie, ja umiem" – odpowiedział przed komisją śledczą na uwagę, że lubi występować przed kamerami) i że wielu z tych, których zmęczyło się jego stylem podczas ośmiu lat rządów, dziś tęskni. Pokazało jednak także marazm opozycji, która poza jego powrotem nie ma nadziei, zasobów ani koncepcji. Jako miłośnik futbolu były premier wie, że nawet najbłyskotliwszy drybler nie wygra meczu w pojedynkę – i pewnie dlatego wciąż jeszcze nie powiedział, czy w kolejnym sezonie zagra na polskich boiskach. ©℗

Policyjna grypa protestacyjna

MICHAŁ KUŹMIŃSKI

Trudno było nie trzymać kciuków za protest policjantów. System, w którym za dbanie o nasze bezpieczeństwo (kosztem zdrowia i więzów z rodziną, czasem życia) dostaje się na rękę 3-4 tys. zł bez pełnopłatnych nadgodzin, to chory system. Trudno nie zrozumieć ich desperacji, poczucia upokorzenia i wykorzystywania przez władzę, która pod Sejmem skonfliktowała ich ze społeczeństwem, a teraz zamyka oczy. Znikając z pracy przed obchodami 11 listopada, chcieli władzy powiedzieć: spróbujcie to opanować bez nas.

Trudno się dziwić, że skoro Ustawa o Policji zabrania im strajku (art. 67 pkt 2), nie dostrzegli innego wyjścia niż masowe zwolnienia lekarskie. Chce się wierzyć, że – jak mówili związkowcy – na L4 szli ci, którzy dotąd pracowali przeziębieni i chorzy. Ale sami policjanci słali sygnały, że to nie choroba, lecz protest. Trudno się wreszcie dziwić, że w kraju, gdzie normalne jest „załatwianie" zwolnień, zaświadczeń itd., te masowe L4 nikogo nie obeszły.

Ale koszt sukcesu policjantów jest taki: służba, która ma stać na straży przestrzegania prawa, wywołała przekonanie, że masowo wyłudzała świadczenia dla swej korzyści. Kosztem wyboru takiej formy protestu będzie spadek zaufania do policji (i lekarzy). Policyjna grypa będzie miała powikłania. ©℗

RDC POLSKIE RADIO

PATRYCJA BUKALSKA opowie Grzegorzowi Chlaście o pierwszym wyroku za fake newsy (czytaj na s. 48) w środę 14 listopada o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można odsłuchać także w podcastach na stronie internetowej radia.

Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM | Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Posłowie i szczepionki

MACIEJ MÜLLER

Sejm odrzucił obywatelski projekt ustawy znoszącej obowiązkowość szczepień. Posłowie PiS, w październiku głosujący (wbrew stanowisku rządu!) za przekazaniem go do prac w komisjach – jak twierdzili, z szacunku dla inicjatyw obywatelskich – w ostatni piątek wspólnie z opozycją odesłali dzieło ruchów antyszczepionkowych do kosza. Wcześniej taką decyzję zarekomendowały sejmowe komisje zdrowia i polityki społecznej. Trudno było podjąć inną wobec rosnącej liczby rodziców odmawiających szczepienia dzieci (30 tys. w 2017 r.) i kolejnych zachorowań na odrę. NIK spodziewa się w tym roku jeszcze więcej odmów. Prezes Izby alarmuje: trend antyszczepionkowy się umacnia, a żeby go powstrzymać, państwo powinno częściej sięgać po narzędzia przymusu (grzywny, zwykle kilkaset złotych).

Inną strategię proponują wrocławscy społecznicy Rober Wagner i Marcin Kostka: zbierają podpisy pod projektem przewidującym utrudnienia w zapisaniu nieszczepionych dzieci do żłóbków i przedszkoli (chodzi o dodatkowe punkty przy rekrutacji za komplet szczepień). W akcję włączyły się w zeszłym tygodniu izby lekarskie i aptekarskie. Warto wspomnieć, że w 2017 r. promowania takiego rozwiązania odmówił – wbrew stanowisku samorządu lekarskiego – minister Konstanty Radziwiłł. Dwa lata wcześniej uchwałę radnych Częstochowy, aby placówki przyjmowały tylko dzieci szczepione, uchylił wojewoda (wsparty potem przez wojewódzki sąd administracyjny). Wygląda na to, że krótkowzroczna strategia PiS „przytulenia" przed wyborami środowisk antyszczepionkowych oraz widmo odry przyczyniły się do mobilizacji proszczepionkowej strony sporu. ©℗

Tłumacz migowy dla służb

„WETERYNARIA": z takim określeniem można spotkać się w środowisku osób głuchych na określenie tego, jak są często traktowani w gabinetach lekarskich. Obecna ustawa o języku migowym nie zobowiązuje lekarzy, ratowników medycznych, policjantów czy strażaków do wysiłku skomunikowania się z głuchymi, posługującymi się ich naturalnym językiem migowym. W efekcie 100 tys. Polaków ma w takich sytuacjach duży kłopot.

U lekarzy dotąd głusi radzili sobie sami: np. prosili członków rodziny, by im towarzyszyli (biorąc urlop) lub płacili zawodowcom (szli do gabinetu z telefonem i łączyli się z tłumaczem).

Senat przygotowuje właśnie zmianę przepisów, by na służby ratunkowe nałożyć obowiązek świadczenia usług tłumacza migowego. Raport NIK, do którego odnoszą się senatorowie, pochodzi jeszcze z 2015 r., a jego pierwsze zdanie brzmi: „Polskie urzędy nie traktują osób głuchoniemych z należytą powagą". Niestety zmiana nie obejmie gabinetów lekarskich. ©℗ ANNA GOC

W SKRÓCIE

NOWE STULECIE. Stan powietrza jest dziś zły – informuje Główny Inspektorat Ochrony Środowiska w pierwszym dniu nowego stulecia. Ma na myśli smog, rzecz jasna. Z powodu złych warunków atmosferycznych Andrzej Duda nie dotarł do Gorzowa Wielkopolskiego na tamtejsze obchody 11 listopada.

RADEK PIETRUSZKA / PAP

NOWY POMNIK. Na szczęście dotarł do Warszawy, na plac Piłsudskiego, gdzie odsłonięto pomnik Lecha Kaczyńskiego. „Od czasów marszałka Józefa Piłsudskiego tak wielkiego przywódcy nie było" – powiedział obecny prezydent o swoim poprzedniku, choć bliższe rzeczywistości były chyba słowa innego mówcy, Jarosława Kaczyńskiego, że odsłonięcie pomnika „to nasze zwycięstwo, to dowód na to, że chcieć to móc".

NOWY STYL WYWIADU. Stanisław Janecki (Polskie Radio 24) do Beaty Szydło: „Dlaczego jest pani tak atakowana, choć wydaje się to absurdalne, bo pani nie budzi żadnej agresji?". Jarosław Kurski („Gazeta Wyborcza") do Donalda Tuska: „Dziś jesteś jedynym Polakiem na tyle rozpoznawanym na świecie, że najszybciej zdołasz posprzątać ten bałagan. Nikt nie ma takiego notesu ani wiarygodności – telefonu do umownej Merkel czy Macrona. Ktokolwiek zostanie prezydentem po tym niepowtarzalnym Andrzeju Dudzie, nie odbuduje pozycji Polski tak szybko. Czy z tego nie wynika dla ciebie jakiś imperatyw?".

NOWA TRÓJKA. Przykładów dziennikarskiej uprzejmości znalazłoby się zresztą więcej. W Programie III Polskiego Radia np. Wojciech Reszczyński postanowił nie przerywać i nie przywoływać do porządku gościa audycji, muzyka Pawła Piekarczyka, który nazwał nieżyjącego Władysława Bartoszewskiego „bydlakiem".

Frankowicze biorą sprawy w swoje ręce

22 POZWY dotyczące kredytów walutowych zakończyły się prawomocną wygraną kredytobiorców – wyliczył magazyn „Forbes".

Wyroki dają tzw. frankowiczom (większość spraw dotyczy kredytów indeksowanych tą walutą) prawo do przeliczenia długu na złotówki po kursie z dnia zawarcia umowy, ale z zachowaniem korzystnego oprocentowania według stawki LIBOR dla franka. W kilku sprawach unieważniono umowy kredytu, co oznacza, że klienci muszą zwrócić bankowi tylko tyle, ile pożyczyli (z odliczeniem spłaconych rat). Banki przegrywają zwykle dlatego, że w umowach umieściły odwołania do własnych tabeli kursów walut bez wskazania zasad, według których ustalają te kursy.

Do sądów trafiła dotąd, jak szacuje „Forbes", najwyżej co dziesiąta umowa kredytu walutowego (zawarto ich ponad 600 tys.). Liczba takich pozwów może jednak wzrosnąć, bo do walki z bankami kuszą klientów kancelarie prawne. Bankowcy grają z kolei na przedawnienie, które w tym przypadku następuje po 10 latach. Przypomnijmy, że w kampanii wyborczej PiS obiecywał systemowe rozwiązanie problemu kredytów walutowych. W 2017 r. Jarosław Kaczyński zapowiedział jednak, że frankowicze powinni „wziąć sprawy w swoje ręce i zacząć walczyć w sądach".

Na zdjęciu: protest frankowiczów przed ministerstwem finansów w styczniu 2017 r. ©℗ MAREK RABIJ

LESZEK SZYMAŃSKI / PAP

Co kryje się za liczbami

KS. JACEK PRUSAK SJ

Czy jeden więcej ksiądz o orientacji homoseksualnej to jeden więcej chłopak będący ofiarą wykorzystania ze strony duchownych? Taką odpowiedź sugerują autorzy raportu sporządzonego przez Ruth Institute, organizację pozarządową zajmującą się głównie badaniem skutków rewolucji seksualnej i tego, jak wpływa ona na młodych ludzi. Twierdzą oni, że pomiędzy wzrostem liczby duchownych o orientacji homoseksualnej wśród kleru amerykańskiego (z 3 proc. w 1950 r. do ponad 16 proc. w 1980 r.) a przypadkami nadużyć seksualnych występuje niemal pełna korelacja, gdyż jej współczynnik wynosi aż 0,98. Jak można rozumieć ten wynik?

Po pierwsze należy pamiętać, że nawet wtedy, kiedy mówimy o silnej korelacji, to nie mówimy o zależności przyczynowo-skutkowej. Po drugie, skoro dwie trzecie ofiar księży to chłopcy, a dwie trzecie sprawców-księży deklaruje się jako osoby heteroseksualne, to wnioskowanie ze współzależności płci ofiar z orientacją sprawców, tak aby zaistniała pełna korelacja (1 do 1), musiałoby oznaczać, że w populacji ogólnej dwie trzecie sprawców czynów pedofilnych to homoseksualiści, ale badania tego nie potwierdzają. Tak więc raport Ruth Institute wskazuje jedynie, że rozkład cechy, jaką jest homoseksualizm, w podpopulacji księży jest wyższy niż w innych podgrupach, ale sama ta grupa duchownych nie jest homogeniczna i mamy w niej statystycznie znaczącą podgrupę księży o niezintegrowanej orientacji psychoseksualnej. To prawda, że specyfika ofiar najwyraźniej odróżnia duchownych wykorzystujących nieletnich od innych przestępców seksualnych, ale wszystko wskazuje na to, że to pozaseksualne motywy czynów pedofilnych, a nie sam homoseksualizm, objaśniają rozkład cech wśród ofiar (płeć) i sprawców (orientacja). Ksiądz molestuje chłopców, bo sam jest chłopcem, który nigdy nie stał się dojrzałym mężczyzną w sutannie. ©℗

„Kler" a stosunek do Kościoła

WIĘKSZOŚĆ POLAKÓW, bo 58 proc., pozytywnie ocenia sytuację Kościoła katolickiego w naszym kraju, jednak w ostatnich latach, a zwłaszcza w ostatnim miesiącu, zauważalny jest w tym zakresie spadek ocen pozytywnych i wzrost negatywnych – podaje CBOS opierając się na badaniach przeprowadzonych przed i po premierze filmu „Kler" Wojciecha Smarzowskiego. Trzy lata temu pozytywnie sytuację Kościoła w naszym kraju oceniało 68 proc. Wzrost krytycyzmu w ocenie sytuacji Kościoła w Polsce nie wpływa jednak na religijność Polaków, która – mierzona deklaracjami wiary i praktyk religijnych – od wielu lat pozostaje stabilna. Od końca lat 90. niezmiennie ponad 90 proc. ankietowanych (obecnie 92 proc.) uważa się za wierzących, w tym ostatnio co dwunasty ocenia swoją wiarę jako głęboką. ©℗ ASK

PEPPE D'ANNA / CATACOMBE DI NAPOLI

KATAKUMBY W NEAPOLU łakomym kąskiem dla Watykanu, który domaga się połowy zysków z biletów za ich zwiedzanie z ostatnich dziesięciu lat (to ok. 700 tys. euro). Do 2008 r. katakumby – miejsce spotkań pierwszych chrześcijan – były zarządzane przez Kościół i przynosiły straty. Oddano je pod opiekę młodzieży, która pozyskała środki, wyremontowała trasy i zwiększyła ruch turystów (z 5 tys. osób w 2008 r. do 120 tys. w 2018 r.), odradzając przy okazji gospodarczo dzielnicę Sanità, jedną z najbiedniejszych w Neapolu. Teraz mieszkańcy obawiają się upadku przedsięwzięcia i proszą papieża o wsparcie. ©℗ EA

Więcej na: **powszech.net/neapol-katakumby**

Błogosławieni cisi

DOMENA PUBLICZNA / WIKIPEDIA.ORG

KULT MICHAŁA GIEDROYCIA trwa od czasów niepamiętnych, dlatego należy wpisać jego nazwisko do kalendarza liturgicznego – ogłosił 8 listopada 2018 r. papież Franciszek, dokonując tzw. beatyfikacji równoważnej. XV wiek to *Felix saeculum Cracoviae*: wychodząc na ulice miasta trudno było nie otrzeć się o jakiegoś przyszłego świętego. Michał Giedroyć (ur. 1425), pochodzący z litewskiego rodu książęcego, niepełnosprawny (miał jedną nogę krótszą), bakałarz teologii, wstąpił do zakonu Kanoników Regularnych od Pokuty w Krakowie, ale odmówił święceń. Całe życie pozostał zakrystianem w kościele św. Marka. Należał do grona przyjaciół profesora Jana z Kęt – obok m.in. Stanisława Kazimierczyka, Jana z Dukli czy Szymona z Lipnicy (wszyscy oni trafili już na ołtarze). Zmarł w 1485 r. Jego proces beatyfikacyjny nie powiódł się; wznowiono go w XX w. dzięki staraniom ks. Wacława Świerzawskiego. ©℗ MACIEJ MÜLLER

Franciszek o antysemityzmie

„CHRZEŚCIJANIN NIE MOŻE BYĆ antysemitą" – przypomniał papież w przemówieniu do delegacji rabinów ze Światowego Kongresu Żydów Górskich. Przedstawiciele tej liczącej ok. 20–25 tys. grupy etnolingwistycznej, żyjącej głównie na Kaukazie, po raz pierwszy w historii przybyli z wizytą do Watykanu. „Jesteśmy zaproszeni do wspólnej pracy nad tym, aby wygnać antysemityzm ze społeczności ludzkiej" – przekonywał Franciszek. Podkreślił, że „wspominanie Holokaustu jest konieczne", gdyż jest „wyciąganiem nauki z najczarniejszych kart historii". ©℗ ASK

Z ozonem jakby lepiej

ŁUKASZ LAMŻA

Pamiętacie dziurę ozonową? Ten najgorętszy temat ekologiczny lat 90. wcale nie stracił na aktualności, choć jego miejsce w debacie publicznej zajęło globalne ocieplenie. Tymczasem dobre wieści płyną z raportu „Scientific Assessment of Ozone Depletion: 2018", stworzonego m.in. przez Światową Organizację Meteorologiczną (WMO) i NASA. Jeden taki raport powstaje raz na ok. cztery lata, od 1987 r., kiedy podpisany został Protokół Montrealski ograniczający użycie zabójczych dla warstwy ozonowej związków, potocznie znanych jako „freony".

O ile wykresy rzadko fascynują (normalnych ludzi), te zamieszczone w raporcie opowiadają naprawdę niezwykłą historię. Widzimy na nich najpierw stopniowy, galopujący wzrost produkcji „freonów" od lat 50., za czym w skali ok. 10-20 lat jak echo postępuje spadek stężenia ozonu. Związki te osiągają nieznane wcześniej na naszej planecie stężenie w latach 80. Potem następuje gwałtowne „szarpnięcie" tuż po 1987 r., przywodzące na myśl depnięcie na pedał hamulca. Od tego czasu produkcja, emisja i zawartość „freonów" dość szybko spadają. Dopiero od ok. 2000 r. natura zaczyna „nadganiać" za naszą decyzją – cóż, atmosferą manewruje się raczej jak tankowcem niż autkiem na baterie. Chyba – chyba! – udało się odwrócić trend.

To piękna ilustracja tego, co mogłoby się wydarzyć z globalnym ociepleniem. Ech, gdyby tylko rezygnacja ze spalania paliw kopalnych była równie prosta, co przestawienie się na inny czynnik chłodniczy do lodówki. ©℗

LICZBA TYGODNIA

4,5 mld

tylu ludzi na świecie żyje bez dostępu do bezpiecznej toalety (tj. takiej, która neutralizuje negatywny wpływ odchodów mogących rozprzestrzeniać choroby, na zdrowie publiczne i warunki życia), a 892 mln ludzi wciąż załatwia swoje potrzeby „w plenerze". ONZ mówi o globalnym kryzysie sanitarnym i ogłasza 19 listopada Światowym Dniem Toalety.

CLODAGH KILCOYNE / REUTERS / FORUM

Stulecie końca Wielkiej Wojny

TWARZE NA PIASKU. Wielkie „malunki" na plażach pokazujące twarze ludzi, którzy wtedy zginęli: taką niezwykłą akcją, prowadzoną w niedzielę 11 listopada w 32 miejscach Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej, liczni Brytyjczycy uczcili ofiary I wojny światowej w stulecie kończącego ją rozejmu. Akcję wymyślił reżyser Danny Boyle. Na plaży w porcie Folkestone, skąd w obu wojnach miliony żołnierzy płynęły na kontynent, „namalowano" twarz Wilfreda Owena: 25-letni poeta zginął 4 listopada 1918 r.; jego rodzice dostali telegram o śmierci syna 11 listopada, gdy dzwony kościelne obwieszczały rozejm. „Malunki" były nietrwałe: wkrótce rozmyły je fale. Akcja była jedną z tysięcy uroczystości, którymi w brytyjskich miastach i wioskach czczono pamięć poległych: podczas tej wojny zginęło 900 tys. żołnierzy armii brytyjskiej (dwa razy więcej niż w II wojnie światowej).

Uroczystości upamiętniające koniec Wielkiej Wojny odbywały się w minioną niedzielę na całym świecie. Największe i dla polityków poniekąd centralne zorganizował w Paryżu prezydent Macron, gdyż to Francja była krajem, na terenie którego przez cztery lata trwały walki na froncie zachodnim: pod Łukiem Triumfalnym stanęli przedstawiciele 80 krajów.

Na zdjęciu: twarz 32-letniej pielęgniarki Rachel Ferguson, która jako ochotniczka służyła w szpitalu na froncie włoskim i zmarła na zapalenie płuc 26 czerwca 1918 r. ©℗ WP / FAZ, DPA, NZZ

Jak bardzo brudna jest piłka

„FOOTBALL LEAKS" to strona internetowa ujawniająca lub przekazująca dziennikarzom śledczym dokumenty i maile, których wielcy i możni tego świata nigdy nie chcieliby nam pokazać. Złudzeń w sprawie czystości współczesnego futbolu wprawdzie nigdy nie było wiele, ale jednak fakt, że sam sekretarz generalny UEFA (dziś umieszczony jeszcze wyżej, bo na szczycie światowej federacji piłkarskiej) Gianni Infantino pisał czołobitne maile i doradzał arabskim właścicielom Manchesteru City czy Paris Saint Germain, jak mogą obejść zasady tzw. finansowego fair play, robi niejakie wrażenie. Podobnie jak wiadomość o negocjacjach i tak najbogatszych klubów, które w celu dodatkowego zwiększenia dochodów zastanawiają się nad opuszczeniem macierzystych lig i powołaniem własnych rozgrywek.

Z punktu widzenia szarego kibica najbardziej przykra jest informacja, że są kluby, w których piłkarze dostają premie za... przywitanie się z widownią i podziękowanie jej po ostatnim gwizdku sędziego (grający w PSG Neymar za pomachanie w kierunku fanów kasuje 375 tys. euro miesięcznie). I pewnie jeszcze świadomość, że nawet mając tę wiedzę, ów kibic nie może się doczekać następnego meczu. Stając się w ten sposób współwinnym. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

Zmiany w warszawskim Muzeum Narodowym

PIOTR KOSIEWSKI

Wkrótce zostanie powołany nowy dyrektor warszawskiego Muzeum Narodowego. Jerzy Miziołek ma zastąpić Piotra Rypsona, który po odejściu Agnieszki Morawińskiej czasowo pełnił tę funkcję. To zaskakujący pomysł.

65-letni Jerzy Miziołek, profesor na Uniwersytecie Warszawskim, jest autorem cenionych prac dotyczących recepcji antyku w czasach nowożytnych, jednak jego doświadczenie muzealne jest, delikatnie mówiąc, niewielkie. Owszem, jest dyrektorem Muzeum UW, ale nigdy nie zarządzał samodzielną jednostką tak ogromną i skomplikowaną, nie ma doświadczeń menadżerskich ani kontaktów w międzynarodowym świecie muzealniczym. Muzeum Narodowe przeszło w ostatnich latach radykalne zmiany – odnowiono gmach główny, przebudowano galerie stałe i zorganizowano ważne wystawy czasowe, w tym trwającą właśnie „Krzycząc: Polska!". Wciąż jednak boryka się z wieloma problemami i jest chronicznie niedofinansowane. Odpowiedzialność za jego dalsze losy ponosi ministerstwo i osobiście Piotr Gliński. Oby nie podzieliło losu Starego Teatru w Krakowie czy Polskiego we Wrocławiu, ale też innych instytucji, którym decyzje personalne obecnej władzy fatalnie zaszkodziły. ©

Żyć jak orangutan

SPOSOBY ŻYCIA ZWIERZĄT – albo, jak wolą mówić biolodzy, ich historie życiowe – są adaptacjami do środowiska. Określona długość życia, liczba potomstwa, czas upływający pomiędzy kolejnymi ciążami lub lęgami, tempo dojrzewania – to wszystko, według ewolucjonistów, to doskonalone przez dobór naturalny, warunkowane genetycznie strategie, nastawione na najbardziej efektywne wykorzystywanie zasobów przyrody.

Niedawno na łamach „Journal of Human Evolution" (!) Maria van Noordwijk i współpracownicy przeanalizowali historie życiowe orangutanów, opierając się na wieloletnich obserwacjach terenowych. Orangutany okazały się wyjątkowymi małpami. Aż 94 proc. samic dożywa u nich wieku reprodukcyjnego (ok. 15 lat). Poza człowiekiem żaden inny ssak nie osiąga podobnego wyniku, zresztą naszemu gatunkowi udało się to dopiero w XX w. Tak niska śmiertelność w dzieciństwie pozwala orangutanom wieść powolne życie. Kolejne ciąże występują u nich co 7,6 lat (ostatnia może wystąpić nawet po 40. roku życia). Dzięki temu orangutany są w stanie przetrwać w swojej niszy – prowadząc samotniczy, nadrzewny tryb życia i odżywiając się mało wartościowym pożywieniem (głównie liśćmi i gałązkami). Zabezpiecza je to przed drapieżnikami i epidemiami, które potrafią dziesiątkować bardziej stadne małpy, ale też naraża w przypadku katastrof – nie mogą bowiem szybko odbudować populacji. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

ISTOCK / GETTY IMAGES

PINDI SETIAWAN / BANDUNG INSTITUTE OF TECHNOLOGY

ARTYŚCI Z BORNEO. Poza orangutanami na Borneo znaleźć można najstarsze przykłady sztuki figuratywnej. Od 40 tys. do nawet 52 tys. lat liczą przedstawienia m.in. zwierzęcia przypominającego krowę, wykonane ludzką ręką na ścianie jednej z jaskiń – poinformowali Maxime Aubert i współpracownicy w raporcie opublikowanym w „Nature". O kilka tysięcy lat młodsze są malunki znalezione na sąsiedniej wyspie, Sulawesi, a także najstarsze przykłady sztuki europejskiej. Borneo zostało zasiedlone przez Homo sapiens 60-70 tys. lat temu. ©℗ ŁK

W SKRÓCIE

SZOPKI. Zespół Ewaluacyjny UNESCO pozytywnie zarekomendował wpisanie krakowskiego szopkarstwa na Listę Reprezentatywną Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego Ludzkości. Jeśli wpis zostanie potwierdzony, szopkarstwo będzie pierwszą polską propozycją na zawierającej ponad 300 pozycji liście najważniejszych tradycji świata – obok jogi, rumby, fado, kaligrafii oraz diety śródziemnomorskiej. Szopki, jak co roku, będzie można oglądać w pierwszy czwartek grudnia na Rynku Głównym w Krakowie (a potem w Muzeum Historycznym).

NOMINACJE. Szansę na kolejne wyróżnienia ma „Zimna wojna". Film Pawła Pawlikowskiego zebrał nominacje we wszystkich kategoriach tzw. wielkiej piątki do Europejskich Nagród Filmowych i ubiega się o tytuł najlepszego filmu oraz nagrodę za reżyserię i scenariusz. Odtwórcy głównych ról, Joanna Kulig i Tomasz Kot, zostali nominowani w kategoriach aktorskich. Film zdobył już Złotą Palmę w Cannes (za reżyserię), a obecnie walczy o nominację do Oscara.

PROZA. Tymczasem w kraju ożywcza dyskusja na temat roli literatury w życiu publicznym. „Poezja przez lata była kwestią czołową, bo nawet analfabeta był w stanie ją zapamiętać" – interpretował Rafał Ziemkiewicz na antenie TV Republika. „Poezja była propagandą, dlatego każda frakcja chciała mieć swoich poetów. Dziś tę rolę przejęła telewizja" – ujawnił publicysta, dodając, że sam wypowiada się w gatunku, który obecnie zastąpił powieść.

POEZJA. Pocieszamy, że poetów mimo wszystko nadal można czytać w środkach komunikacji miejskiej. Przez dwa tygodnie plakaty z fragmentami utworów Zbigniewa Herberta, Adama Mickiewicza i Jarosława Marka Rymkiewicza promują polską literaturę w wagonach londyńskiego metra.

JESIEŃ. Wieść o końcu powieści najwyraźniej dotarła do pisarza Szczepana Twardocha. Autor „Królestwa" na spotkaniu towarzyszącym Opolskiej Jesieni Literackiej wyznał, że „brzydzi się teorią literatury", a wiedza z jej zakresu szkodzi twórczości literackiej. Dla pewności informację przekazał także czytelnikom w Kielcach.

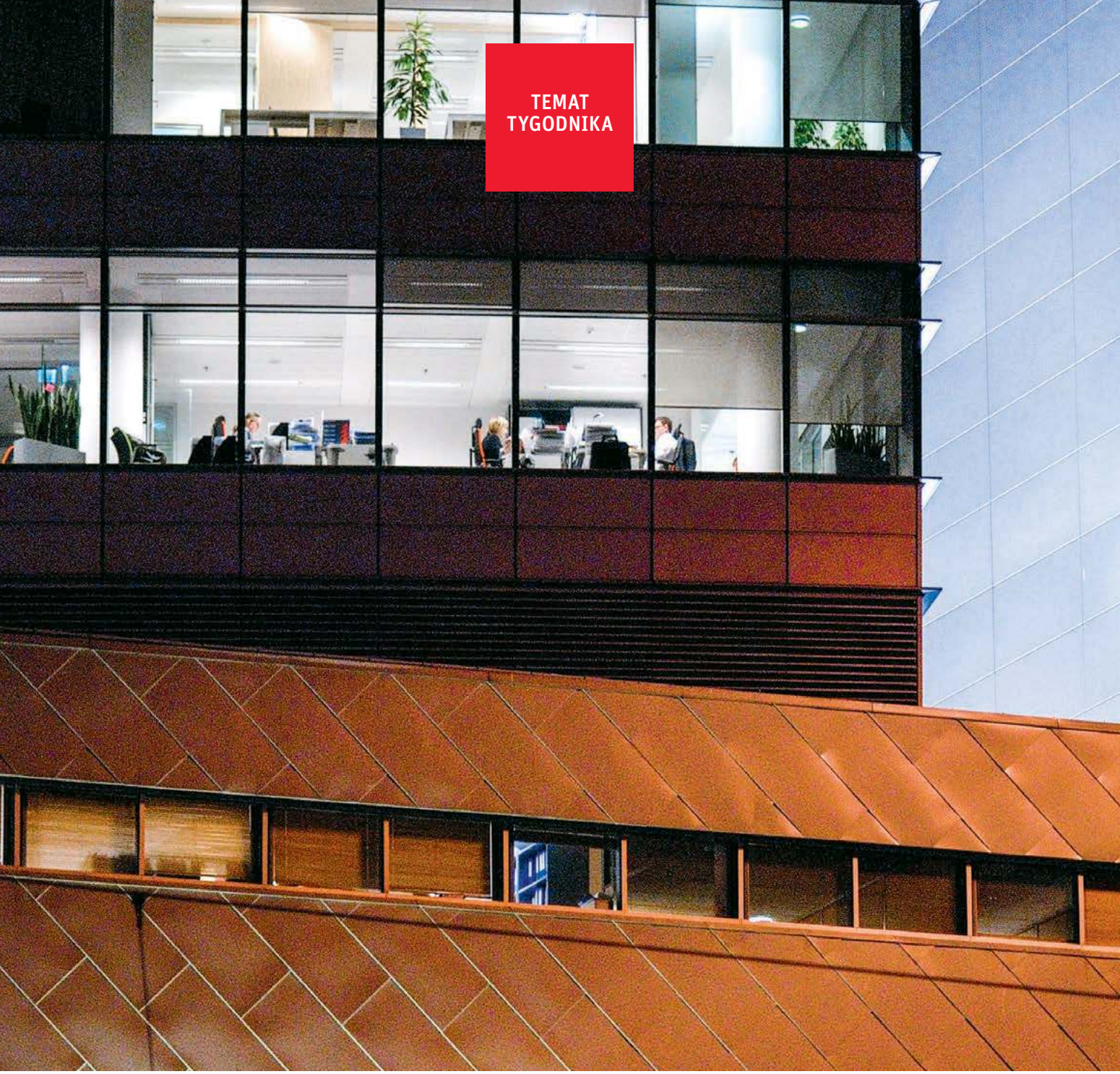

TEMAT TYGODNIKA

FEUDALNY MAMY KLIMAT

Jeśli każda władza deprawuje, to władza pracodawcy w kraju bez bezrobocia może być największą szarą strefą przemocy. Oto mobbing, codzienna patologia polskiej pracy.

MICHAŁ KUŹMIŃSKI, MICHAŁ OKOŃSKI, MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, RAFAŁ WOŚ

TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

Mobbing to inaczej prześladowanie, nękanie i złe traktowanie. Ale nie każde. Sprawa jest ściśle związana z relacją władzy i płynącej stąd dominacji. „Jeśli oskarży nas pan o mobbing, ostrzegam: będziemy dowodzili, że to pan mobbował nas" – to zdanie zasłyszane w jednym ze znanych polskich przedsiębiorstw. Dowód niezrozumienia, czym jest to zjawisko. Pracownik mobbować firmy po prostu nie może. Na tej samej zasadzie, jak pociąg nie może się żalić, że rozjechał go przechodzień.

Termin „mobbing" wymyślił austriacki zoolog Konrad Lorenz. W 1958 r. opisał, jak większe zwierzęta zastraszają mniejsze i słabsze, wskazując im miejsce w szeregu. Grupa (choć niecała) przyłączała się do silniejszego, aktywnie w mobbowaniu pomagając. Ofiara najpierw trochę walczyła, ale prędzej czy później się poddawała. Nie chodzi o czysto fizyczną przemoc, raczej o presję i poczucie osaczenia. Mobbowany w końcu sam dochodzi do wniosku, że jedyne możliwe rozwiązanie to kapitulacja.

W latach 70. szwedzki lekarz Peter-Paul Heinemann opisał to samo zjawisko w świecie dzieci. Dziś jego prace to klasyka pedagogiki, choć dopiero niemiecko-szwedzki psycholog Heinz Leymann postawił kropkę nad i. Teksty Leymanna z lat 80. i 90. pokazały bowiem, że te same schematy tyranizowania, nękania i wykorzystywania pozycji odtwarzają się w relacjach zawodowych. Tak jest, w świecie ludzi dorosłych, nierzadko wyrafinowanych i (przynajmniej we własnej opinii) głęboko etycznych.

Od PRL do III RP: dzieje pewnego nękania

To nie jest tak, że w Polsce nie było przepisów chroniących pracownika przed wszechmocą pracodawcy.

Gierkowski kodeks pracy w połączeniu z obecnością związków zawodowych w gospodarce PRL wszystkiego oczywiście nie załatwiał, ale jeśli pracownik czuł się nękany, przynajmniej miał do kogo pójść na skargę. Potem przez jakiś czas była także konkurencja między związkami (Solidarność kontra OPZZ), dzięki czemu pozycja pracownika nawet wzrosła. Nie na długo.

Polski skok w kapitalizm bywa nieraz przedstawiany jako powrót „normalności", ale w przypadku praw pracowniczych ta normalność okazała się wątpliwa. Wśród nowych pracodawców popularne było powoływanie się na amerykańskie filmy, gdzie niezadowolony z postawy podwładnego szef może w każdej chwili krzyknąć: „Ty nieudaczniku! Jesteś zwolniony", a podwładny odwraca się wówczas na pięcie i pokornie pakuje swoje rzeczy do kartonu.

Wiele zdradza już sam polski termin „pracodawca" – ten, „co daje pracę". Skoro daje, to może i zabrać. W tak rozumianej „normalności" całe prawo pracy wydawało się anachroniczne, bo zakładające stawianie pracodawcom wymogów: tu muszą dać urlop, tam nie mogą dyskryminować. Nie pasowało to do przekonania, że przedsiębiorca „tworzy" miejsca pracy i należy go z tego powodu hołubić, a nie rzucać kłody pod nogi. Utrzymujące się przez cały okres potransformacyjny wysokie bezrobocie (jego spadek to dopiero ostatnie trzy-cztery lata) umożliwiało taki układ sił. „Jak ci się nie podoba, mam na twoje miejsce trzech takich, tylko tańszych" – przy pomocy podobnych argumentów pracodawca mógł szachować roszczeniowego pracownika. ↦

Oczywiście nie jest tak, że wszyscy pracodawcy byli potworami, trudno jednak nie zauważyć pewnej prawidłowości: realia polskich przemian stworzyły podglebie, by mogło dochodzić do przemocy wobec słabszego. Taki mieliśmy klimat, więc i taki mamy dziś rynek pracy. Feudalny.

Bywało, że ta sama władza jedną ręką otwierała drzwi do mobbingu, a drugą próbowała go tamować. Najbardziej pouczający przykład to rząd Leszka Millera, z Jerzym Hausnerem w roli superministra odpowiedzialnego za gospodarkę i pracę. Z jednej strony to właśnie za jego czasów otwarto bramy do uelastycznienia rynku pracy, prowadząc do tego, co zwykliśmy nazywać uśmieciowieniem (plaga umów cywilnoprawnych, agencje pracy tymczasowej jako dostarczyciel taniej siły roboczej „na godziny", poza działaniem kodeksu pracy). Gdyby mierzyć siłę stron, to dzięki Hausnerowskim reformom pracownik jeszcze zmalał, a pracodawca urósł.

Z drugiej strony Hausner definiował się jednak jako socjaldemokrata i to na jego konto zapisać trzeba wprowadzenie do polskiego prawa podpatrzonych na Zachodzie mechanizmów wzmacniania pracownika. Jego dorobkiem był nowy kształt art. 18. kodeksu pracy. Dziś zwraca się na niego uwagę głównie w kontekście molestowania seksualnego i dyskryminowania ze względu na płeć. Przepis jest jednak dużo bardziej pojemny i zawiera zakaz zwyczajnego molestowania. To znaczy takiego zachowania, „którego celem lub skutkiem jest naruszenie godności pracownika i stworzenie wobec niego zastraszającej, wrogiej, poniżającej, upokarzającej lub uwłaczającej atmosfery". Mówiąc krótko: z art. 18. można skarżyć zarówno szefa, który robi niewybredne żarty na temat nóg podwładnej, jak i kogoś, kto nazwie podwładnego „idiotą i cymbałem".

To jednak nie koniec. W tym samym czasie (przełom lat 2003/04) dostaliśmy jeszcze art. 94. kodeksu pracy z cyferką 3. Głosi on, że pracodawca jest zobowiązany przeciwdziałać mobbingowi. A mobbing to „działania lub zachowania dotyczące pracownika lub skierowane przeciwko pracownikowi, polegające na uporczywym i długotrwałym nękaniu lub zastraszaniu pracownika, wywołujące u niego zaniżoną ocenę przydatności zawodowej, powodujące lub mające na celu poniżenie lub ośmieszenie pracownika, izolowanie go lub wyeliminowanie z zespołu współpracowników".

> Jeśli pracownica zgłosi, że organizacja, która ma na sztandarach prawa kobiet, równocześnie te prawa łamie, to w jej rozumieniu **zniszczony zostanie wizerunek organizacji** – mówi dr Bartnik.

Podsumujmy: od półtorej dekady można się bronić przed złym pracodawcą na trzech poziomach. Pierwszy jest najbardziej ogólny. Można szefa pozwać o naruszenie dóbr osobistych. Podobnie jak każdego innego człowieka, który zachowuje się wobec nas nieodpowiednio. Oczywiście w praktyce z tej drogi korzysta niewielu pracowników.

Drugi poziom to art. 18. – ten kojarzony z molestowaniem. Droga teoretycznie najłatwiejsza, bo zgodnie z prawem molestowania nie trzeba „udowodnić", a wystarczy je „uprawdopodobnić". Przed sądem to różnica kolosalna.

Trzecia ścieżka pracowniczej samoobrony to pozew o mobbing. Ta droga przebiła się w powszechnej świadomości najmocniej, głównie z powodu samego pojęcia, które pozwoliło wielu Polakom nazwać to, czego padali ofiarą, a czego nazwać nie potrafili, trochę jak Molierowski pan Jourdain. Przepisy antymobbingowe są kuszące również dlatego, że mowa w nich o zadośćuczynieniu finansowym (w 2017 r. Sąd Najwyższy przyznał 20 tys. zł odszkodowania mobbowanemu pracownikowi Poczty Polskiej). Ale mamy i haczyk: winę trzeba udowodnić, co łatwe nie jest.

Prawnicy mówią, że ta mnogość ścieżek nie służy pracownikowi. Jak już się człowiek zdecyduje bronić, miewa problem z wykazaniem, że nękanie go miało charakter „uporczywy i długotrwały". Po molestowanie sięga się z kolei rzadko, bo ludzie zakładają, że to paragraf za wkładanie ręki pod bluzkę. Praktycy wskazują, że po kilkunastu latach przydałoby się uszczegółowienie przepisów, a może scalenie procedur. Na pewno przydałoby się też więcej zrozumienia dla tego typu spraw w środowisku sędziowskim, i więcej odwagi po stronie pracowników, którzy w większości przypadków na obronę swoich praw się nie decydują, akceptując tyranizowanie – zresztą zgodnie z przewidywaniami twórcy samego pojęcia, Konrada Lorenza.

Opowieść o poniższych przypadkach pozwala to lepiej zrozumieć.

Organizacje pozarządowe: ofiary misji

„Jak to spierdolisz, to cię zajebię" – słyszy od swojego lidera pracownik organizacji A.

Organizacja B. Do pracy przychodzi kobieta w zagrożonej ciąży. W zasadzie trudno stwierdzić: nie została w domu ze względu na bezpośredni nacisk szefa czy może ogólną atmosferę presji, np. zdania typu: „Musimy to skończyć teraz, bo nie rozliczymy grantu. A jak nie rozliczymy, to nie będzie na pensje". Pewny jest efekt: kobieta traci dziecko.

Organizacja C. W biurze stawia się pracownica na zwolnieniu lekarskim. Przyszła, „bo trzeba skończyć projekt". Mdleje, uderza głową o mebel.

Organizacja D. Kobieta we wczesnej ciąży jest nakłaniana do aborcji. „Jesteś przed trzydziestką, zmarnujesz karierę" – słyszy od szefa.

„Od lat kultywujemy fałszywe przekonanie, że w organizacjach pozarządowych nie tworzą się relacje władzy. Ułudę, że żyjemy w idyllicznej wspólnocie celów i misji" – napisała Maria Świetlik z komisji osób pracujących w sektorze NGO Ogólnopolskiego Związku Zawodowego „Inicjatywa Pracownicza". Tekst ukazał się w maju na portalu ngo.pl. Niemal proroczo, zważywszy bombę, która wybuchła wkrótce w związku z artykułem Onetu na temat praktyk mobbingowych, do jakich miało dojść w kierowanym przez ks. Jacka Stryczka Stowarzyszeniu Wiosna.

Częścią tej ułudy było założenie: skoro organizacje pozarządowe dbają o wykluczonych, nie mogą same wykluczać. Tymczasem nie dość, że mogą, to w naturę – i polską specyfikę – ich działania wpisany jest zestaw cech, które mobbingowi sprzyjają.

Cecha pierwsza związana jest z genezą ich powstawania: rodziły się w czasie, gdy w Polsce kiełkował wolny rynek.

– Ten sektor przyjął obowiązujący wówczas wzór wolnorynkowej ekonomii, w którym dbałość o prawa pracowników i istnienie związków zawodowych były uważane za stawanie „na drodze po-

TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

stępu" – ocenia Maria Świetlik. – Efekty widać do dziś: ogromna część organizacji nie jest „uzwiązkowiona". Brakuje instancji kontrolnych. Nawet wpisane do statutów komisje rewizyjne czy rady fundacji sprawują zwykle nadzór merytoryczny i finansowy, nie zajmując się kwestią praw pracowników.

Cecha druga: misyjność.

– Znam wiele organizacji, które albo dawno wdrożyły procedury związane z poszanowaniem praw pracownika, albo to robią – zapewnia Dorota Setniewska ze Stowarzyszenia Klon/Jawor. – Takie organizacje jak Polskie Towarzystwo Prawa Antydyskryminacyjnego, Greenpeace Polska, Akcja Demokratyczna i wiele innych robią to nie dlatego, że muszą, ale z tego powodu, że są do idei ochrony praw pracowników i pracownic przekonane.

Nie zawsze i nie wszędzie.

– Do organizacji pozarządowych idą zwykle osoby wrażliwe, dla których kariera nie jest najważniejszym elementem motywacji. Często jest nią dobro wspólne – zauważa Maria Świetlik. – W dodatku kultura zaangażowania w tym sektorze daje się streścić w zdaniu: „Dawaj z siebie więcej, niż możesz". W takiej atmosferze niepotrzebny jest nawet bezpośredni nacisk. Wystarczą zdania typu: „To kluczowe dla powodzenia naszego projektu", by pracownik sam doprowadził się do czegoś, co można nazwać autowyzyskiem. Praca do nocy? Oczywiście, „bo kończymy projekt". Pójście do radia na piątą rano? Konieczne, bo „misja organizacji". Zwolnienie lekarskie? Dziwne: na L4 „uciekają ci, dla których praca nie jest ważna".

Cecha trzecia: specyfika zatrudnienia. Według danych Stowarzyszenia Klon/Jawor aż 45 proc. polskich organizacji opiera się na pracy społecznej, a tylko 20 proc. zatrudnia pracowników etatowych (nie zawsze na cały etat). Dr Adriana Bartnik, socjolożka i prawniczka z Wydziału Administracji Nauk Społecznych Politechniki Warszawskiej, ocenia, że w sektorze NGO znacznie częściej stosuje się nielimitowany czas pracy. Częściej też zacierają się granice pomiędzy tym, co zawodowe i prywatne.

– Liderzy organizacji pozarządowych częściej niż w innych sektorach szukają pracowników wśród znajomych – mówi badaczka. – Jednym z powodów jest ↦

Sprawdź, czy to mobbing

CZY W OSTATNIM CZASIE spotykałeś się z nieuzasadnioną krytyką Twojej pracy lub życia prywatnego ze strony kogokolwiek w środowisku pracy?
CZY ZOSTAŁEŚ ODIZOLOWANY fizycznie lub społecznie od reszty współpracowników?
CZY KTOKOLWIEK ZANIŻA Twoje zaangażowanie w pracę?
CZY OTRZYMUJESZ nadmierną ilość pracy, tzn. nie do wykonania w ustalonym terminie lub niedostosowaną do Twoich możliwości?
CZY KTOKOLWIEK obraża Cię w pracy?
Od jakiego czasu występują te działania?

Jeżeli większość odpowiedzi jest pozytywna, możesz znajdować się w grupie ryzyka. Jeżeli działania trwają od pół roku, narażenie na mobbing wzrasta.

Na podstawie broszury „Mobbing / Poznaj swoje prawa w pracy", przygotowanej przez Państwową Inspekcję Pracy.
Więcej informacji na stronie: **www.pip.gov.pl**

↦ przekonanie, że taka osoba lepiej i szybciej zrozumie misję organizacji. Samo w sobie zjawisko nie jest złe, Polacy zresztą lubią atmosferę familiarności w pracy. Tyle że w takiej atmosferze trudno protestować przeciw wyzyskowi, gdyż jest to traktowane jak nielojalność i zdrada – idei i organizacji. W takich warunkach prawo pracy nie funkcjonuje.

Dr Bartnik dodaje inne elementy mogące sprzyjać nadużyciom: brak jawności i transparentności wynagrodzeń, stosunkowo niskie kompetencje wielu liderów w zakresie HR, brak kompetencji w zakresie kierowania zespołem. – Współczesna polska scena trzeciego sektora niewiele się różni od średniowiecznej folwarczności – ocenia badaczka.

Opisana przez Onet sytuacja w Wiośnie to pierwsza na taką skalę afera w sektorze, ale nie dlatego, że zjawisko jest marginalne. Gdy pytamy Marię Świetlik, czy pogłoski o podobnych praktykach krążą po stolicy, odpowiada twierdząco: – Nazw organizacji nie usłyszycie, bo do tego potrzebne są dowody i zgoda osób, które padły ofiarą nadużyć. Ale chodzi o organizacje znane i szanowane. Nietrudno zresztą zgadnąć, gdzie się dzieją rzeczy złe. Jeśli dana organizacja co roku ogłasza nabór na nowych pracowników, oznacza to dużą rotację. A ta wynika często z tego, że pracownicy uciekają ze złych miejsc pracy, bo nie są w stanie tam wytrzymać pomimo identyfikowania się z misją.

Dlaczego sprawy utykają na etapie pogłosek?

– Jeśli pracownica zgłosi, że organizacja, która ma na sztandarach prawa kobiet, równocześnie te prawa łamie, to w jej rozumieniu zniszczony zostanie wizerunek organizacji – odpowiada dr Bartnik. – A nieliczne osoby, które zdecydowały się iść na konfrontację, dostawały etykietkę „trudnych" i niejednokrotnie „wilczy bilet", co w tak hermetycznym środowisku ma ogromne znaczenie w dalszej karierze. Ofiary takiego zaszczucia to nowa kategoria wykluczonych z rynku pracy, a czasem ze społeczeństwa. Z moich badań wynika, że patologiczne style zarządzania niszczą więzi społeczne.

– „Czym jest mój komfort i moja krzywda w zderzeniu z ogromem dobra, jakie świadczy moja organizacja?" – rekonstruuje tok myślenia ofiar Maria Świetlik. – Tzw. interes beneficjenta jest najważniejszy: takie myślenie pokutuje nie tylko wśród liderów, ale też wśród pracowników. Element drugi: organizacje pozarządowe, zwłaszcza te wielkie, są oparte na autorytetach liderów będących często kimś na kształt celebrytów i mających dobre kontakty z mediami. Pojawia się więc pytanie: „Czy mnie, szarej myszce, ktokolwiek uwierzy?".

„Dbanie o prawa pracownicze jest ważne wszędzie, ale w organizacjach społecznych ich zaniedbywanie przynosi szczególnie fatalne skutki, jeśli chodzi o budowanie kapitału społecznego i walkę o sprawiedliwszy, lepszy świat – pisała Świetlik w maju. – Jeżeli nie potrafimy zagospodarować ludzi, którzy chcą go budować, a zamiast tego pozwalamy na ich krzywdę, nie tylko tkwimy w miejscu, ale nawet się cofamy na drodze do sprawiedliwości".

Korporacje: cel uświęca środki

– Panie Pawle, jest pan jedynym znanym mi mężczyzną, który bierze zwolnienie, żeby siedzieć w domu z chorym dzieckiem – mówi głośno szefowa. – Prawdę mówiąc, to mam wątpliwości, czy pan tym mężczyzną jest – dodaje tonem, który ma brzmieć żartobliwie.

Od miesięcy Paweł nie jest w stanie się z nią porozumieć: podczas zebrań kobieta ostentacyjnie lekceważy jego pomysły, pomija go przy delegowaniu na szkolenia i konferencje, a przy każdej okazji sugeruje braki kompetencyjne. Konflikt, jak podejrzewa, zaczął się na początku roku, kiedy odmówił powrotu ze zwolnienia lekarskiego i towarzyszenia szefowej w spotkaniu z klientem. Paweł jest doktorem farmacji. Szefowa ma doświadczenie w marketingu, ale w branży medycznej, w której działa ich firma, stawia pierwsze kroki.

– Uważasz, że należy ci się podwyżka? – rzuca ironicznie szef w stronę Barbary, kiedy ta przypomina, że podczas rozmowy kwalifikacyjnej obiecywał jej wyższe za-

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

RAFAŁ WOŚ będzie gościem Pawła Sulika w „Popołudniu" Radia TOK FM w środę 14 listopada o godz. 15.20.
95,2 FM Gdynia | 95,8 FM Wrocław
96,9 FM Opole | 97,4 FM Łódź
97,4 FM Katowice | 97,7 FM Poznań
– www.tokfm.pl

TOMASZ PACZOS / FOTONOVA

robki po okresie próbnym. – Pozwól w takim razie, że pokażę ci, ile warte są twoje kwalifikacje. Otworzę teraz to okno, krzyknę, że szukam kogoś na twoje miejsce, i za kwadrans będzie tu czekać pięciu ludzi z co najmniej takimi samymi umiejętnościami i doświadczeniem. Umówmy się więc, że twoją podwyżką będzie brak obniżki.

– Niezły dowcip słyszałem – mówi szef na zebraniu zespołu redakcyjnego i zapala papierosa. Dym szybko wypełnia małą salkę konferencyjną, mimo że poza szefem nikt nie pali. Żart jest wulgarny, ale wszyscy udają, że bawią się świetnie, bo skoro zaczął zebranie od dowcipu, to znaczy, że jest w dobrym nastroju. Kiedy ma zły humor, wszystko jest możliwe, włącznie z wyzwiskami i niespodziewanym wypowiedzeniem. Po kolegium słabsi psychicznie czasem wymiotują.

Próby nakłonienia przedstawicieli dużych firm do szczerej rozmowy o mobbingu z reguły kończą się zdawkową odpowiedzią biura prasowego, że problem znany jest im wyłącznie ze słyszenia. Zachowania mieszczące się w prawnej definicji i te, które się o nią ocierają, najwyraźniej uchodzą w polskim biznesie za zjawisko bardziej wstydliwe od innych patologii – np. kradzieży, które na zlecenie firm co jakiś czas bierze pod lupę któryś z ośrodków badawczych.

A przecież w badaniu „Szykany w miejscu pracy", przeprowadzonym przez CBOS w lipcu 2014 r. (nowszych brak), 17 proc. ankietowanych deklarowało, że w ciągu ostatnich pięciu lat doznało niewłaściwego traktowania ze strony przełożonych, a aż 5 proc. twierdziło, że tego typu przypadki były częste. Najczęściej wymieniano odmowę przyznania urlopu lub pójścia na zwolnienie lekarskie (15 proc.), zmuszanie do wykonania zadania, które nie leżało w kompetencjach podwładnego (14 proc.), niewybredne żarty i docinki, wymuszanie posłuszeństwa groźbą zwolnienia z pracy (13 proc.), a także zmuszanie do bezpłatnych nadgodzin (12 proc.). Co dziesiąty badany doświadczył bezzasadnego, jego zdaniem, pozbawienia premii lub nagrody.

Rok później, w ankiecie prowadzonej przez firmę doradztwa personalnego Sedlak & Sedlak wyłącznie wśród pracowników instytucji żyjących ze sprzedaży produktów i usług innym podmiotom – a więc bliższych definicji korporacji – padły niemal identyczne odpowiedzi: 4,88 proc. respondentów potwierdziło, że doświadcza mobbingu w miejscu pracy przynajmniej raz w tygodniu. Kolejnych 15,22 proc. przyznało, że styka się z tego typu zachowaniami nie częściej niż raz w miesiącu.

Z tych danych bez trudu da się wyczytać związek między mobbingiem a źle pojmowaną efektywnością pracy, co łatwo zrozumieć, kiedy przejrzy się biogramy dzisiejszych menedżerów średniego i wyższego szczebla. Większość z nich karierę zaczynała pod koniec lat 90. lub na początku minionej dekady, czyli w epoce wysokiego, dwucyfrowego bezrobocia i dopiero raczkujących kodeksów dobrych praktyk biznesowych. Zachowania, które większość młodych pracowników natychmiast nazywa mobbingiem, dla nich wciąż mieszczą się w arsenale tego, co skłonni są nazywać raczej „wymagającym przywództwem".

Jak twierdzi Kazimierz Sedlak, w polskim zarządzaniu zbyt mocno zakorzeniło się przekonanie, że cel uświęca środki: – Z perspektywy dwóch dekad pracy jako przełożony sam widzę, ile błędów popełniłem kierując się wyłącznie tym, co nazywałem dobrem klienta. Uważam się za tzw. zadaniowca, człowieka, dla którego ↦

Broń się przed mobbingiem

DR AGNIESZKA MOŚCICKA-TESKE, SWPS,
psycholożka pracy, biegła sądowa
i ekspertka w sprawach o mobbing

1. Jeśli czujesz się ofiarą mobbingu, zwróć się w pierwszej kolejności po poradę do społecznego inspektora pracy lub związków zawodowych (jeśli działają w Twoim miejscu pracy) albo do inspektora BHP.

2. Kodeks pracy nakłada na Twojego pracodawcę obowiązek przeciwdziałania mobbingowi. W większości polskich instytucji, tak prywatnych, jak i państwowych, powinien istnieć regulamin antymobbingowy, z którym zapoznają się wszyscy pracownicy. Powinien on zawierać procedurę opisującą, co w sytuacji podejrzenia mobbingu ma robić zarówno pracownik, jak pracodawca.

3. Zanim odwołasz się do formalnej procedury, możesz też skierować do sprawcy – najlepiej pisemne – wezwanie do zaprzestania. Napisz, że uważasz dane zachowania tej osoby za mobbing pracowniczy. Wymień je. Służy to głównie nazwaniu problemu po imieniu – bo zachowania mobbingowe często mają niedookreślony charakter. Da to także sprawcy całościowy obraz sytuacji – bo mobberzy często nie dostrzegają systematyczności swoich zachowań. Zdarza się, że samo wezwanie do zaprzestania odnosi skutek.

4. Kolejnym krokiem jest skierowanie pisma do przełożonych – powinno zawierać przykłady niedopuszczalnych zachowań i nazywać je mobbingiem ze wskazaniem na art. 94. [3] kodeksu pracy.

5. Jeśli to nie odniesie skutku, skieruj oficjalną skargę do działu personalnego, a następnie do Państwowej Inspekcji Pracy i do sądu.

not. MK

↦ liczy się przede wszystkim osiągnięcie założonego celu. Zbyt długo myślałem, że to samo jest motywacją wszystkich moich pracowników.

Na drugi plan zeszło też to, co same firmy doradcze żyjące z kontraktów z korporacjami uważają za kluczowe w zarządzaniu, czyli tzw. kompetencje miękkie, np. umiejętności mediacyjne.

Kazimierz Sedlak: – Sytuację, w której właściwie każdą dyskusję z podwładnym można przeciąć stwierdzeniem, że jak się nie podoba, to droga wolna, można w gruncie rzeczy nazwać mobbingiem. Dziś takie słowa padają jednak częściej z ust pracowników, a nie przełożonych, co z kolei skutkuje zmianą podejścia właścicieli firm do kwestii mobbingu. Jeszcze pięć lat temu mogłem rozmawiać o niej wyłącznie z ludźmi od HR-u. Dziś właściwie nie zdarza się, by klient, który zleca nam analizę polityki personalnej w jego firmie, nie podkreślił, że zależy mu na wyeliminowaniu zachowań mobbingujących.

Szkopuł w tym, że dobra wola właściciela firmy nie zawsze wystarczy.

Wyższe uczelnie: w niewidzialnej sieci

– Od lat słyszę: „Jak nie, to będziemy was zwalniać". Już bym wolała, żeby zaczęli zwalniać, niż ciągle straszyli – mówi Monika. Ma doktorat, dzieci, dydaktyczną pasję i etat na humanistycznym wydziale prestiżowej uczelni. Wydziale, jak mówi, notorycznie niedofinansowanym. To ważne, bo splot niedostatku środków i źle pojętej autonomii często bywa podglebiem dla mobbingu na wyższych uczelniach.

– Z badań wynika, że pracownicy uniwersytetów są jedną z najbardziej narażonych na mobbing grup zawodowych – mówi dr Agnieszka Mościcka-Teske, psycholożka, specjalistka psychologii pracy i ekspertka w sprawach o mobbing. – Danych z Polski nie ma, ale te europejskie, a także z USA, Kanady i Australii pokazują, że doświadcza go średnio 17 proc. pracowników szkół wyższych.

Przyczyny?

– Po pierwsze, finanse jednostek uczelnianych są słabiej kontrolowane niż w prywatnych biznesach – mówi Mościcka-Teske. – Wymierne straty, które powoduje mobbing, jak ucieczki na L4, mniejsza efektywność pracy czy duża rotacja kadr, które w korporacji byłyby sygnałem problemu, tu umykają uwadze. Poza tym to instytucje o hierarchicznej strukturze, a w takiej informacje o nieprawidłowościach rzadziej docierają „na górę". Wreszcie – dodaje ekspertka – sam system pracy na uczelni może ułatwiać ukrywanie nieprawidłowości, bo pracownicy rzadko przebywają na co dzień w większej grupie, a częściej pracują indywidualnie. W dodatku najwybitniejszy nawet naukowiec niekoniecznie musi umieć zarządzać.

Mobbowanie Moniki zaczęło się, gdy jej promotorka odeszła na emeryturę. – Na uczelni istniejesz, jeśli stoi za tobą protektor, który w gremiach decyzyjnych cię obroni. Sama, nie mając habilitacji, w tych gremiach nie uczestniczę – tłumaczy.

Po drugie Monika zaszła w ciążę: – Słyszałam, że jestem bezczelna, chcąc iść na macierzyński, że ciąża to nie choroba. I to od kobiet.

Jak się mobbuje po akademicku? Np. przez arbitralny przydział obowiązków. Monika wyjaśnia, że niedofinansowane jednostki uczelniane wiele spraw, które powinni załatwiać pracownicy administracyjni, zlecają dla oszczędności naukowo-dydaktycznym. Niektórzy przełożeni dzielą tę dolę po równo, ale w rękach mobbera staje się to narzędziem opresji: – Każą ci zrobić harmonogram i już nie masz września. Dorzucą wymianę międzynarodową, co dziś oznacza prowadzenie przynajmniej kilkunastu umów z innymi uczelniami i obsługę studentów. I już nie masz czasu na rozwój naukowy, na publikowanie. A jeśli spróbujesz się zbuntować i zakwestionujesz system działający „na gębę", podpadasz.

Ona podpadła.

Gdy asystent zarabia ok. 2,5 tys. zł, a adiunkt niewiele ponad 3 tys. zł, poważnym składnikiem płac staje się np. nagroda finansowa.

– Ale u nas to też instrument nieformalny – mówi Monika. – Nie ma zasad przydzielania, nie analizuje się osiągnięć, wszystko odbywa się niejawnie. Ja nie dostałam ani razu. Dostają faworyci.

Przydział przedmiotów też może się stać szykaną.

– Co innego prowadzić co roku te same zajęcia, a co innego dostać wszystkie nowe. Wtedy trzeba przygotować od nowa wszystkie kursy, co jest praktycznie niemożliwe – opowiada Monika. – A na pewno nie ma już wtedy czasu na badania czy publikacje. Gdy nie publikujesz, nie awansujesz, a twoja pozycja słabnie. Co więcej: można ci przydzielić same zajęcia fakultatywne, które można wycofać lub zawiesić. To też osłabia twoją pozycję.

Zdaniem dr Mościckiej-Teske mobbing uczelniany polega na szkodzeniu nie bezpośrednio, lecz przez instytucjonalne decyzje: blokowanie wyjazdu zagranicznego czy uzależnienie przyznania pieniędzy na opłatę wstępną do czasopisma naukowego od tego, czy ofiara dopisze do publikacji przełożonego-mobbera jako współautora. – Choć znam też sytuacje, gdzie pojawiało się publiczne ocenianie i krytykowanie czy wręcz epitety – zastrzega.

Skali problemu na uczelniach można się tylko domyślać. Według sprawozdań Komisji Dyscyplinarnej przy Radzie Głównej Nauki i Szkolnictwa Wyższego pośród trafiających tam odwołań od orzeczeń komisji uczelnianych w 2017 r. tylko cztery dotyczyły wyzywania, straszenia, poniżania i stosowania mobbingu. W 2016 r. było takich spraw 10, w 2015 r. – 19. Ale skoro w Europie niemal co piąty pracownik uczelni jest narażony na mobbing, to trzeba założyć, że te liczby to wierzchołek góry lodowej.

POŻEGNANIE

Msza święta w intencji

Ś.† P.

Anny i Jerzego Turowiczów

w 80. rocznicę ich ślubu zostanie odprawiona
w kaplicy św. Otylii w Wilkowie (gmina Luborzyca)
w sobotę, 24 listopada 2018 r., o godz. 16.00.

Córki z rodzinami
oraz zespół „Tygodnika Powszechnego"

Na pytanie, czy ministerstwo nauki monitoruje problem, otrzymaliśmy odpowiedź, że szkoły wyższe nie są organem państwowym, mają zapewnioną autonomię i MNiSW ma ograniczone możliwości ingerencji.

Owszem, tzw. ustawa Gowina, czyli nowe Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce wprowadza obiecującą nowość: rektor, za zgodą stron, może kierować uczelniane spory, np. te o mobbing, do mediacji (art. 282.). Co jednak zaskakujące, zamiast skorzystać ze sprawdzonych wzorów postępowań mediacyjnych, gdzie – jak podpowiada dr Mościcka-Teske – prowadzi je bezstronny fachowiec bądź strony powołują swoich przedstawicieli, ustawodawca postanowił, że na uczelni mediatorem będzie nauczyciel akademicki wskazany przez rektora (art. 283. p. 2).

Ministerstwo tłumaczy, że w ustawie chciano tak zaprojektować postępowania dyscyplinarne, żeby wyważyć między zabezpieczeniem praw stron a efektywnością. – Zależy nam, aby zwiększyć znaczenie polubownego rozwiązania sporów – odpowiadają urzędnicy MNiSW twierdząc, że wzorowali się na mediacjach w postępowaniu karnym. Tam jednak przepisy wykluczają, by mediację prowadził ktoś zatrudniony w wymiarze sprawiedliwości czy organach ścigania (por. art. 23a § 3 k.p.k.), i zastrzegają, że postępowanie mediacyjne „prowadzi się w sposób bezstronny" (art. 23a § 7 k.p.k.). Nietrudno sobie tymczasem wyobrazić, że powołany zgodnie z nową ustawą mediator może się okazać – formalnie lub nie – od sprawcy mobbingu zależny.

Jak się mobbuje po akademicku?

Każą ci zrobić harmonogram i już nie masz września. Dorzucą wymianę międzynarodową i już nie masz czasu na publikowanie.

Monika tylko się uśmiecha. – Nawet jeśli wygrałabym mediację, musiałabym wrócić do instytutu, z wszystkimi jego mechanizmami. Za ich stosowanie nie da się mobbera ukarać, bo zawsze może do nich dorobić rzekomo merytoryczne uzasadnienie.

Więc ofiary mobbingu milczą. Bo wiedzą, że z nieformalnym systemem się nie wygra. Bo uczelnia daje afiliację, która pozwala nieźle dorobić poza nią. Bo to jednak prestiż. Bo sobie nie wyobrażają pracy gdzie indziej.

– Mam znajomych, którzy służą profesorom za osobistych konsjerżów – opowiada Monika. – Ale są zadowoleni, bo dzięki temu mają drugi etat, pieniądze na wyjazdy i publikacje. I ja to rozumiem. Sama jestem częścią tego systemu. To tak jak z łapówką dla lekarza: lepiej dać i żyć.

Inny świat

Pisząc o mobbingu w dzisiejszej Polsce nie możemy zapominać jeszcze o jednym. Nasz rynek pracy się zmienia, dzieląc się na osobne światy. Świat pierwszy to domena pracownika, którego sytuacja trochę się jednak poprawia. Spadło bezrobocie, wzrosła płaca minimalna i oczekiwania płacowe. Ożywiły się po latach zapaści związki zawodowe. Mobbing był i jest, ale przynajmniej umiemy go nazwać i staramy się obmyślić metody samoobrony.

Nie wolno jednak w tym miejscu stawiać kropki. Obok mamy bowiem drugi i trzeci świat. To nie jest świat klimatyzowanych biur, wyjazdów integracyjnych i szkoleń. To świat ubojni, stoczni, sadów i budów.

Uwija się tu coraz więcej pracowników z zagranicy, głównie z Ukrainy, ale coraz częściej również z Nepalu, Bangladeszu, Pakistanu i Filipin. Ten świat jest dużo trudniejszy od „polskiego", a przypadki wyzysku są na porządku dziennym. I znów: nie chodzi o tego czy innego złego pracodawcę, lecz o to, że ów wyzysk jest wpisany w zjawisko „renty migracyjnej". Czyli w zysk czerpany z zagranicznych pracowników przez rodzimych pracodawców. Ta renta to napisana drobnym druczkiem część rachunku za migracje zarobkowe.

Tu rozmowa o mobbingu czy molestowaniu nie pojawia się nawet na horyzoncie. A powinna: nie możemy dopuścić do sytuacji, w której mamy reguły dla pierwszego świata, a pozostałe to dżungla.

©℗ MICHAŁ KUŹMIŃSKI, MICHAŁ OKOŃSKI, MAREK RABIJ, PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, RAFAŁ WOŚ

TYGODNIK POWSZECHNY ■ **www.TygodnikPowszechny.pl**

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Szymon Hołownia, Maciej Müller, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Andrzej Stankiewicz, Przemysław Wilczyński, Rafał Woś
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Wojciech Pięciak (kierownik), Marcin Żyła **Historia:** Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietoniści: Wojciech Bonowicz, Anna Dziewit-Meller, Szymon Hołownia, Jan Klata, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Andrzej Stasiuk
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, o. Wacław Hryniewicz, Piotr Kłodkowski, Piotr Kosiewski, Radosław Korzycki, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, abp Grzegorz Ryś, Agnieszka Sabor, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Paweł Śpiewak, Jacek Taran, Joachim Trenkner
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Kuźmiński (kierownik), Michał Okoński
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik)
TP Typografia: Andrzej Leśniak, Marta Bogucka, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Maja Kuczmińska (kierownik), Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Mateusz Gawron, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (członkini)
Adres wydawcy i redakcji: 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, tel.: 12-422-25-18, 12-422-23-11, redakcja@tygodnik.com.pl
Reklama, promocja: tel. 12-422-05-70, reklama@tygodnik.com.pl, promocja@tygodnik.com.pl
Prenumerata: tel. 12-431-26-83, prenumerata@tygodnik.com.pl

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA — S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

Quad/Graphics — Quad/Graphics w Wyszkowie drukuje „Tygodnik Powszechny"

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

PAWEŁ

Śpiewak: *Wielobarwna Księga Ester*

Warto wiedzieć, że tak zwana Biblia Hebrajska nosi nazwę Tanach i składa się z trzech części. Pierwsza nosi nazwę Tora. Jest to dobrze nam znany Pięcioksiąg. Druga – Prorocy (po hebrajsku Newiim). Trzecia to zwoje czy też pisma, które noszą nazwę Ketuwim. Słowo Tanach bierze się od pierwszych liter poszczególnych części wielkiej księgi. Księga Ester, o której chcę dziś napisać, znajduje się w trzeciej części (zwojach) i jest to ostatnia księga Ketuwim. W skład pism wchodzą jeszcze cztery inne teksty: Księga Rut, Lamentacje, Księga Koheleta oraz Pieśń nad Pieśniami.

Księgę Ester wedle tradycji żydowskiej napisał główny bohater opowieści, Mordechaj. Częściej mówi się jednak, że jest to jedna z licznych bliskowschodnich baśni o haremie, intrygach dworskich, królewskiej władzy i że mogła powstać w formie ustnej przypowieści pośród Persów. Księga dopiero z czasem została spisana i weszła do zbioru ksiąg kanonicznych.

Wiąże się z karnawałowym świętem Purim, obchodzonym od co najmniej dwóch tysiącleci. W samej księdze mowa jest o zabawie, a nawet więcej – o nakazie zabawy, która upamiętniać ma ocalenie Żydów przed zagładą. Nie znajdziemy jednak bliższych informacji, jak święto powinno się obchodzić. Nie wiemy, ile powinno się pić wina, czy należy się przebierać w stroje niecodzienne ani nawet czy możemy dzielić się prezentami z przyjaciółmi.

Charakterystyczne dla czasów nowożytnych jest wydawanie zwoju Ester z rysunkami lub malunkami. Wiele z nich się zachowało i, jak do tej pory, cieszą oczy specjalistów czy takich zwykłych szczęśliwców jak ja, którzy mogli zajrzeć do odpowiednich magazynów i zobaczyć owe edytorskie cuda. Pierwsze ozdobne megile – zwoje pojawiły się w XVI wieku we Włoszech, zapewne z inspiracji włoskich artystów. Dużą rolę odegrał tu teatr wenecki, gdzie często wystawiane były dramaty związane z historią Ester.

Zdobienia zwojów są wielobarwne. Przepełnione motywami zwierzęcymi i roślinnymi. Pojawiają się też liczne przedstawienia postaci ludzkich. Nie jest więc prawdą, że Żydzi nie tworzyli sztuki portretowej. Potrafili omijać drugi przepis Dziesięciorga przykazań, gdzie wprost zakazuje się przedstawiania ludzkich postaci. W megilach figura ludzka jest wszechobecna. Najchętniej przedstawiano Hamana, wroga Żydów, z jego synami (wąsate gęby), wiszących na szubienicach. Wiele wysiłku i kunsztu włożono w obrzydzanie wezyra królewskiego. Widzimy wiele szczegółów architektonicznych i fizjologicznych. Dobrym tematem dla rysowników była też uczta Aswerusa. Czasem wąsate na niej bywają nawet i cheruby.

Wiele można się dowiedzieć z tych zwojów o historii Ester i Mordechaja, a najlepszy klucz do ich rozumienia znajdziemy w wydanej przez Żydowski Instytut Historyczny książce dr Dagmary Budzioch na temat zwojów Ester zgromadzonych w zbiorach naszego Instytutu. ©

O. WACŁAW

Oszajca: *Prawda z tego i tamtego świata*

Kończymy rok kościelny 2018 i jednocześnie zaczynamy 2019. Koniec staje się początkiem nie bez powodu: czas jest Bożym stworzeniem, darem, wyrazem Bożej miłości, ikoną wieczności, wiecznego dziania się, wiecznego życia. Wyraźnie to widać podczas sprawowania sakramentów, zwłaszcza Eucharystii. Ludzka mowa, chleb, wino, woda, oliwa, gesty – mówią, że podobnie jak w liturgii, w całej widzialnej rzeczywistości dzieje się rzeczywistość niewidzialna, pochodząca z tego samego źródła: od Boga.

Widać to doskonale w chwili przeistoczenia. Widzimy, smakujemy i spożywamy chleb i wino, ale wiemy – bo wierzymy – że widzimy, smakujemy i spożywamy Ciało i Krew Boga. Zarówno w szczęściu, jak i w nieszczęściu, ale tam, gdzie zło i grzech przede wszystkim.

Przypomnijmy faryzeusza Szymona, który zaprosił Jezusa w gości. I kiedy podczas posiłku „pewna kobieta, znana w mieście jako grzesznica (...) przyniosła olejek w alabastrowym flakoniku (...) i płacząc u stóp [Jezusa], zaczęła je obmywać łzami i wycierać włosami, całowała Jego stopy i namaszczała olejkiem", wtedy zgorszony faryzeusz pomyślał, że „gdyby [Jezus] był prorokiem, wiedziałby, kto Go dotyka i jaka jest ta kobieta – że jest grzesznicą". Następnie wywiązała się dyskusja, którą Jezus tak podsumował: Szymonie „mówię ci: odpuszczone są jej liczne grzechy, ponieważ bardzo umiłowała. Komu mało się odpuszcza, ten mało miłuje".

Czytając o tym wydarzeniu, staliśmy się świadkami zderzenia dwu sposobów patrzenia na rzeczywistość – z tego i nie z tego świata. Przypomnijmy rozmowę Piłata z Jezusem. Piłat „przywołał Jezusa i zapytał Go: »Czy Ty jesteś królem Żydów?«. Jezus odpowiedział: »Moje królestwo nie jest z tego świata. Gdyby moje królestwo było z tego świata, moi podwładni walczyliby, abym nie został wydany Żydom. Teraz zaś moje królestwo nie jest stąd«. Wówczas Piłat rzekł Mu: »A więc jesteś królem«. Jezus odparł: »To ty mówisz, że jestem królem. Ja urodziłem się i przyszedłem na świat po to, aby dać świadectwo prawdzie. Każdy, kto jest z prawdy, jest Mi posłuszny«". A zatem królestwem Jezusa jest prawda. Czyli – mówiąc za Piłatem – co?

Szymon, Piłat i wielu innych, w tym przywódcy ludu, uczestniczyli w najważniejszych wydarzeniach wszech czasów, ale gardząc Jezusem z powodów religijno-politycznych i narodowych wzgardzili prawdą, z którą Jezus do nich przyszedł. A dzisiaj? Ma rację Anne Applebaum, kiedy mówi o Kościele, że „instytucje popełniają błędy. Film »Kler« świadczy o tym, że polaryzacja polityczna, na rzecz której działał polski Kościół katolicki, wywołała ostrą reakcję – a Kościół może być jedną z tych instytucji, które najbardziej ucierpią w jej wyniku. Polski Kościół sam ukręcił bicz na siebie". Prawda z tego świata też może zawierać prawdę ze świata tamtego. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Ubodzy – ubogim

Prawda nie przyszła na świat naga, lecz w symbolach i obrazach.

EWANGELIA FILIPA

Wszystkie zjawiska są aspektem ostatecznego.

SUTRA SERCA

„Gdy wydajesz obiad albo wieczerzę, nie zapraszaj swoich przyjaciół ani braci, ani krewnych, ani zamożnych sąsiadów, aby cię i oni nawzajem nie zaprosili i miałbyś odpłatę. Lecz (...) zaproś ubogich, ułomnych, chromych i niewidomych" (Łk 14, 12nn) – oto Jezusowe pouczenie, z którym skonfrontowała nas Liturgia w minionym tygodniu. Dlaczego mamy zapraszać „ubogich, ułomnych, chromych i niewidomych"? Ewangelia udziela nam dwóch odpowiedzi.

Pierwsza pada nieco dalej – w następnej perykopie, którą stanowi przypowieść o zaproszonych na ucztę. Gospodarz/Ojciec rodziny poleca swojemu słudze: „Wyjdź (...) i sprowadź tu ubogich, ułomnych, niewidomych i chromych" (zob. Łk 14, 21). Rozpoznajecie się? To my jesteśmy zaproszonymi na ucztę Pana w Jego Królestwie. My: ubodzy i ułomni, niewidomi i chromi. On widzi naszą biedę – fizyczną, duchową – każdą. Nie pozwala Mu ona pozostać obojętnym i bezczynnym.

Zaproszeni na Jego ucztę – nie tylko mimo, ale raczej z powodu naszej wielorakiej biedy – jak zachowamy się wobec innych, podobnych do nas? Zauważeni przez Pana – zauważymy ich również? Znajdziemy dla nich czas i miejsce przy stole? Uszanowani przez Boga – pomożemy im również zobaczyć na nowo ich wartość i godność?

W swoim Orędziu na drugi Światowy Dzień Ubogich zatytułowanym „Biedak zawołał, i Pan go usłyszał" Franciszek gorzko zauważa, że krzyk ubogich, który przebija niebiosa i dociera do Boga – przez nas nierzadko nie jest słyszany (nawet jeśli pada z najbliższej odległości). Ostatecznie jednak nie chodzi o moralizowanie – chodzi o wdzięczność i wzajemność.

Drugi motyw, dla którego powinniśmy zaprosić „ubogich, ułomnych, chromych i niewidomych", pada nieco wcześniej. Każdemu, kto odpowie na to wezwanie, Jezus obiecuje: „otrzymasz odpłatę przy zmartwychwstaniu sprawiedliwych" (Łk 14, 14). Znów można postawić pytanie: dlaczego? Skąd się bierze owo wewnętrzne zobowiązanie Boga, by „odpłacić" człowiekowi, który usłużył ubogiemu?

Odpowiedź znamy z jednego z najczęściej przytaczanych w ostatnich latach tekstów Ewangelii: „byłem głodny, a daliście Mi jeść; byłem spragniony, a daliście Mi pić; byłem obcy, a przyjęliście Mnie; byłem nagi, a przyodzialiście Mnie; byłem chory i w więzieniu, a przyszliście do Mnie. Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych najmniejszych – Mnieście uczynili" (Mt 25, 35 n).

Może się zdarzyć (a raczej zdarzy się na pewno), że odwracając wzrok od ubogiego – odwrócimy go od Pana. Zatykając uszy na krzyk ułomnego – przestaniemy słyszeć Boga. Zamykając dom przed chromym – wyprosimy Jezusa. Okaże się wtedy, że Jego zaproszenie na ucztę – z którego skwapliwie skorzystaliśmy – niczego w nas nie zmieniło: byliśmy ślepi, i pozostaliśmy ślepi. Byliśmy „biedni", i nie odkryliśmy żadnego swojego bogactwa.

To ważne Słowo. Ważne na Dzień (a właściwie na trwający właśnie Tydzień) Ubogiego (od 12 do 18 listopada). Wszyscy czujemy, że tego Słowa nie można jedynie przeczytać; ono musi się przełożyć na czynny konkret. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (18-25 XI)

33. niedziela zwykła: Dn 12, 1-3; Ps 16; Hbr 10, 11-14. 18; Mk 13, 24-32;
Poniedziałek: Ap 1, 1-4; 2, 1-5a; Ps 1; Łk 18, 35-43;
Wtorek: Ap 3, 1-6. 14-22; Ps 15; Łk 19, 1-10;
Środa: Ap 4, 1-11; Ps 150; Łk 19, 11-28;
Czwartek: Ap 5, 1-10; Ps 149; Łk 19, 41-44;
Piątek: Ap 10, 8-11; Ps 119; Łk 19, 45-48;
Sobota: Ap 11, 4-12; Ps 144; Łk 20, 27-40;
Uroczystość Jezusa Chrystusa Króla Wszechświata: Dn 7, 13-14; Ps 93; Ap 1, 5-8; J 18, 33b-37.

Wybrał PIOTR SIKORA

ROZDARTE JĘZYKI

Nowomowa narzucona przez władzę dzieli ludzi w sposób najgorszy z możliwych. Wypowiadamy te same słowa, lecz znaczą one coś przecistawnego.

MARCIN MATCZAK

Kiedy dwóch ludzi albo dwie grupy ludzi używają tych samych słów w odmiennym czy nawet przeciwstawnym znaczeniu, komunikacja między nimi staje się niemożliwa. Wydaje się, że mówią o tym samym, a mówią o czymś innym.

Łączenie w jednym zdaniu lub kontekście tak samo brzmiących słów, mających różne znaczenie, to zmora licealnych wypracowań, ale i postrach początkujących naukowców. Okazuje się jednak, że może być także chorobą narodową. Na taką chorobę zapadł język publicznej dyskusji, którą od 2015 r. toczą Polacy.

Dwa pierwsze z brzegu przykłady to „dobra zmiana" i „gorszy sort". Dla jednych „dobra zmiana" to zmiana rzeczywiście dobra, a więc na lepsze. To wstawanie z kolan, to koniec pedagogiki wstydu, to nowa, jaśniejsza Czwarta Rzeczpospolita. Dla innych „dobra zmiana" to zmiana na gorsze. Co ciekawe, dla tych samych, dla których dobra zmiana to zmiana zła, gorszy sort wcale nie jest gorszy. Jest lepszy. Mimo że w intencji tych, którzy termin „gorszy sort" ukuli, miał on być powodem do wstydu, ci, których tak nazwano, posługują się nim z dumą. To, co złe, i to, co dobre, zamienia się miejscami, choć słowa te same.

Ten proces dotknął tak podstawowych dla wspólnoty słów jak „polskość" czy „chrześcijaństwo". Dla jednych polskość to zamknięcie na świat, dla drugich otwarcie. Dla jednych to przeszłość, dla drugich przyszłość. „Chrześcijanin" to dla części Polaków obrońca wiary, rodem z krucjat, traktujący uchodźców jak najeźdźców. Dla innych chrześcijanin to ktoś utożsamiający się z miłosiernym Samarytaninem i troskliwie pochylający się nad cierpieniem innych, choćby byli mu obcy.

„Lech Wałęsa" w zależności od mówiącego może oznaczać bohatera bądź zdrajcę. I nie chodzi tutaj o różnice znaczeniowe czy spory o treść niejasnych pojęć lub historyczne fakty. W sensie ścisłym Polacy wypowiadają identyczne słowa – a słowa te znaczą coś przeciwstawnego.

Słowa takie jak „polskość" i „chrześcijaństwo" są używane w odmiennych znaczeniach, bo ci, którzy ich używają, chcą zdefiniować na swój sposób wspólnotę, którą tworzą. Problem w tym, że każda definicja wyklucza. Jeśli polskość to zamknięcie na świat, z polskości wyklucza się otwartych. Ale i na odwrót – jeśli polskość to otwartość na świat, zdaje się, że nie ma w niej miejsca na zamkniętych. Jak pogodzić te dwa spojrzenia?

Szukajcie w tradycji

Aby odpowiedzieć na to pytanie, najlepiej wyobrazić sobie używanie języka jako sięgający w przeszłość ciąg zastosowań danego słowa do rzeczywistości. Każde nasze słowo, którego używamy dzisiaj, ma swoją historię. Składa się ze wszystkich przypadków jego użycia w przeszłości. Słowo „pies" zostało w języku polskim użyte w przeszłości zapewne miliardy razy i za każdym razem w jakiś sposób odnosiło się do rzeczywistości – do czworonożnego stworzenia, które (zazwyczaj) szczeka i (zazwyczaj) macha ogonem na powitanie. Nie wszystkie jednak psy szczekają i nie wszystkie mają ogon, którym można pomachać. Dlaczego więc także te stworzenia nazywamy psami? Co decyduje o istocie psa?

Według niektórych o istocie nazywanej rzeczy decyduje jej wewnętrzna struktura, umożliwiająca pełnienie określonej funkcji. Nieszczekający czy niemachający ogonem pies nadal nazywany jest psem, ponieważ ma psią naturę, wyprodukowaną przez geny, i psią kulturę, polegającą na wypracowanym przez wieki udomowieniu. Dzięki temu nadal może pełnić funkcję najlepszego przyjaciela człowieka. Inne zwierzę np. wilk, ma odmienną naturę i kulturę i na najlepszego przyjaciela człowieka się nie nadaje.

Co zrobić, aby odkryć naturę i funkcję, która stoi za słowem „pies"? Trzeba badać tradycję użycia tego słowa, analizować rzeczywistość, do której słowo to było odnoszone, oraz skutki prawidłowego albo nieprawidłowego odnoszenia. Prawidłowe użycie to takie, które prawidłowo kwalifikuje rzeczywistość ze względu na jej funkcję dla człowieka. Jeśli kupiłeś na targu puszystą kulkę, jak zdarzyło się to pewnemu Rosjaninowi, i przyniosłeś ją do domu, informując rodzinę, że kupiłeś psa, to jeszcze nie wiesz, czy dobrze zastosowałeś to słowo do rzeczywistości. O tym, że zrobiłeś to źle, dowiadujesz się w momencie, kiedy z tej kulki wyrasta niedźwiedź brunatny. Raczej nie zostanie najlepszym przyjacielem twoich dzieci, bo ze względu na swoją naturę będzie dla nich niebezpieczny.

Używanie języka to metoda prób i błędów. Chodzi o to, aby nasze dzisiejsze nazywanie rzeczywistości było ↦

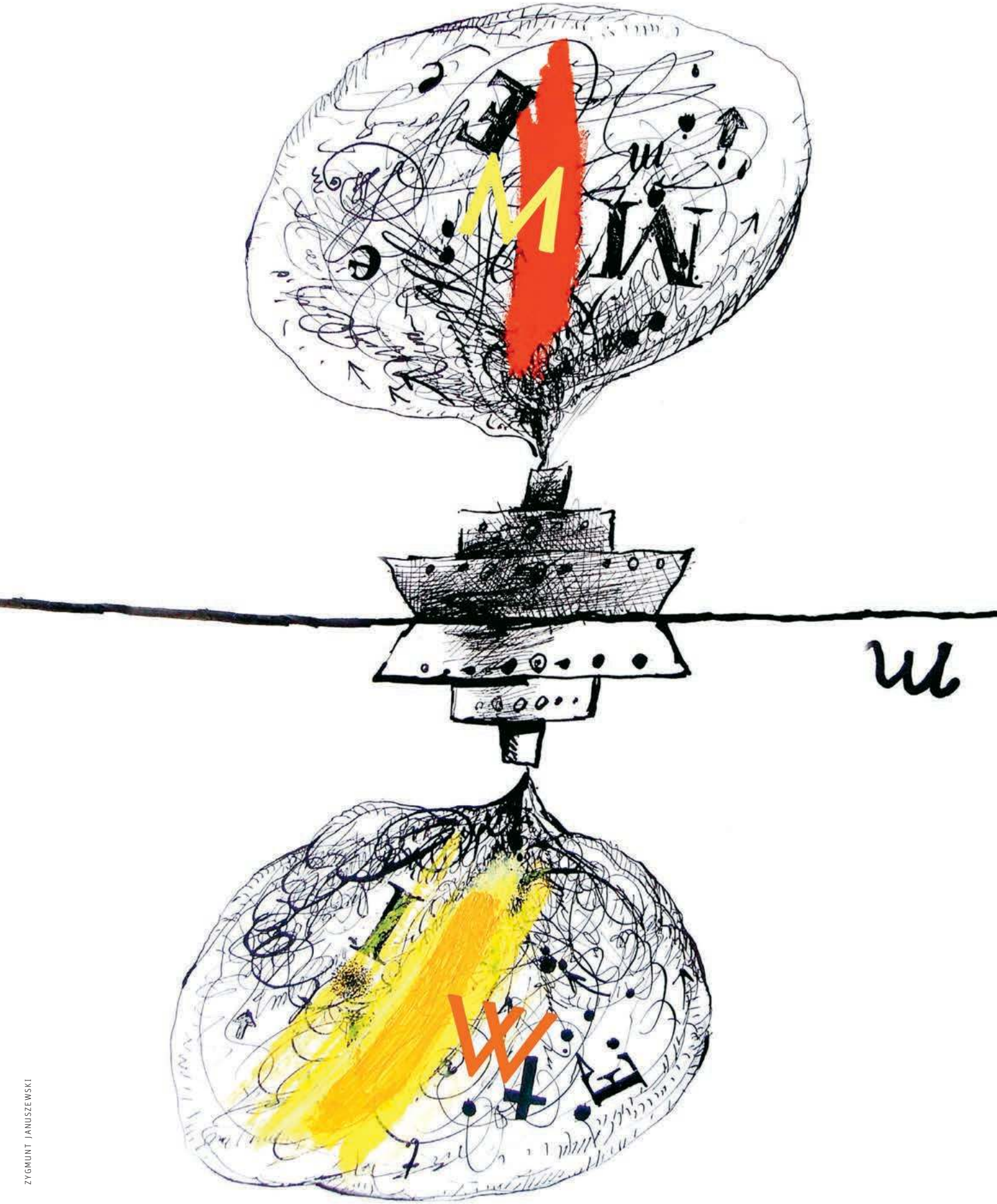

ZYGMUNT JANUSZEWSKI

↦ powtórzeniem prawidłowych zastosowań nazwy z przeszłości. Aby tak było, musimy wiedzieć, do jakich stanów rzeczy dane słowo było tradycyjnie odnoszone i jaki był tego skutek. Musimy analizować tradycję języka.

Zbiorowa hipnoza

Właśnie dlatego każdy, kto chce na nowo zdefiniować rzeczywistość, ma problem z tradycją, bo ta go ogranicza. Kiedy ktoś wypowiada słowo „pies", w naszych umysłach pojawia się dosyć stabilny obraz. Podobnie jest z bardziej abstrakcyjnymi słowami, takimi jak „okrutny", „niezależny" czy „wolny".

Podobnie jest z polskością i chrześcijaństwem. Mimo że natura rzeczy, do których te słowa się odnoszą, nie jest tak łatwa do zbadania jak natura czworonożnego ssaka, zasada jest podobna: jeśli chcesz wiedzieć, co naprawdę znaczy okrucieństwo czy wolność, badaj tradycję użycia tych słów i skutki prawidłowego i nieprawidłowego użycia. Wtedy zobaczysz, że byli np. ludzie, którzy uznawali, że narkotyki dają wolność. Ale kiedy przeanalizujesz skutki takiego użycia słowa „wolność" w związku z narkotykami, zobaczysz także, że z wolnością nie miały one nic wspólnego, ponieważ prowadziły do zniewolenia nałogiem. Ostatecznie to konsekwencje decydują o prawidłowym bądź nieprawidłowym nazwaniu świata.

Ponieważ tradycja ogranicza, ci, którzy chcą urządzić świat na nowo, ją zwalczają. Nie bez powodu każdy autorytarny reżim odcina się od tradycji prawdziwej i tworzy nową. Nie bez przyczyny każdy rząd mający autorytarne zamiary tworzy swoją nowomowę. Łatwiej jest bowiem zmienić nieograniczany tradycją język niż twardą rzeczywistość. Dlatego w PRL-u strajki były nazywane „nieuzasadnionymi przerwami w pracy", a demonstracje „niepokojami inspirowanymi przez zachodnie ośrodki dywersji propagandowej". Z podobnego powodu w 2017 r. przegrane 1 do 27 głosowanie w sprawie przewodniczącego Rady Europejskiej zostało nazwane zwycięstwem. Język w takich wypadkach staje się automistyfikacją, rodzajem zbiorowej hipnozy.

Jedynym sposobem obrony przed taką zbiorową językową hipnozą jest przywoływanie tradycji i wykazywanie konsekwencji takich, a nie innych zastosowań słów w przeszłości. Musimy ciągle dyskutować, które chwile z naszej historii były przykładami prawidłowego użycia słowa „polskość". Czy polskością był zbiór naszych XVI-wiecznych cech, na które składała się otwartość, tolerancja i gościnność? Czy może polskością była tradycja II Rzeczypospolitej, której ważnym elementem była niezbyt gościnna i tolerancyjna endecja? Do tego, aby się spierać, potrzeba jednej ważnej rzeczy: nieograniczonej wolności słowa i swobody wyrażania poglądów, w tym równego dostępu do mediów, które współcześnie są głównym miejscem publicznej debaty.

Konstytucja jest synonimem fundamentu naszej wspólnoty.
Lecz teraz została zdegradowana do roli obelgi, słowa, które wspólnotę i solidarność niszczy.

Właśnie dlatego kolejną cechą władz o zapędach autorytarnych jest ograniczanie wolności słowa (np. przez cenzurę) i ograniczanie dostępu do mediów osobom, które mogłyby głosić tezy niezgodne z linią władzy. W ten sposób udaje się wyeliminować dyskusję nad tym, czy nasze nazywanie rzeczywistości jest prawidłowe, czy nie. Tym samym utrudnia się dyskusję nad tym, czy konsekwencje takiego, a nie innego nazywania rzeczywistości prowadzą do katastrofy, czy wprost przeciwnie.

Na wspak

Po roku 2015 obszarem, w którym opisane wyżej choroby zbierają szczególne żniwo, jest prawo. To smutne, ponieważ tradycyjnie język prawny jest uważany za szczególnie precyzyjny. Dlatego m.in. jest tak skomplikowany i niestrawny dla zwyczajnego człowieka. Wynika to z tego, że nie wystarczy w nim po prostu nazwać rzeczy. Trzeba ją od razu zdefiniować oraz wskazać, jakich elementów dana nazwa nie obejmuje, a także wyłączyć przez liczne zastrzeżenia wszelkie możliwe nieporozumienia.

Ten z natury precyzyjny język w ostatnich latach stał się kopalnią dwuznaczności. Właściwie cały polski kryzys praworządności, zapoczątkowany atakiem na Trybunał Konstytucyjny, przez likwidację niezależności Krajowej Rady Sądownictwa, aż po próbę usunięcia sędziów Sądu Najwyższego na czele z I prezes Małgorzatą Gersdorf, można by przedstawić jako próbę zmiany rzeczywistości przez zmianę języka.

W tym zmienionym świecie Trybunał Konstytucyjny z roku 2016, ten kierowany przez prof. Andrzeja Rzeplińskiego, a więc Trybunał, który sprzeciwia się władzy politycznej, jest „upolityczniony". Ten natomiast Trybunał, którym w roku 2017 kieruje Julia Przyłębska, a w którego progach coraz częściej goszczą politycy i który w żadnej ważnej sprawie tym politykom nie umie się sprzeciwić, jest „apolityczny". KRS jest oczywiście „najbardziej niezależna", kiedy jest najbardziej zależna, i wtedy „najskuteczniej chroni niezawisłość sędziów", kiedy milczy. Wreszcie sędziowie Sądu Najwyższego – „arystokraci nadzwyczajnej kasty i wrogowie ludu" – po błyskawicznie przeprowadzonym naborze stają się „ostoją i uosobieniem wszelkich cnót".

Podobnie zredefiniowano masę innych, ważnych prawniczych słów. „Wyróżnianie się wiedzą prawniczą", warunek niezbędny do zajmowania najwyższych stanowisk sędziowskich, w niektórych przypadkach należy chyba obecnie rozumieć jako wyróżnianie się *in minus*. Niewykonanie wyroku Trybunału Konstytucyjnego kiedyś oznaczało pełne uznanie wyroku, jego publikację w Dzienniku Ustaw, wyrzucenie do kosza niekonstytucyjnej ustawy bez zastępowania jej nową (do czego i tak parlament nie jest zobowiązany). W nowym wspaniałym świecie dobrej semantycznej zmiany oznacza kwestionowanie wyroku, odmowę jego publikacji i dalsze stosowanie niekonstytucyjnej ustawy. Te dwa „niewykonania" są jak dzień i noc, ale ich pokrętne zrównanie pozwoliło obwieścić światu, że obecna władza nie robi niczego nadzwyczajnego, bo poprzednicy też nie wykonywali wyroków TK.

Postegipski Dekalog

Najbardziej bolesna dla praworządności zmiana dotyczy korony porządku prawnego – Konstytucji Rzeczypospolitej Polskiej. Akt prawny, którego nazwa jest synonimem fundamentu, synonimem czynnika podtrzymującego wspólnotę, został przez rządzących zdegradowany do roli obelgi, a więc słowa, które jakąkolwiek wspólnotę i solidarność niszczy.

To tak, jak gdyby przypominane grzesznikowi słowo „Dekalog" zostało potraktowane przez niego nie jako upomnienie i nawoływanie do nawrócenia, ale jako wyzwisko rzucone pod jego adresem. Dzięki takiej degradacji znaczeń łatwiej było Konstytucję zlekceważyć – i tak przecież była „konstytucją postkomunistyczną" (podobnie jak Dekalog był postegipski). Ponownie zmiana językowa pociąga za sobą zmianę w podejściu do rzeczywistości.

Do czego prowadzi nowe nazywanie rzeczywistości prawnej? Czy jest sensowne, czy też groźne? Jak zawsze w języku, należy obserwować konsekwencje takiego, a nie innego użycia języka. Tak jak nazwanie niedźwiedzia psem może być katastrofalne w skutkach dla rodziny, tak nazwanie politycznego apolitycznym może być katastrofalne dla państwa.

Okazuje się bowiem, że wielka rewolucja w języku i w prawie ma opłakane skutki. Apolityczny i rzekomo świetnie funkcjonujący Trybunał Konstytucyjny wspiera realizowany przez polityków demontaż KRS i SN, i jest tak bardzo efektywny, że rozstrzyga o połowę mniej spraw niż ten wcześniejszy. Nowa KRS, która według deklaracji tysiąc razy lepiej i demokratyczniej reprezentuje sędziów niż stara, myśli i mówi jednym głosem z politykami, a sędziów wyrażających swoje opinie atakuje. Wreszcie do Sądu Najwyższego, który miał być podobno moralnie oczyszczony, powołuje się byłego prokuratora, który nakazał przesłuchanie kobiety w czasie porodu, co słusznie zostało uznane przez Europejski Trybunał Praw Człowieka za nieludzkie traktowanie. Jeżeli prawidłowość użycia języka mamy oceniać po owocach, to te powyższe są niestety zgniłe.

Nasza rzeczywistość i nasz język są ściśle powiązane, bo podstawową funkcją języka jest porządkowanie rzeczywistości. Najpierw nazywamy rzeczy i zjawiska, a więc przyporządkowujemy im znaki: nazywamy substancje trującymi, nazywamy ludzi wspaniałomyślnymi, nazywamy miejsca bezpiecznymi. Następnie jako społeczeństwo dbamy o to, aby te znaki stabilnie trwały przy rzeczach i zjawiskach, do których zostały przyporządkowane. Dlatego poprawiamy dzieci, które mylą się w nazywaniu rzeczywistości.

Z tego samego powodu potępiamy kłamstwo – jest ono negatywnie oceniane w każdej kulturze właśnie dlatego, że destabilizuje język. Jeśli to, co czarne, jest nazywane białym, nasz projekt porządkowania rzeczywistości załamuje się i czujemy się zagubieni w świecie. Już nie wiadomo, co jest trujące, i nie wiadomo, co jest bezpieczne. Nie wiadomo, kto jest wrogiem, a kto przyjacielem. Świat staje się chaosem.

Zakopać rów

A chaos jest niektórym na rękę. Ponieważ tradycja językowa nie pozwala nazywać białego czarnym, najczęściej tradycja zostaje zakwestionowana. Nazywa się ją np. tradycją burżuazyjną czy postkomunistyczną i w ten sposób odcina się od niej, uzyskując tytuł do ponownego urządzenia świata. Ponowne nazwanie rzeczywistości, stworzenie orwellowskiej nowomowy jest początkiem podboju tej rzeczywistości.

Nie bez przyczyny Józef Stalin był nie tylko wielkim mordercą, ale uważał się także za wielkiego lingwistę. Nie bez przyczyny w „Dyktatorze" Sachy Barona Cohena satrapa rozpoczyna swoje rządy od wyrugowania z języka pary słów „pozytywny-negatywny" i zastąpienia jej jednym, nowym słowem, co powoduje zrozumiałe zamieszanie w komunikacji. Mimo że to komedia, nie jest to w szerszym kontekście śmieszne – gwałt na języku powoduje, że znika różnica między dobrem a złem.

Zniszczenie polskiego państwa prawa powiązane było z rozdarciem na pół języka, którym o prawie i wspólnocie na tym prawie opartej się mówi. Nadanie słowom nowych znaczeń powiększyło chaos i podzieliło ludzi w sposób najgorszy z możliwych. Uniemożliwiło komunikację między dwiema stronami sporu. A strony, które nie mogą się porozumieć, na zawsze w tym sporze pozostaną, bo nie mają narzędzia, którym spór ten można załagodzić – nie mają wspólnego języka.

Muszą go odzyskać, jeśli znowu chcemy ze sobą rozmawiać i jeśli chcemy się zrozumieć – zarówno w ramach języka powszechnego, którym mówimy o polskości, jak w ramach języka, którym mówimy o prawie, bo prawo jest jednym z fundamentów naszej wspólnoty.

© MARCIN MATCZAK

REKLAMA

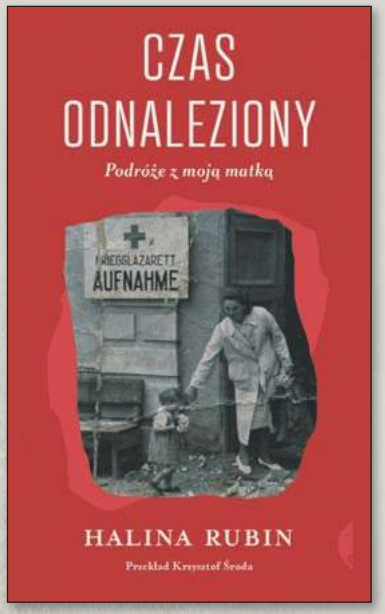

Halina Rubin
CZAS ODNALEZIONY
Podróże z moją matką
Przekład Krzysztof Środa

Intymna podróż do dawno zapomnianych miejsc

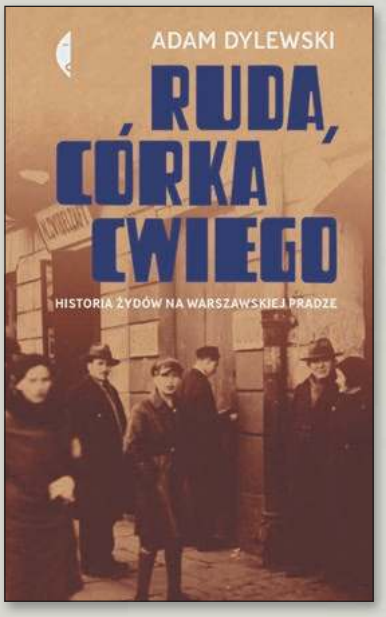

Adam Dylewski
RUDA, CÓRKA CWIEGO
Historia żydów na warszawskiej Pradze

Niezwykłe tajemnice żydowskiej Pragi

CHIDUSZ.COM Midrasz HISTMAG.ORG Jewish.pl

CZARNE.COM.PL

KAROLINA MISZTAL / REPORTER

Donald Tusk głosuje w wyborach samorządowych, Sopot, 21 pździernika 2018 r.

Dołki i szczyty

JAROSŁAW FLIS

W wyborach samorządowych PiS wyszedł z dołka – ale to nie znaczy, że jest górą. Stwierdzenie Jarosława Kaczyńskiego, że jest bezapelacyjnym zwycięzcą, każe pytać, czy nie odrywa się od rzeczywistości.

Od czasu powołania samorządu wojewódzkiego był on polem wyrównanej walki i różnych układów koalicyjnych. Ponieważ to, kto rządzi w każdym województwie, ustalane jest oddzielnie, a polska przestrzeń polityczna ma swoje wyraźne wzory, od początku było oczywiste, że w różnych częściach kraju faworytami są różne partie. Niezależnie od tego, która z nich jest w danym momencie u szczytu władzy w kraju, a która pełni rolę opozycji, każda może zdobyć swój kawałek tortu i miejsce, gdzie może realizować swoje wizje oraz pomnażać zasoby kontrolowane przez samorząd.

Apogeum sejmikowej równowagi były wybory 2006 r., gdy wraz z kulminacją zamieszania na scenie politycznej w 16 województwach powstało 11 różnych wzorów koalicji pomiędzy znanymi z Sejmu siłami. Dziś mało kto już o tym pamięta, ale na 16 marszałków 10 było wówczas z PO, 4 z PiS a 2 z PSL – co dobrze pokazuje, że zwycięstwo w wyborach samorządowych oznacza wyraźny kawałek władzy, ale zdecydowanie nie jej pełnię.

Głosowanie 2010 r. odbywało się po wyborach prezydenckich będących następstwem katastrofy smoleńskiej i w okresie silnych napięć w PiS. Partia odnotowała najgorszy wynik od 2005 r., uzyskując tylko 23 proc. poparcia. Chociaż była drugą co do wielkości siłą i otrzymała co czwarty mandat w sejmikach województw, nie znalazła się w zarządzie żadnego – nawet na Podkarpaciu.

W 2014 r., choć PiS miał już wtedy największe poparcie, słabnąca PO została uratowana przez kilkuprocentowy bonus, który otrzymał PSL na skutek działania nieszczęsnej książeczki. W rezultacie PiS odbił wyłącznie swój podkarpacki matecznik, zdobywając 6 proc. władzy w kraju – trafił więc do dołka na kolejne cztery lata (choć nieco poprawił wyniki w innej konkurencji: w wyborach wójtów, burmistrzów i prezydentów miast; wielu włodarzy zostało wtedy poważnie nastraszonych, choć ostatecznie największym miastem, w którym wygrał kandydat PiS – a i to z niemałym trudem – był Nowy Sącz).

Inkubator i respirator

Na długo przed ostatnimi wyborami nie brakowało obaw, że po zdobyciu pełni władzy w instytucjach centralnych PiS zrobi z opozycją to samo, czego padł ofiarą w wyborach 2010 r. Jest to o tyle istotne, że nie tylko w Polsce, ale i w większości stabilnych demokracji – używając słów duńskiego badacza Ulrika Kjaera – samorządy to nie tylko inkubator ogólnokrajowej polityki, gdzie rozpoczynają się kariery, ale też respirator ratujący przegranych w wyborach ogólnokrajowych. Partie opozycyjne bardzo potrzebowały tego respiratora. Nie trzeba wiele wysiłku, by się domyślić, że plany partii rządzącej były zgoła odwrotne.

Pojawiające się od wiosny badania studziły nastroje wśród osób, które się tym

interesowały, jednak machina politycznej narracji – zapowiedź wielkiej zmiany, przekonanie o własnej sile – ukształtowała wyobrażenia na temat tego, czego można się spodziewać po kampanii wyborczej. Najlepiej ujął to w powyborczym tweecie szef sztabu PiS, Tomasz Poręba, pisząc o „meczu PiS kontra reszta świata".

Skutkowało to niespotykaną do tej pory skalą zaangażowania instytucji centralnych w kampanię. Politycy partii rządzącej intensywnie objeżdżali wybrane miejsca i wspierali kandydatów przy użyciu mocno wątpliwego argumentu, że ich zwycięstwo oznacza większą przychylność rządu i zapowiedź dodatkowych inwestycji. Strategia ta okazała się niewypałem i jest to jedna z nauczek płynących z tych wyborów: elektorat może odczytywać podobny szantaż w ten sposób, że politykom w ogóle nie zależy na jakkolwiek rozumianym interesie zbiorowym, ale wyłącznie na partykularnych interesach własnego środowiska.

Wygrali czy przegrali

Ostatecznie PiS w wyborach do sejmików zdobył mniej niż 35 proc. głosów. To z jednej strony najwyższe poparcie w historii wyborów samorządowych. Z drugiej strony: żadna partia nie była nigdy tak osamotniona. Platformie w 2010 r. wystarczyło 31 proc. do zdobycia 12 marszałków i 49 z 80 członków zarządów – dzięki współpracy z PSL. Dziś nic nie wskazuje na to, by PiS mógł liczyć na marszałków gdziekolwiek poza sześcioma województwami, w których wygrał. Liczba miejsc w zarządach będzie zaś wyraźnie mniejsza.

Bez wątpienia PiS wyszedł z dołka – ale to nie oznacza, że jest górą. Stwierdzenie Jarosława Kaczyńskiego, że jest bezapelacyjnym zwycięzcą, w konfrontacji z faktami może wywoływać rozbawienie lub obawę o to, czy liderzy partii rządzącej nie odrywają się od rzeczywistości. „Bezapelacyjne zwycięstwo" nie przekłada się na władzę nawet w połowie kraju, jeśli chodzi o województwa, a jeszcze ważniejsze okazało się to, co zdarzyło się w gminach.

Wypada tu zresztą zauważyć żenujące nadużycia opowiadających nam o wyborach: na wykresach z wynikami gminnymi pokazano sytuację w 331 gminach, gdzie wygrali kandydaci ogólnokrajowych komitetów. Pominięto – bagatela – 2116 gmin, gdzie wygrali kandydaci komitetów lokalnych. Jeśli zwycięskich włodarzy liczyć nie „na sztuki", lecz „na wagę" – uwzględniając liczbę mieszkańców – to widać, że PiS startował tu z bardzo słabej pozycji. Jego kandydaci w 2014 r. zdobyli władzę w gminach zamieszkałych przez 7,5 proc. Polaków, choć przyciągnęli co szósty głos wyborców – współczynnik przełożenia głosów na realną władzę był więc w przypadku tej partii zdecydowanie najniższy. Wiązało się to właśnie z osamotnieniem i nieumiejętnością budowania koalicji.

Tym razem oczekiwania były jednak większe: PiS wystartował w bezpośrednich wyborach włodarzy w ponad dwóch trzecich kraju. Jeszcze żadna partia nie próbowała tak głęboko wejść w samorządy. I choć widoczny jest tutaj postęp, to przejście z 7,5 na 9,5 proc. (licząc wedle ludności „zdobytych" przez PiS gmin) trudno traktować jako niepodważalny sukces. Tym bardziej że sukces nie oznacza równego postępu na wszystkich frontach: tak naprawdę za całą zmianę odpowiadają najmniejsze gminy, w których być może wspomniany już, klientystyczny przekaz (władza centralna będzie łaskawiej patrzeć na samorządy, w których rządzi PiS) mógł robić jakieś wrażenie. Warto zauważyć, że kandydaci PiS zdobywali średnio o jedną trzecią głosów mniej, niż ich partia tego samego dnia i w tych samych miejscowościach uzyskała w sejmikach.

To poparcie przełożyło się na zwycięstwo w pierwszej turze tylko w nielicznych miejscach, a gdy doszło do drugiej tury, okazało się, że siły przeciwników przeważają. Na 23 miasta powyżej 50 tys. mieszkańców (trudno uznać je za metropolie), w których kandydaci PiS przeszli do drugiej tury, udało się ją wygrać tylko w jednym – i to kandydatowi nie z głównego nurtu PiS, ale z Porozumienia Jarosława Gowina. Zresztą fakt, że jest to Chełm, najbardziej wysunięte na wschód miasto-powiat w Polsce, czyni z tego okazję do internetowych drwin.

Średnie miasta

Dochodzimy tu do kolejnego kluczowego problemu: zapowiedzi na przyszłość. Te wybory były wyjątkowe, gdyż nastąpiła w nich bardzo silna mobilizacja skierowana przeciwko PiS (choć i elektorat tej partii przyczynił się do wzrostu frekwencji). Jednocześnie w mniejszych miejscowościach – tam, gdzie do tej pory wiele osób ignorowało wybory sejmikowe poprzez wrzucenie pustej kartki – również przybyło ważnych głosów. Osoby, które poszły wybierać wójtów (jak we wszystkich wcześniejszych wyborach), tym razem zabrały głos również w sprawie kolejnego samorządowego szczebla – i przyczyniły się do wzrostu poparcia dla PiS.

Na ile jednak ten wzrost jest trwały? Wydarzenia II tury pokazują, że mobilizacja dużych miast przeciwko PiS nie wypaliła się po jednym głosowaniu. Natomiast to, czy wyborcy, którzy zaangażowali się w wybory wojewódzkie, pójdą w przyszłym roku na wybory parlamentarne, pozostaje wielką niewiadomą.

Istotnym elementem jest zwiększenie napięć, jakie nastąpiło pomiędzy „miejską" jedną trzecią kraju (to znaczy mieszkańcami miast co najmniej kilkudziesięciotysięcznych) a jedną trzecią o charakterze wiejskim. PO była i jest przechylona na stronę miast, PSL zaś na stronę wsi. Obecnie na stu wyborców Platformy 49 mieszka w większych miastach, a tylko 19 na wsi. Dysproporcja ta bywała większa we wcześniejszych wyborach sejmowych, PiS tymczasem miał dotąd najbardziej wyrównane poparcie w różnych częściach kraju. Obecnie nastąpił proces „wychylania" tej partii w stronę wsi: spośród stu jej wyborców 28 mieszka w miastach na prawach powiatów, a 38 w małych gminach.

Do tej pory PiS największe poparcie uzyskiwał nie na skrzydłach – obszarach wiejskich i najludniejszych miastach-powiatach – ale w średnich jednostkach. Ta sytuacja uległa zmianie: w średnich miastach partia Kaczyńskiego trafiła na mur. Właśnie tam kandydatom PiS na burmistrzów szło najgorzej ze zdobyciem wyborców, którzy głosowali wcześniej na tę partię w wyborach ogólnokrajowych. Innymi słowy: tylko część elektoratu PiS pozostaje lojalna za każdym razem, kiedy trzeba zagłosować. Owszem, partia ta ma bazę wiernych wyborców, których widać było na miesięcznicach smoleńskich czy w Klubach Gazety Polskiej, ale ten elektorat nie wystarczy do zwycięstwa w wyborach.

To właśnie w miastach średniej wielkości sytuacja jest najmniej przewidywalna i oczywista – nie tak mocno zdeterminowana ogólnonarodowymi podziałami i podatna na indywidualne cechy kandydatów. I to jest najważniejszy wniosek płynący z tej huśtawki emocji. ©

Tabletką we wszystko

KRZYSZTOF STORY

Na suplementy diety wydajemy ponad 4 miliardy rocznie. I często nie wiemy, co kupujemy. Połowa Polaków uważa, że suplementy są testowane tak samo jak leki, chociaż w świetle prawa to po prostu żywność.

Przerwa reklamowa w telewizji oferuje kilka scenariuszy.

Pierwszy: elegancko ubrana blondynka idzie przez szkolny korytarz, w ręku trzyma teczkę. „Jestem pedagogiem szkolnym" – mówi. Do jej gabinetu wchodzą rodzice, mama trzyma syna za rękę. Synek jest ospały, obojętny, mina nieszczęśliwa. Pedagog dobrze zna takie sytuacje. „Często przychodzą do mnie rodzice z dziećmi, które mają kłopoty z aktywnością fizyczną, koncentracją czy rozdrażnieniem. Wszyscy są zdziwieni, że przyczyną jest niski poziom magnezu u dzieci. Jak temu zaradzić? Podać dziecku Magmisie".

Fabuła nabiera tempa, gdy pedagog otwiera szufladę. Żelki są kolorowe i mają kształt miśków. Chłopiec próbuje żółtego. Następnie seria kadrów: młody rysuje, gra w piłkę, nawet zgłasza się na lekcji. Dlaczego? „Dzieci, które stosują Magmisie, potrafią się skoncentrować, są aktywne, radzą sobie ze stresem" – wyjaśnia pedagog.

Scenariusz drugi: młoda lekarka wychodzi z gabinetu trzymając się za nasadę nosa i prosi o wodę. Zatroskana recepcjonistka pyta: „Zatoki?".

Fabuła nabiera tempa, gdy lekarka wsypuje do kubka saszetkę RenoPuren Zatoki HOT. Dalej jest głos z offu, wizualizacja oczyszczania zatok i uśmiechnięta lekarka. „Pani Jolu, nie odwołujemy wizyt?". „Nie, zatoki już w porządku, mam RenoPuren".

Scenariusz trzeci: mama wyciera nos dziewczynce. Chłopiec, jej brat, kaszle. Mama podaje syrop. „Kiedy dziecko czuje się źle, cały dom jest w pogotowiu – mówi. – Tu potrzebna jest sprawdzona pomoc. Pneumolan ma specjalny skład, który skutecznie oczyszcza nos i zatoki".

Dzieci trzymają się za ręce, podskakują.

Żaden ze scenariuszy nie promuje leków. Nie ma w nich antybiotyków, steroidów, substancji przeciwzapalnych. To reklamy jedzenia.

NIK: rynek nie jest bezpieczny

Scenariusze działają. Produkcja suplementów diety to jedna z najszybciej rozwijających się gałęzi polskiego przemysłu. W 2017 r. statystyczny Polak na suplementy wydał ponad 100 zł. Roczna sprzedaż po raz pierwszy przekroczyła 4 mld zł. Prognozy są bardzo dobre. Rynek rozwija się w tempie ok. 8 proc. rocznie.

Magda jest młodą farmaceutką z apteki w krakowskiej Nowej Hucie: – To nie jest tak, że każdy suplement jest zły. Ale trzeba pamiętać, że to nie są lekarstwa. Nie wyleczą nas, tak jak często obiecują to reklamy.

Marta pracuje w aptece na os. Podwawelskim: – Często nie wiadomo, gdzie są robione, brakuje informacji o producencie. Najczęściej są po prostu niepotrzebne. Suplementy zawierają składniki, których powinna nam dostarczyć codzienna, zdrowa dieta.

Jan Bondar jest rzecznikiem prasowym Głównego Inspektoratu Sanitarnego: – Myślę, że mówimy o nawet 7 mld zł rocznie, bo raporty liczą tylko sprzedaż apteczną. Jesteśmy w europejskiej czołówce, na pewno na podium. A dowodów naukowych na potrzebę tak częstej suplementacji, z paroma wyjątkami, po prostu nie ma.

W 2017 r. handel suplementami badała Najwyższa Izba Kontroli. Po publikacji raportu szef NIK Krzysztof Kwiatkowski deklarował: – W Polsce nie jest zapewniony właściwy poziom bezpieczeństwa suplementów diety.

Potwierdzają to wyniki kontroli. Zbadano m.in. 11 probiotyków (jedne z popularniejszych suplementów). Cztery próbki zawierały bakterie niewymienione w składzie. Również cztery zawierały mniej bakterii, niż obiecywał producent. Jedna była zanieczyszczona *Enterococcus faecium*, czyli tzw. bakteriami kałowymi. Probiotyki badał też Narodowy Instytut Leków – na 56 próbek aż 50 nie posiadało stabilności liczby żywych bakterii. Zdarzało się, że ich liczba, jeszcze w okresie przydatności do spożycia, spadła miliardkrotnie.

Szef NIK o suplementach: – W sprzedaży obok rzetelnych preparatów znajdowały się też środki zawierające bakterie chorobotwórcze, substancje zakaźne z listy psychoaktywnych czy stymulanty podobne strukturalnie do amfetaminy.

– Trudno jest kontrolować rynek, na którym każdego dnia pojawia się 15 nowych produktów. Nikt nie chce go niszczyć, ale ucywilizowanie tej branży jest potrzebne – mówi Bondar. Zgadza się z wieloma rekomendacjami NIK, choć sam raport krytykuje i nazywa publicystyką. – Nie ma w sprzedaży produktu, który jest bezpośrednim zagrożeniem, trucizną. Zostałby natychmiast wycofany i takie rzeczy się dzieją. Już sam tytuł „O dopuszczaniu do obrotu suplementów diety" jest błędem. Suplementów nie dopuszcza się do obrotu.

Wystarczy zgłosić

Bondar ma rację, a ja nie bez powodu na początku pisałem o reklamach jedzenia. Tym bowiem są suplementy diety w praktyce i według prawa. To produkty skierowane do osób zdrowych, które służą wyłącznie uzupełnieniu diety w określone składniki. Nie mają i zgodnie z prawem nie mogą mieć właściwości leczniczych, a producent nie może obiecywać tego w reklamie.

Wprowadzenie nowego leku na rynek często zajmuje ponad 10 lat. Badania kliniczne, opracowanie efektów ubocznych, zgoda Państwowej Inspekcji Farmaceutycznej. Przy suplemencie wystarczy dobra reklama i jedno urzędowe pismo.

Czyli zawiadomienie skierowane do Głównego Inspektoratu Sanitarnego. Zawiera m.in. nazwę handlową, wzór opakowania, deklarowany skład. I już. Na weryfikację powiadomienia czekać nie trzeba. Produkt od razu może trafić do aptek i sklepów.

GIS weryfikuje każde powiadomienie. Tylko w 2016 r. dostał ich ponad 7400 – to około 20 dziennie. Dokładne zbadanie wszystkich jest niemożliwe, a postępowania się przeciągają. Średni czas weryfikacji to 455 dni. – Pamiętajmy, że nie ma też potrzeby badania każdego środka. Suplementy diety to żywność, a nie leki – tłu-

GARO / PHANIE / EAST NEWS

maczy Bondar. – Nikt przecież nie bada, ile karotenu jest w każdej marchewce.

W niektórych przypadkach GIS prowadzi postępowania wyjaśniające. Te według raportu NIK trwają średnio ponad sześć lat. W tym czasie produkt często zdąży już zniknąć z rynku.

– Nie chodzi o to, żeby wszystko kontrolować – komentuje Bondar. – To jest nierealne, także ze względu na prawo europejskie. W porównaniu do reszty Europy mamy ścisły nadzór. System jednak wymaga zmian.

NIK, GIS, a także branża postulują wprowadzenie opłat za zgłoszenie nowego preparatu. To usprawniłoby weryfikację, zniknąłby problem „pustych zgłoszeń" składanych na wszelki wypadek. Dziś GIS bywa traktowany jako darmowa firma konsultująca. A producenci, którym faktycznie zależy na opinii, czekają na weryfikację miesiącami.

Według Jana Bondara to jest „urzędnicza" strona sprawy. Dla konsumentów głównym problemem jest brak edukacji.

Czarne, czyli mocniejsze

Magda, farmaceutka: – Czym się różni suplement od leku? Uczyłam się o tym na studiach. Ale większość osób, nawet młodych, nie ma o tym pojęcia. Przyszła do mnie kiedyś klientka i powiedziała: „Da pani te czarne tabletki, to mocniejsze będą".

Krzysztof Pawłowski, lekarz rodzinny: – Ludzie często w ogóle nie rozumieją różnicy. Usłyszą coś w radiu, telewizji, potem przychodzą do mnie. I okazuje się, że bardziej ufają reklamie niż lekarzowi.

Jakie konsekwencje może mieć zażywanie suplementów poza uszczupleniem portfela? – Bezpośrednich skutków nie będzie, chyba że ktoś przedawkuje zalecane spożycie – uspokaja Bondar. – To nie jest tak, że ktoś miesza środki w betoniarce i to trafia do aptek. Ale pośrednie skutki mogą być. O interakcji leków z żywnością powstały opasłe tomy. A suplementy to bardzo skondensowana żywność. Mieszając je z lekami, bez wiedzy lekarza, nie jesteśmy w stanie przewidzieć efektów.

Magda: – Na przykład preparaty wapnia mieszając się z niektórymi antybiotykami powodują, że lek będzie nieskuteczny. O każdej suplementacji powinniśmy powiedzieć lekarzowi.

W 2014 r. TNS Polska zbadał wiedzę Polaków na temat suplementów. Okazało się, że często nie mamy pojęcia, co i dlaczego kupujemy w aptekach. Tylko 27 proc. badanych wiedziało, czym jest suplement (dodatkiem, uzupełnieniem normalnej diety). 39 proc. uważało, że są to witaminy lub minerały. 41 proc. sądziło, że mają właściwości lecznicze, połowa – że są kontrolowane tak samo jak leki.

Byle z reklamy

Oglądając telewizję i słuchając radia można mieć wrażenie, że zewsząd atakują nas reklamy leków. Wrażenie jest oparte na kilku faktach.

Fakt pierwszy: od 1997 do 2015 r. liczba reklam z sektora medycznego wzrosła 20 razy.

Fakt drugi: w 2015 r. co czwarta reklama (24,7 proc.) dotyczyła leków i wyrobów medycznych. W radiu – ponad połowa.

Fakt trzeci: podczas kontroli urzędnicy NIK analizowali 1700 reklam suplementów diety. Wszystkie pochodziły z jednego tygodnia.

Farmaceuci też miewają korzyści za sprzedanie promowanego leku – zbierają punkty, jak w programach partnerskich.

Pierwsze miejsce w rankingu polskich reklamodawców od lat zajmuje jedna ↦

firma – Aflofarm Farmacja Polska z Pabianic. To jeden z największych w kraju producentów suplementów diety i leków bez recepty. W 2017 r. firma przeznaczyła na reklamę 209 mln zł. Tyle, co trzy kolejne firmy w rankingu razem wzięte.

Skuteczność reklam widać w aptekarskiej codzienności. Marta: – Przychodzi klient i mówi, że widział reklamę. Nie pamięta nazwy ani nawet zastosowania. Nie wie, co chce kupić, ale chce, bo widział to w telewizji. A ja telewizji nie oglądam.

Magda: – Słyszę: „Pani magister, pani mi znajdzie, ten w kwadratowym opakowaniu, co reklamują w telewizji".

Marta: – To się zdarza codziennie. Sugerujemy lepsze zamienniki, zarejestrowane jako leki, ale często klient chce to, co było w reklamie.

Krzysztof Pawłowski: – Pacjenci mi w gabinecie mówią tymi reklamami. Całe zdania potrafią cytować.

Producenci wykorzystują siłę reklam. Po obejrzeniu ponad setki widzę trzy główne grupy docelowe: ludzie starsi, panowie z zaburzeniami erekcji i mamy. Suplementów dla dzieci jest coraz więcej. Ale produkt można sprzedać na wiele sposobów, wystarczy dobry scenariusz, który wykreuje zapotrzebowanie. Jest więc suplement na zespół niespokojnych nóg (zawierający głównie zwykły magnez). Jest tabletka na wątrobę, która dodatkowo odchudza („efekt uboczny, bo znikają boczki"). Tabletka na kaszel palacza. Na pocenie się. Na koncentrację. Na złą pogodę też była, ale wycofano. Jest suplement, dzięki któremu nasze dziecko będzie wyższe. I taki, dzięki któremu zacznie więcej jeść. Albo mniej – taki też jest.

– Reklama nie może pokazywać, że suplement leczy – mówi Jan Bondar. – Nie powinna sugerować, że jeśli nie zjesz tabletki, to zachorujesz. To często nielegalne, a na pewno nieetyczne. I prawo powinno zdecydowanie bardziej to ograniczać. W tej kwestii muszą być ostre ograniczenia i wysokie kary za ich łamanie.

26 milionów za reklamę

Kontrolowaniem reklam zajmuje się Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów. Kary bywały dotąd raczej symboliczne. Za reklamę niezgodną z przepisami firma musiała zapłacić od 200 do 30 tys. zł. Często wystarczyło wycofanie reklamy. To efekt braku odpowiednich regulacji.

W raporcie z 2017 r. NIK rekomenduje: podniesienie kar, zmiany w oznakowaniu opakowań, wprowadzenie zakazu sugerowania właściwości leczniczych oraz zakazu wykorzystywania w reklamach wizerunku osób ze środowiska medycznego. Ministerstwo Zdrowia nigdy tych zaleceń nie wdrożyło, mimo że 23 lutego 2017 r. obiecywał to w Sejmie podsekretarz stanu Krzysztof Łanda. Dziś już nie pracuje w MZ, nie ma też jego obietnic. Na moje pytanie o nowe regulacje ministerstwo odpowiada, że prowadzi prace analityczne. „Na obecnym etapie nie można podać konkretnego terminu zakończenia tych prac".

Suplementy to bardzo skondensowana żywność. Mieszając je z lekami, bez wiedzy lekarza, nie jesteśmy w stanie przewidzieć efektów.

Regulacje wspiera też sama branża, przynajmniej teoretycznie. 31 stycznia 2017 r. kilka firm podpisało Kodeks Dobrych Praktyk, który pokrywa się z postulatami NIK. Wśród nich Aflofarm.

Trzy scenariusze opisane na początku tekstu powstały przed podpisaniem kodeksu. Pierwsze dwa są Aflofarmu, trzeci – czeskiej firmy Walmark. Nie wybrałem ich przypadkowo. Każdy skończył się dochodzeniem UOKiK, drugi zaś dotkliwą karą. Za nieetyczną reklamę preparatu RenoPuren Zatoki firma z Pabianic musi zapłacić prawie 26 mln zł. To najwyższa kara nałożona przez UOKiK w 2017 r.

W reklamie producent sugeruje działanie lecznicze, wykorzystuje wizerunek lekarki. Robi dokładnie to, czego zakazuje Kodeks, który podpisał parę miesięcy później. Piszę do Aflofarmu z prośbą o komentarz. Dostaję odpowiedź: „Nie zgadzamy się z decyzją UOKiK-u, który zakwestionował reklamę RenoPurenu, ani tym bardziej z orzeczoną nieproporcjonalną i rażąco wysoką karą. Odwołaliśmy się od decyzji i sprawa zostanie rozstrzygnięta na drodze sądowej".

Internet już uciekł

Maciej Bartosik, rzecznik Aflofarm: – Popieramy wszelkie rozwiązania, które mają na celu podnoszenie standardów rynku suplementów diety. Zmiany na tym rynku powinny iść raczej w kierunku walki z szarą strefą producentów, którzy bardzo często bezprawnie, bez żadnych pozwoleń sprzedają swoje produkty w internecie.

Handel w internecie to kolejny problem branży medycznej, być może poważniejszy niż regulacje reklamowe. Praktycznie nie da się go kontrolować. Wraz z raportem NIK opublikował listę 38 zakwestionowanych suplementów. Większość wciąż jest dostępna w sklepach internetowych. W sieci spokojnie kupimy też sibutraminę, dawno wycofany z rynku środek na odchudzanie. Z zagranicznych serwerów można zamówić narkotyki sprzedawane jako suplement diety. NIK wspomina w swoim raporcie jedno symptomatyczne zdarzenie. „W marcu 2016 r. na jednej ze stron internetowych oferujących suplementy diety w kategorii »Moda i zdrowie/Medycyna« dostępne było ogłoszenie oferujące substancję zwaną potocznie pigułką gwałtu". Policja ustaliła, że e-mail, z którego zamieszczono ogłoszenie, należy do serwisu zajmującego się anonimizacją danych, uniemożliwiającą identyfikację właściciela. Operator serwisu stwierdził, że nie ma możliwości ustalenia konkretnych danych.

Jan Bondar o internetowej szarej strefie mówi wprost: – Tego króliczka już nie dogonimy. Jedynym dobrym przewodnikiem jest tutaj zdrowy rozsądek.

Jak zatem sprawdzić, czy kupujemy dobry i bezpieczny środek?

Jan Bondar: – Warto sprawdzić, czy występuje on w rejestrze [dostępny pod adresem rejestrzp.gis.gov.pl – red.], spojrzeć na dane firmy. My, jako GIS, planujemy też dużą kampanię edukacyjną.

Magda: – Zawsze warto porozmawiać z lekarzem. Widzę, że coraz więcej ludzi jednak się orientuje. Nawet starsze panie już czują, że „lek" to jednak lepiej niż „suplement".

Marta: – Warto wybierać dobre składy. Jeśli magnez, to niech to będzie cytrynian albo mleczan magnezu, a nie tlenek czy węglan.

Jan Bondar: – I warto zachować umiar. Jeśli bierzemy witaminę D, bo jest mało słońca, czy tran – nie widzę w tym nic złego. Ale pamiętajmy, że przy normalnej diecie łykanie tabletek jest zbędne. Ja co tydzień jeżdżę na podmiejskie targowisko. I to jest najlepsza hurtownia suplementów, jaką znam.

© KRZYSZTOF STORY

Popsuta Superniania

ANNA GOLUS

Nauczyliśmy się uważać na słowa, mówiąc o wykluczonych dorosłych. Ale dzieci ta uważność nie dotyczy. Dowodem jest nowa książka znanej psycholog Doroty Zawadzkiej.

Prawie sto lat temu Janusz Korczak pisał w książce „Kiedy znów będę mały": „Zawsze jak dorosły się krząta, to dziecko się plącze, dorosły żartuje, a dziecko błaznuje, dorosły płacze, a dziecko się maże i beczy, dorosły jest ruchliwy, dziecko wiercipięta, dorosły smutny, a dziecko skrzywione, dorosły roztargniony, dziecko gawron, fujara. Dorosły się zamyślił, dziecko zagapiło. Dorosły robi coś powoli, a dziecko się guzdrze. Niby żartobliwy język, a przecie niedelikatny. Pędrak, brzdąc, malec, rak – nawet kiedy się nie gniewają, kiedy chcą być dobrzy. Trudno, przyzwyczailiśmy się, ale czasem przykro i gniewa takie lekceważenie".

Korczak już wówczas dostrzegał to, co językoznawcy i badacze opisali znacznie później – że język nie tylko opisuje rzeczywistość, ale też ją kształtuje, przyczyniając się do reprodukowania nierówności i uprzedmiotawiania pewnych grup ludzi.

O dyskursie rasistowskim i seksistowskim napisano już dużo, ostatnio sporo mówi się także o języku opisującym niepełnosprawność i jego wpływie na społeczne postrzeganie osób – no właśnie – „niepełnosprawnych" czy „z niepełnosprawnościami"? Zdania są podzielone nawet wśród najbardziej zainteresowanych, ale nikt już nie używa na określenie osoby dotkniętej niepełnosprawnością fizyczną słów „kaleka" czy „inwalida", a osób upośledzonych umysłowo nie nazywa „idiotami" czy „kretynami". Jeśli natomiast ktoś to robi, spotyka się z krytyką (jak np. Janusz Korwin-Mikke, którego każda wypowiedź na temat niepełnosprawności woła o pomstę do nieba).

Gdyby jakiś seksuolog wydał książkę pt. „Panie doktorze, żona mi nie daje", natychmiast rozległyby się głosy słusznego sprzeciwu mówiące, że taki tytuł uprzedmiotawia kobiety i sprowadza intymną relację do świadczonej przez kobietę usługi. I na nic zdałyby się usprawiedliwienia autora, że tytuł jest cytatem z wielu wiadomości otrzymywanych przez pana doktora i rozpoczynających się właśnie tymi słowami. Wiemy, że musimy uważać na słowa, gdy mówimy o dorosłych. A co z dziećmi?

Dziesięć lat temu lektor rozpoczął trzeci sezon programu „Superniania" słowami: „Drżyjcie, urwisy, gagatki i ancymony! Wielki powrót karnego jeża jest faktem". W każdym odcinku tego programu ukazywano dzieci w wybitnie uprzedmiotawiający sposób – niczym zepsute zabawki, które naprawić może tylko psycholog Dorota Zawadzka, telewizyjna „Superniania" – a wizerunek ten był tworzony nie tylko przez sceny, które twórcy postanowili wmontować do programu, ale także przez używany w nim język. „Urwisom, gagatkom, ancymonom" towarzyszyli „mali tyrani", których należało „obalić", „okiełznać" lub „poskromić". Słowa te nie padały z ust biorących udział w programie rodziców, lecz były wypowiadane przez lektora podpowiadającego widzom, w jaki sposób należy interpretować obserwowane właśnie na ekranie sceny, i wyrażającego wprost przekaz tego programu. A przekaz był prosty: dziecko jest przedmiotem, który może się zepsuć i który da się naprawić.

Minęła dekada. Dziesięć lat promocji praw dziecka, dziesięć lat powtarzania przez rzecznika praw dziecka, Marka Michalaka, że „dziecko to człowiek", dziesięć lat powoływania się na Korczaka przy każdej okazji. I nic się nie zmieniło, bo oto ta sama Dorota Zawadzka – będąca zresztą od lat społeczną doradczynią Michalaka – wydała właśnie książkę pt. „Pani Doroto! Dziecko mi się popsuło!". Tytuł jest cytatem z wiadomości otrzymywanych przez autorkę. Rodzice, pisząc do pani psycholog, w ten właśnie sposób rozpoczynają opis problemów wychowawczych, a doradczyni RPD – zamiast edukować rodziców, że dziecko nie może się popsuć, bo nie jest przedmiotem – rozpowszechnia to dehumanizujące sformułowanie, ugruntowując je i utrwalając w świadomości społecznej pewnie na kolejną dekadę. Książka jest reklamowana hasłem: „Napraw swoje dziecko z Supernianią!", co czyni uprzedmiotowienie dzieci jeszcze skuteczniejszym bez względu na to, jaki zamiar przyświecał twórcom (zakładam, że to miało być ironiczne, przewrotne albo żartobliwe, ale niestety, nie wyszło).

Faktem jest, że niekiedy autor nie ma wpływu na tytuł własnej publikacji ani sposób jej reklamowania – zajmuje się tym wydawnictwo. W tym przypadku jednak raczej tak nie było, skoro w filmie reklamującym książkę Dorota Zawadzka określa dzieci mianem „potworów", potwierdzając tym samym przesłanie tytułu i hasła. Autorka mówi do rodziców: „nagle z aniołeczka, z grzecznego dzidziusia macie w domu potwora: źle się zachowuje, biega, skacze, krzyczy, gryzie, pluje, rzuca się na ziemię i mówi »nie«". Najpotworniejsze jest to mówienie „nie", bo przecież w opinii dorosłych dziecko nie ma prawa do własnego zdania, nie może wyrażać sprzeciwu, musi być zawsze posłuszne, ciche i spokojne. Słowem: grzeczne. Jeśli jest inaczej, to znaczy, że „się popsuło" i trzeba je „naprawić".

Nie należy oceniać książki po tytule i reklamie. Być może znana z promowania behawioralnych metod Zawadzka bije się na kartach tego poradnika w pierś, ze skruchą przyznaje rację Alfiemu Kohnowi, według którego *time out* (znany z programu „Superniania" „karny jeżyk") „to nic innego jak więzienna izolatka", i zapewnia, że dziecko nie może się popsuć, a tytuł, hasło i film reklamowy mają tylko na celu przyciągnięcie uwagi odbiorców i zachęcenie ich do kupna książki, której przesłanie jest zupełnie inne. Nawet jeśli tak jest, to nasuwa się pytanie, co z tą – niewątpliwie zdecydowanie większą – grupą rodziców, do których trafi wyłącznie reklama? Co z dziećmi, które poczuły się urażone i którym znów (a właściwie wciąż, bezustannie) dorośli odbierają podmiotowość?

„Trudno, przyzwyczailiśmy się, ale czasem przykro i gniewa takie lekceważenie". ©

WIARA

PIĘKNO POZWALA WRÓCIĆ

ANDRZEJ PTAK, OPIEKUN BEZDOMNYCH:

Pomoc osobom bezdomnym trzeba przemyśleć na nowo. Musimy zdobyć się na zaufanie wobec nich i cierpliwość, a przede wszystkim nie uzależniać ich od naszej pomocy.

ARTUR SPORNIAK: Czy ja też mogę stać się bezdomny?

ANDRZEJ PTAK: Każdy jest potencjalnie osobą bezdomną. Mogą nas przecież spotkać różne nieszczęścia, które doprowadzą do tego, że staniemy się kimś bez domu. Poza przypadkami nagłych traum zwykle jest to dłuższy proces.

Najczęściej są to długi?

Długi często wpychają w bezdomność, ale też zarazem blokują proces wychodzenia z niej. Jeśli jestem bezdomny, wierzyciele zostawiają mnie w spokoju. Ale pozostaje świadomość, że gdybym chciał wrócić do normalnego świata, to dług muszę najpierw spłacić. Na kilkanaście osób mam w zespole tylko trzy, które nie mają obciążeń alimentacyjnych czy kredytowych. Gdybym chciał – np. jako bodziec do usamodzielniania się – podpisać z nimi umowę o pracę, co najmniej 60 procent zarobionych przez nich pieniędzy zabieranych byłoby na poczet zadłużenia. Trudno negocjować z zewnętrznym światem – nie jest on tak plastyczny, żeby urzędnik bankowy czy windykator brał pod uwagę proces wychodzenia dłużnika z bezdomności.

Mury odgradzające bezdomnego od świata rosną?

Rośnie bezsiła wobec sytuacji. Bezdomny jest w martwym punkcie. Trudno mu się usamodzielnić. Za co ma wynająć mieszkanie? Załóżmy, że jego mieszkanie zasiedla rodzina, z którą więzi zostały zerwane. Ma się z nią sądzić? Osoby bezdomne często są honorowe i rezygnują z tego, co zbudowały w dawnym, normalnym życiu. To jest też taki niewidoczny element ich piękna – w kryzysie nie dążą do tego, żeby komuś coś za wszelką cenę odebrać. Zamykają tę kartę. Osoby bezdomne wchodzą w projekty pomocowe, chcą podjąć próbę, ale natrafiają na wspomniany mur i się wycofują. Chowają się z powrotem za wypracowane mechanizmy obronne – czyli najczęściej w alkohol. Dlatego tak mało jest projektów, które mają tzw. sukces. Bo sukcesy są trudne do uchwycenia. W sprawozdaniach piszemy, że w danym roku wyprowadzono z bezdomności tyle i tyle osób. To bardziej hipoteza niż sprawdzalny fakt. Tak naprawdę nie wiemy, czy trwale wyprowadzono te osoby z bezdomności. Na jak długo? Czy oni odnaleźli sens życia? Czy poradzili sobie z trudnościami w sferze finansowej, emocjonalnej, rodzinnej? Czy potrafią tworzyć więzi? Rzeczywistość bezdomności jest ruchomą mandalą, którą łatwo jest zdmuchnąć i układać od nowa.

Zawala mi się świat, trafiam na ulicę i co wtedy?

Trzeba się zmierzyć z czymś, co przerasta moje wyobrażenie o dotychczasowym życiu. To całkowity zanik bezpieczeństwa. Ulica jest groźna przez to, że jestem tam sam. Cały funkcjonujący pod miejską skórą świat żyje odrębnymi zasadami. Główną zasadą jest przetrwanie: zdobycie czegoś, żeby się najeść, napić czy schronić. Ale wszędzie jest groźnie, bo jestem odsłonięty. To tak, jakbym nagi wszedł w przestrzeń publiczną. Można sobie łatwo wyobrazić, ile negatywnych doświadczeń od razu mnie spotka. Przede wszystkim ludzie patrzeć będą na mnie jak na szaleńca, traktować w odmienny sposób, bo będę inny od wszystkich. Jak bardzo będę musiał się straumatyzować, żeby się bronić, stworzyć w sobie przestrzeń, w której jeszcze mogę poczuć się Andrzejem czy Arturem?

Mimo że ten świat jest taki groźny, są w nim elementy człowieczeństwa. Bezdomni np. pomagają sobie. Ale dominuje przetrwanie, więc zasady etyczne trochę muszą odejść na bok. Osoby pomagające często tego nie rozumieją. Mówią: „To ja tyle zainwestowałem w tego pana Józefa, a on wsparcie, które dostał, przepił!". Oczekujemy normalności i dostosowania do naszego poziomu. Tymczasem na ulicy jest poziom dostrojony do ulicy. Jesteśmy trochę w „zwierzęcym" świecie. Tam jest dzikość. Dlatego tak wiele osób na ulicy szybciej umiera. Ulica jest śmiertelna. Przyśpiesza śmierć o dwadzieścia kilka lat, jak wyliczyli brytyjscy statystycy.

Po dłuższym okresie bez łazienki staję się dla ludzi trędowaty...

Kilka lat temu zacząłem zdawać sobie sprawę, że bezdomnych otacza permanentny kicz, żyją w świecie aestetycznym – w przestrzeni, która deprecjonuje rozwój człowieka. Placówki pomocowe są ↦

ANDRZEJ PTAK od 34 lat pomaga bezdomnym w ramach wrocławskiego Towarzystwa Pomocy im. Brata Alberta. Założyciel pracowni Miser Art.

KRZYSZTOF ĆWIK / AGENCJA GAZETA

↦ aranżowane tak, żeby było miejsce do spania, a nie, żeby było pięknie – zwykle są to piętrowe łóżka, jakieś najtańsze, brzydkie szafki i stoliki. Ulica jest jeszcze bardziej aestetyczna. Bezdomni żyją w brudnych piwnicach, wśród walających się śmieci i zniszczonych rzeczy.

Stąd pomysł na Miser Art?

Tak. Skoro trudno zmieniać ludzi, zmieńmy otoczenie. Działajmy estetyką na te uwarunkowania, które wiążą się z traumą bezdomności.

I to działa?

Po czterech latach działalności Miser Artu widzimy, jak doświadczenie estetyczne wspiera świadomość siebie uwolnioną od wstydu. Ludzie żyjący na ulicy wstydzą się siebie. My tego nie zauważamy, bo oni się gdzieś tam próbują schować, zejść nam z drogi. Zresztą my również staramy się utrudniać im pobyt w „normalnej" przestrzeni – np. dworce buduje się teraz tak, żeby nie było tam miejsc do leżenia dla osób bezdomnych. Wstydzimy się osób bezdomnych, gdyż faktycznie ich obecność kłóci się z pięknem nowoczesnej architektury.

Estetyka jest ważnym czynnikiem wykluczającym. Skupmy się zatem na niej. Skupmy się na działaniach, które będą oddziaływać na tło. Tło wbrew pozorom może się okazać ważnym narzędziem pracy z osobami bezdomnymi. Ulica w ogóle się nie interesuje sztuką. Tam chodzi o to, żeby przetrwać jeszcze jeden dzień. Ja mówię, że osoby bezdomne mają puste jutro. Dla nich wszystko dzieje się w tej chwili. Wszelkie plany muszą się zamykać w tym dniu.

Na stronie wrocławskiego Towarzystwa Pomocy Brata Alberta jest link do rozmowy z Pawłem, który wyszedł z bezdomności i w tej chwili pisze doktorat. Opowiada o reakcjach ludzi na ulicy. Gdy było zimno, pewna dziewczyna dała mu swój szalik i rękawiczki. Nie bać się takich gestów?

To często jest jedyne, co w danej chwili możemy zaoferować. Nawet jako streetworkerzy zwykle możemy ofiarować jedynie życzliwe wsparcie: uśmiech, rozmowę. Bo rzadko od ludzi tego doświadczają. Jak reagujemy, gdy zobaczymy gdzieś na ulicy zmarzniętego, przestraszonego pieska lub kotka? Automatycznie wyzwala się w nas empatia, chęć pomocy. Natomiast wobec osób bezdomnych mamy blokadę. Chyba bardziej się ich boimy niż oni nas. Jako „normalna" osoba, spotykając bezdomnego, mogę swoją życzliwością na chwilę ograniczyć jego bezdomność. Ale w tym ciągłym życiowym pędzie trudno jest się nam zatrzymać i to zauważyć. Zatrzymanie jest kluczem do wszystkiego. Streetworking, który od wielu lat prowadzimy, polega przede wszystkim na zmianie tempa naszego życia. W momencie wyjścia streetworkera na ulicę wchodzi on w inny czas, żeby nie przegapić tego, co tam się dzieje. W normalnym biegu nie zauważamy, że ktoś np. potrzebuje pomocy.

Dziewczyna, o której wspomina Paweł, oprócz szalika i rękawiczek dała mu też swój numer telefonu i zaprosiła na Wielkanoc. Gdy przyszedł, mógł się wykąpać, otrzymał nowe ubranie i przede wszystkim został przedstawiony innym gościom jako znajomy, a nie bezdomny.

Potraktowała go jak normalnego człowieka, nie bezdomnego. Co wiązało się z decyzją, by mu zaufać. To wymiar głęboko chrześcijański. W dawnych czasach było czymś normalnym, że się pomagało ubogim czy nędzarzom. Teraz mamy paradoks. Ośrodki pomocowe propagują hasło: „Pomagaj mądrze, nie dawaj na ulicy". Pozornie owe hasło wydaje się logiczne i właściwe. Komuś dam pieniądze, a on zaraz je przepije – tylko utwierdzę go w nałogu.

Zatem nie dawać?

Nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Jeżeli człowieczeństwo mi nakazuje dać, a nie mogę pomóc inaczej, to dajmy. Natomiast najważniejsze jest zatrzymać się i zauważyć osobę. Hasła zdejmują z nas odpowiedzialność, rozstrzygają z góry za nas problem. Tymczasem to ja jestem odpowiedzialny w momencie spotkania za osobę, która może potrzebować pomocy. Jeżeli kierując się hasłem przechodzimy obok, to tę osobę w tym momencie wykluczamy. Czy dając pięć złotych tak bardzo szkodzę? To kolejny mit. Miłosierdzie byłoby podejrzane, gdyby nie wolno było nam robić dobrych uczynków.

Czasem się usprawiedliwiamy, że dajemy na Wielką Orkiestrę Świątecznej Pomocy, bo wiemy, że z tego będzie na pewno dobro. Życie nie składa się ze świąt i takich wyjątkowych manifestacji człowieczeństwa, życie składa się z codzienności, w której ważniejszy okazuje się gest ofiarowania pięciu złotych. Ta osoba pewno to przepije, bo będzie się musiała znieczulić na życie na ulicy. I ja ją rozumiem, bo to naprawdę groźny świat.

A pomoc systemowa prowadzona przez organizacje?

Duże placówki pomocowe nazywam „obozami", gdyż system zarządzania nimi oparty jest na regulaminie, który nie jest zgodny z indywidualnymi potrzebami ludzi. Pan Jan lubi śpiewać, z kolei pan Krzysiu chciałby być w samotności – jak pogodzić ich potrzeby? Prowadzimy dom dla kilkunastu chłopaków z Miser Artu. Każdy ma swój pokój.

W dużych placówkach jest to niemożliwe. Tam wszystko jest zunifikowane, ru-

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem żegnamy

Ś.† P.

prof. dr. hab. Jerzego Wyrozumskiego

Nauczyciela i Mistrza wielu historyków węgierskich.
Prawdziwego Przyjaciela Węgier.

Rodzinie, Bliskim i Przyjaciołom
składamy
najgłębsze wyrazy współczucia

Konsulat Generalny Węgier w Krakowie
Węgierska Akademia Nauk
Węgierska Akademia Sztuki

tynowe, na dzwonek. Osoby bezdomne, przebywające tam dłuższy czas, uzależniają się od strażnika tego miejsca, nawet jeśli jest to zacna osoba, która stara się pomóc. Tam jednak się zarządza ludźmi.

Da się inaczej?

Żeby uniknąć chaosu, w dużych placówkach musi być regulamin. Paradoksalnie to pogłębia stan niemożności wyjścia z bezdomności.

Zbliża się zima. Chociaż doraźnie takie placówki mogą pomóc uniknąć zamarznięcia...

Śmierć na ulicy jest wstrząsającym wydarzeniem. Ale wbrew temu, co moglibyśmy przypuszczać, zgonów spowodowanych zamarznięciem jest stosunkowo niewiele. W ogóle w zimie umiera mniej bezdomnych niż na wiosnę i w lecie. Prawdopodobnie organizm w zimie przygotowuje się do walki, a wiosną to wszystko puszcza. Nie znamy statystycznych przyczyn śmierci bezdomnych. Zwykle nie prowadzi się sekcji zwłok takich osób. Natomiast wiemy, że ulica jest bardzo chora. Bezdomni na chwilę trafiają na SOR, ale najczęściej nie mają systematycznej opieki zdrowotnej. Prowadzimy projekt ulicznego ambulatorium. W zeszłym roku zbadaliśmy ok. dwustu osób. Okazało się, że większość miała poważne choroby.

Czy taki punkt opieki zdrowotnej nie powinien być na stałe?

Powinno się pomoc przemyśleć na nowo. Uważam, że zamiast prowadzić ogrzewalnię na sto osób, powinno się zorganizować pięćdziesiąt pokoi do wynajęcia, po to, by zwiększyć dla tych ludzi szansę wyrwania się z zamkniętego systemu placówkowego. Powinno się dążyć do tego, by osobie bezdomnej trochę więcej ufać, wspierać ją i dać klucze do własnego pokoiku. Finlandia jest jedynym znanym mi krajem, w którym bezdomność spada, bo państwo systemowo realizuje program Housing First (najpierw mieszkanie). Zainwestowali w system wspieranego mieszkalnictwa.

A czy takie mieszkanie będę szanować?

Problem z daniem komuś kluczy tkwi nie w samym pomyśle, tylko w naszej mentalności. Nie lubimy takich gratisów. Jak to? Ja ciężko pracuję na swoje mieszkanie, wchodzę w kredyty, które będę spłacać do końca życia, a taki bezdomny dostaje za darmo? To niesprawiedliwe!

ANDRZEJ PTAK:

Dzień Ubogich jest wydobyciem bezdomnych z niewidzialności i zarazem świętowaniem ich człowieczeństwa.

Takie myślenie jest głębiej w nas zakorzenione niż stereotyp, by nie dawać pieniędzy, bo przepiją. Jesteśmy przekonani, że bezdomni zasługują na minimum, czyli na placówki w postaci obozów. Tylko że wtedy nic się nie uda zmienić. W prowadzeniu naszego domu najtrudniejsze jest przekroczenie mentalności chłopaków, że muszą mieć strażnika, który będzie ich chronił przed nimi samymi. Obecny system wytworzył uzależnienie od osoby, która pilnuje, czy piję, czy się dobrze zachowuję, zmyłem naczynia, posprzątałem toaletę... Tak jakbyśmy chcieli mieć pod kontrolą każdy aspekt życia drugiej osoby. Dlatego musi być precyzyjny plan dyżurów – kto, co, kiedy robi – z precyzyjną kontrolą jego wykonania.

Wspólne zamieszkanie wymaga jakiegoś porządku.

Problem jest we mnie. Myślę, że jest bezpiecznie, gdy mam kontrolę. Jeśli jednak zaufam i nie przyjadę do tego domu przez miesiąc, to daję wolną rękę. Oczywiście, może się coś stać, ale stwarzam w ten sposób warunki, by mieszkańcy wzięli za siebie odpowiedzialność. Chodzi więc o zaufanie. Kiedy jest, nagle się okazuje, że bezdomni sami potrafią się organizować.

Wiem, jak to trudne, bo pracuję już 30 lat z bezdomnymi. Kiedyś, jako osoba zarządzająca placówką pomocową, cały czas miałem niepokój: co się stanie, gdy wypiją?

Mądra pomoc wymaga zatem zaufania, dania wolnej ręki?

Przede wszystkim czasu i cierpliwości. Jeśli chcemy pomagać, to nie nastawiajmy się od razu na sukces. Większość projektów jest terminowych – np. przez dwa lata wyprowadzimy z bezdomności tyle i tyle osób. Musi być mierzalna zmiana w konkretnym czasie – taką perspektywę narzuca nam wsparcie państwowe. Takie myślenie utrudnia realizowanie celów długoterminowych. Jeśli ktoś przez 30 lat adaptował się do ekstremalnych warunków ulicy i nauczył się sobie radzić, dajmy mu czas na powolne, stopniowe wyjście z tego. Wilka jest trudno oswoić. Uważnie traktowany proces wsparcia wymaga czasu i indywidualnego traktowania.

Zresztą uważam, że nie powinniśmy mówić ogólnie o bezdomności. Powinniśmy mówić o drugim człowieku i jego problemach. Wspomniana dziewczyna, która wsparła Pawła, zobaczyła w nim drugiego człowieka, a nie bezdomnego.

Miser Art jest przestrzenią poza etykietą. Zdzieramy z siebie te różne ubiory – po co nam one?

Tak się przedstawiacie: „Strefa kreatywna w labiryncie wykluczenia".

Bezdomność to labirynt, z którego trudno wyjść. Nasza pomoc nie ma metodologii, jest po prostu byciem z drugą osobą, z wyczuciem, kulturą osobistą, czasem z poczuciem humoru. Cały sztafaż wsparcia zawiera się w prostej relacji z człowiekiem. Pomoc ofiarowana Pawłowi przez tę dziewczynę wydaje mi się modelowa. Oczywiście zawsze wiązać się będzie z pewnym ryzykiem.

Natomiast obawiam się przyszłości dla takiej pomocy, skoro nasze relacje coraz bardziej zapośredniczone są przez ekran smartfona. Coraz trudniej będzie nam zauważać bezdomnych na ulicach.

Skąd się wziął pomysł na tworzenie niezwykłej sztuki użytkowej – budowanie z materiałów z recyklingu stołów, będących jednocześnie donicami z roślinnością?

Chcieliśmy wyjść poza nudną zwyczajność i zrobić razem coś niezwykłego. Wspólnie projektujemy, pomysł rodzi się powoli. Każdy z naszych stołów ma indywidualną historię. Ostatnio w areszcie śledczym były wymieniane drzwi. Stare nam ofiarowano, a teraz robimy z nich stoły, które żyją.

Czy ustanowiony przez papieża Dzień Ubogich ma sens?

Bardzo duży – jest wydobyciem z niewidzialności i świętowaniem znaczenia człowieka ubogiego. Dawniej pomagał w tym język – np. słowo „nędzarz" miało w sobie sakralność: *res sacra miser*.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

PRZEMEK KRZAKIEWICZ DLA „TP"

Msza święta inaugurująca IV Kongres Nowej Ewangelizacji na Jasnej Górze, 23 listopada 2017 r.

Monarchia czy demokracja

JÓZEF MAJEWSKI

We współczesnym Kościele odpowiedzialność za wspólnotę leży wyłącznie w rękach księży. Świeckich definiuje się negatywnie – to ci, którzy nie zostali obdarzeni charyzmatem kapłaństwa.

Sporo przemawia za tym, że w sprawie święceń kobiet Kościół nie powiedział jeszcze ostatniego słowa. Może to uczynić tylko sobór powszechny, najważniejsze zgromadzenie wszystkich biskupów, czyli Magisterium Kościoła. Kard. Christoph Schönborn, arcybiskup Wiednia, stwierdził niedawno: „To materia zbyt poważna, by można było zdecydować o niej ze stanowiska papieża". A jeśli tak, to nieprędko ów problem zostanie rozstrzygnięty, soborów przecież nie zwołuje się nazbyt często, a ostatni odbył się zaledwie pół wieku temu.

Tymczasem jednak trudna sytuacja Kościoła, spowodowana w głównej mierze powtarzającymi się pedofilskimi skandalami wśród duchownych, rodzi naglącą potrzebę zajęcia się kwestią, wciąż wypływającą w dyskusjach na temat „»kryzysu«, któremu ulegają dzisiaj kapłani w pełnieniu swojej posługi, w życiu duchowym, a także w samej interpretacji natury i znaczenia kapłaństwa służebnego" (Jan Paweł II, adhortacja „Pastores dabo vobis"). Chodzi o wypracowanie takiego modelu kapłaństwa, który wychodziłby naprzeciw obecnym potrzebom Kościoła i świata.

Dominujący dzisiaj model, który można nazwać monarchicznym, znalazł się, jak się zdaje, na progu wyczerpania swoich możliwości, o czym od kilku dekad przekonuje katolicka teologia feministyczna. Zamiast oficjalno-kościelnego pomstowania i utyskiwania na nią, wypadałoby raczej przyjrzeć się jej propozycjom w tym względzie.

Przybysze z innej planety

W dziejach Kościoła posługa kapłana przybierała różne oblicza. Realizowano ją według rozlicznych modeli, zależnych od konkretnych czasów, kultur i regionów, w których Kościół pełnił swoją misję. Sam termin „kapłan", w znaczeniu związanym z sakramentami, pojawił się dopiero ok. 200 r., a zatem blisko 170 lat po śmierci Jezusa, który jeśli już wspominał o kapłanach, to tylko o judaistycznych. W Kościele „kapłanami" nazywano najpierw biskupów, a następnie również prezbiterów.

Od tamtych czasów kapłaństwo przeszło taką transformację, że gdyby dzisiejszych księży umieścić wśród wiernych Kościoła apostolskiego, to zostaliby potraktowani jak przybysze z innej planety. Przypuszczam, że pierwsi wyznawcy i wy-

znawczynie Chrystusa mogliby nie dać wiary ich tłumaczeniom, że tak naprawdę są kapłanami „tymi samymi, tylko w inny sposób". Aż do roku 70 Kościół apostolski kształtował się i rozwijał głównie w ramach judaizmu, z podstawową kultyczną funkcją Świątyni Jerozolimskiej i struktur synagogalnych. Nie dość powtarzać, że nie istnieli wtedy księża w dzisiejszym rozumieniu, jako grupa tych, którzy sakramentalnie zajmują się kierowaniem społecznością wiernych i sprawują wszystkie funkcje i posługi, które obecnie bezwzględnie do nich przynależą. Nie było tak, ale nie znaczy to, że już wtedy Kościół nie był – jak wyznajemy w Credo – jeden, święty, powszechny i apostolski.

Nowy Testament nie ukazuje nam organizacyjnego wzorca urzędów, posług i funkcji w Kościele, wzorca, który Kościół miałby bezwzględnie stosować aż do końca świata. Autorzy nowotestamentowi przedstawiają jednak Kościół apostolski wyposażony w objawione fundamentalne normy, służące Kościołowi późniejszych wieków jako punkt odniesienia i zasada tożsamości. Chodzi o normy, zgodnie z którymi ma on tworzyć odpowiednie struktury posługiwania w nieustannie zmieniającej się historii. Wśród tych norm znajduje się – po pierwsze – ideał apostolskiej jedności Kościoła i pluralizmu Kościołów różnych regionów, po drugie – koncepcja wspólnoty i służby, oraz – po trzecie – rozumienie autorytetu i przywództwa w Kościele. Apostolskość Kościoła wszystkich czasów polega na wierności właśnie tym normom, a wierność ta – jak uczą dzieje Kościoła – może się realizować w rozlicznych kształtach.

Kiedy czytamy Nowy Testament (szczególnie listy św. Pawła), uderza, że rozmaite funkcje i posługi, dzisiaj związane tylko z księżmi, pełniły różne osoby. Apostoł, ucząc o tzw. charyzmatach w Kościele, czyli o powołaniach, których Duch Święty udziela wierzącym „tak, jak chce" (1 Kor 12, 11), pisze: „I tak ustanowił Bóg (...) najprzód apostołów, po wtóre proroków, po trzecie nauczycieli, a następnie tych, co mają dar czynienia cudów, wspierania pomocą, rządzenia oraz przemawiania rozmaitymi językami. Czyż wszyscy są apostołami? Czy wszyscy prorokują? Czy wszyscy są nauczycielami? Czy wszyscy mają dar czynienia cudów? Czy wszyscy posiadają łaskę uzdrawiania? Czy wszyscy przemawiają językami? Czy wszyscy potrafią je tłumaczyć?" (1 Kor 12, 28nn).

W innych miejscach Paweł doda do tej listy charyzmatów – posług i funkcji – powołania apostoła-kobiety, ewangelisty, pasterza, napominającego, diakona, diakonisy, udzielającego jałmużny, opiekującego się chorymi, biskupa, starszego, kierującego wspólnotą... I znowu: Paweł byłby zdumiony, gdyby w jego czasy trafił dzisiejszy kapłan, przekonujący, że w nim jednym i jedynym spotyka się większość z owych posług i funkcji, że on sam i apostołuje, i pasterzuje, i naucza, i ewangelizuje, i rządzi, i kieruje, itd.

Powtórzmy: według Nowego Testamentu normy apostolskiej aktywności dotyczącej przywództwa w Kościele, głoszenia Ewangelii i zachowywania jedności wiązały się z Duchem Świętym, który „tak, jak chce", udzielał wierzącym powołań, za którymi szły funkcje kościelne i posługi, sprawowane we wspólnocie przez różne osoby. „W kolejnych stuleciach nie liczyła się materialna wierność strukturom Kościoła apostolskiego, ale formalna wierność tym normom (...). Wynika z tego, że Kościół w każdym okresie swojej historii posiada swobodę w dostosowywaniu swojego religijnego przywództwa do społeczno-politycznych ideałów konkretnego czasu i do reorganizowania posługi w odpowiedzi na potrzeby ludu chrześcijańskiego, pod warunkiem, że przywództwo to stara się wcielać normatywne wartości objawione w nauczaniu Jezusa i posłudze Kościoła apostolskiego" (ks. Gregory Baum).

Demokratyzacja Kościoła

Monarchiczna koncepcja kapłaństwa, skupiającego w sobie wszystkie kierownicze i inne posługi kościelne, była odpowiedzią Kościoła na zmieniające się historyczno-kulturowe uwarunkowania przeszłości. I tak niestety trwa do dzisiaj: w modelu tym kościelne przywództwo spoczywa w rękach tylko i wyłącznie kapłanów, tzn. jedynie oni mają prawo podejmowania decyzji w Kościele jako instytucji, bo – jak się przyjmuje – do takiego decydowania uprawniają jedynie święcenia kapłańskie.

Świeckim, w tym wszystkim kobietom, czyli 98 proc. członków Kościoła, przypada jedynie rola wykonawców kapłańskich decyzji, co najwyżej – jeśli taka wola kapłana – głos doradczy. W modelu monarchicznym w wymiarze instytucjonalnym świeccy zasadniczo skazani są na podporządkowanie kapłanom. W Polsce księża domagają się czasem od świeckich odpowiedzialności za Kościół, zwykle ograniczając ją do odpowiedzialności za powołania kapłańskie – cóż to jednak za odpowiedzialność, jeśli nie może ona uczestniczyć w podejmowaniu decyzji? Na czym ma polegać odpowiedzialność, która nigdy nie odczuje ciężaru podjęcia decyzji złej lub radości podjęcia decyzji dobrej?

W monarchicznym modelu kapłana nie ma miejsca na eklezjalną odpowiedzialność czy współodpowiedzialność świeckich. Odpowiedzialność za Kościół złożono tylko w ręce tych, którzy przyjęli święcenia kapłańskie. I trudno się temu dziwić, zważywszy że kapłanów w doktrynie Kościoła definiuje się pozytywnie – z pomocą Ducha Świętego są oni obdarowani charyzmatem, powołaniem kapłańskim – i dlatego mają za co być odpowiedzialni. Z kolei świeckich definiuje się negatywnie – jako tych, którzy nie zostali obdarzeni charyzmatem kapłaństwa.

Sobór Watykański II nie potrafił zdefiniować świeckich pozytywnie. Nie potrafili tego także późniejsi papieże, cytując negatywne określenie Vaticanum II: „Przez pojęcie »świeccy« rozumie się wszystkich wiernych, którzy nie są członkami stanu duchownego i stanu zakonnego prawnie ustanowionego w Kościele". W wypadku świeckich – inaczej niż kapłanów – zda się, że nie ma żadnych podstaw do ponoszenia jakiejkolwiek odpowiedzialności za Kościół, bo jak można być odpowiedzialnym za coś, czego się nie otrzymało w darze, kim się nie jest i nie będzie z woli Ducha Świętego?

Istnieją mocne podstawy, by wątpić, że kapłaństwo monarchiczne w Kościele odpowiada dzisiejszej sytuacji Kościoła i świata, szczególnie zaś społeczeństw demokratycznych. „W naszych czasach – pisze ks. Peter Neuner, teolog z Niemiec – demokracja, w teorii przynajmniej, powszechnie uchodzi za wartość samą w sobie i za kwintesencję praw człowieka i godności osoby. W tych właśnie państwach, których kultura i ład społeczny wyrosły na bazie chrześcijańskiego rozumienia osoby ludzkiej i jej godności, ludzie przy najlepszej nawet woli nie mogą pojąć, dlaczego akurat w ludzie Bożym nie są wprowadzane w życie te formy demokratycznego postępowania i współdziałania, które są dopuszczalne bez naruszania otrzymanego od Boga ustroju Kościoła i jego orędzia. Hamując proces takiej demokratyzacji, kierownictwo Kościoła naraża go niechybnie na utratę wiarygodności". ↦

Oczywiste jest przy tym, że natura Kościoła wyklucza demokrację w znaczeniu socjologiczno-politycznym, która prawdę uzależnia od procedur demokratycznych i decyzji większości. Jeszcze raz Neuner: „W Kościele władza nie pochodzi od ludu do tego stopnia, żeby normatywna była wola większości. Kościół został powołany do istnienia decyzją Boga i niezmiennie od niej zależy". Natura Kościoła jednak wyklucza również „monarchiczne formy panowania, ponieważ są sprzeczne z teologią wspólnoty".

Kapłaństwo monarchiczne nie przystaje dziś do demokracji i domaga się głębokiego uzgodnienia i skorelowania z jej specyfiką. Demokracja stała się zasadniczym wyzwaniem dla Kościoła jako instytucji, szczególnie dla kapłaństwa, a tymczasem w podstawowym na przełomie XX i XXI w. dokumencie Magisterium Ecclesiae na temat kapłanów – „Pastores dabo vobis" – w ogóle nie pojawia się to słowo, ani tym bardziej nie mówi się o demokratyzacji w Kościele.

Partnerstwo, nie podporządkowanie

Demokratyczne spojrzenie na kapłaństwo bliskie jest katolickiej teologii feministycznej, chociaż zastrzega ona, że istniejące systemy demokratyczne nie są wolne od struktur patriarchalnych, dyskryminujących kobiety. Dlatego w wysuwanym w tej teologii postulacie demokratyzacji Kościoła, a tym samym – modelu kapłaństwa, chodzi nie tylko o eklezjalne wykorzystanie mechanizmów i elementów świeckiej demokracji, ale o wprowadzenie w życie Kościoła demokracji, którą można określić jako charyzmatyczną, w nawiązaniu do teologii charyzmatów Nowego Testamentu i charyzmatycznego przełomu, jakiego w nauczaniu o Kościele dokonał Sobór.

A przełom ten celnie scharakteryzował ks. Bogdan Snela: „Postawienie problemu charyzmatów przez II Sobór Watykański spełnia w historii dogmatów rolę podobną do tej, jaką spełnił Sobór Nicejski dla nauki o Trójcy Świętej, Efeski i Chalcedoński dla chrystologii, a Trydencki dla sakramentologii. Po raz pierwszy bowiem w historii soborów problem charyzmatów został podjęty w urzędowych wypowiedziach Kościoła w całej swej teologicznej, ściślej eklezjologicznej treści, jaka zawiera się w przekazie biblijnym".

Zgodnie z teologią charyzmatów zasadą porządku (łac. *ordo*) Kościoła i w Kościele jest Duch Święty, który udziela każdemu wierzącemu i wszystkim wierzącym, nie tylko kapłanom – „tak, jak chce" – swoich charyzmatów, powołań, a tym samym określa rodzaj ich kościelnych funkcji i posług – dla dobra Kościoła. Duch w sakramencie chrztu włącza każdego wierzącego w Chrystusa tak radykalnie, że „nie ma już Żyda ani poganina, niewolnika i wolnego, kobiety i mężczyzny, wszyscy bowiem jesteśmy kimś jednym w Chrystusie Jezusie" (Gal 3, 28). W porządku charyzmatów ani pochodzenie etniczne, ani status społeczny, ani płeć nie stanowią przeszkody czy warunku wstępnego dla Ducha Świętego. Kościół jest – winien być – wspólnotą równych sobie uczennic i uczniów, którzy i które mają realizować swoje powołania w porządku otrzymanych charyzmatów. W porządku, ale nie w podporządkowaniu: w *ordo*, ale nie w *subordo*.

Św. Paweł byłby zdumiony, gdyby w jego czasy trafił dzisiejszy kapłan, który sam apostołuje, naucza, ewangelizuje, kieruje.

Teologia feministyczna odcina się od tego, do czego w tym kontekście Kościół i teologia silnie przywykli: od pojęcia hierarchii. Rezygnuje z niego, bo zakłada ono i konserwuje sytuację, w której jedni wierni są „ponad", a inni „pod", czyli dominację jednych nad drugimi w Kościele, co teologia ta z istoty wyklucza. Różnice między posługami nie mają opierać się na podporządkowaniu, ale na różnorodności powołań udzielanych wierzącym przez Ducha Świętego, tj. na różnorodności charyzmatów.

Charyzmaty z istoty są „demokratyczne". Każdy wierzący otrzymuje od Ducha swoje własne powołanie dla dobra Kościoła, co zakłada – z jednej strony – że nie ma lepszych czy gorszych powołań, ważniejszych czy mniej ważnych, nadrzędnych i podrzędnych, dominujących i podporządkowanych. Z drugiej strony zakłada to, że każdy chrześcijanin ma wnosić do Kościoła jakieś dobro w zgodzie z otrzymanym powołaniem i z wzajemnością istniejącą między różnymi powołaniami. A jeśli tak, oznacza to konieczność udziału każdego – na miarę swojego własnego charyzmatu i odpowiedzialności za inne – w odpowiedzialnym współdecydowaniu o życiu Kościoła.

Elisabeth Schüssler Fiorenza pisała: „Jako obraz Boskiej Mądrości jesteśmy Kościołem (*ekklesia*), zgromadzeniem wolnych dorosłych obywateli, którzy mają prawo i obowiązek decydować o naszej własnej i naszych dzieci przyszłości. *Ekklesia* jako podejmujące decyzje zgromadzenie pełnych obywateli podkreśla starożytną rzymską i średniowieczną maksymę [kościelną]: co dotyczy wszystkich, winno przez wszystkich być określane".

Zgodnie z teologią charyzmatów Ducha Świętego decyzje za Kościół nie mogą spoczywać w rękach jednej grupy, od której jednostronnie uzależnieni są inni i której inni są w istotnych sprawach Kościoła całkowicie podporządkowani. Teologia feministyczna, rezygnując z pojęcia hierarchii, w zamian proponuje partnerstwo. „Feministyczne style przywództwa – pisała Letty M. Russell – winny czerpać swój model zachowania z paradygmatu partnerstwa. Taka perspektywa patrzenia na rzeczywistość ustanawia normy języka, myślenia i działania w modelu partycypacji autorytetu we wspólnocie. Paradygmat ten zawiera partnerstwo, przyjaźń, wspólnotowość, relacyjność, wzajemność i matriarchat. Zmierzają one nie tylko do obalenia paradygmatu dominacji, ale również do poszukiwania alternatywnego sposobu organizowania naszej rzeczywistości i świata, mniej szkodliwego dla ludzi, natury i całego stworzenia".

Z punktu widzenia paradygmatu partnerstwa przywództwo sprawowane jest w powiązaniu z innymi, poprzez szukanie form współuczestnictwa innych we władzy i autorytecie. Władza nie ma kumulować się na szczycie Kościoła, ale winna być sprawowana tak, by inni mogli w niej uczestniczyć.

W koncepcji kapłaństwa i posługiwania, wypracowanej przez teologię feministyczną, kluczową rolę odgrywają pojęcia demokratyzacji, współdecydowania (wspólny udział wszystkich wierzących w podejmowaniu decyzji w sprawach Kościoła) i partnerstwa, przede wszystkim zaś charyzmatu, powołania przez Ducha Świętego. Wydaje się, że pojęcia te i rzeczywistość, która by im odpowiadała w Kościele, są raczej nieobecne w monarchicznym modelu kapłaństwa.

© JÓZEF MAJEWSKI

BARTŁOMIEJ BARCZYK / AGENCJA GAZETA

Ks. Józef Lenda, proboszcz parafii w Jaworznie, na dachu kościoła, sierpień 2011 r.

Zielona parafia

DOROTA BIDZIŃSKA

W diecezji sosnowieckiej powstał przewodnik ekologiczny – skierowany do każdej parafii w Polsce. To odpowiedź na encyklikę Franciszka „Laudato si".

Agdyby tak wyobrazić sobie grupę ludzi, którzy razem ze swoim proboszczem dyskutują i planują różne rzeczy. Np. wymianę żarówek na energooszczędne i montaż czujników ruchu w budynkach parafialnych, żeby światło samo się wyłączało, kiedy nikogo nie ma w pomieszczeniach. Zorganizowanie spotkania z pracownikiem urzędu gminy, który wyjaśni, jak ubiegać się o dotację na wymianę starego pieca. Budowę kompostownika w parafialnym ogródku, w którym każdy będzie mógł zutylizować odpady organiczne ze swojego mieszkania. Rowerową pielgrzymkę do pobliskiego sanktuarium. Ekologiczny piknik rodzinny w dniu św. Franciszka...

Brzmi ciekawie? I nierealnie?

Parafialne „Zielone Drużyny" to jedna z propozycji, która pojawia się w ekologicznym przewodniku „Ziemia wspólnym dobrem", wydanym przez diecezję sosnowiecką. W broszurze omówiono najważniejsze problemy związane z ochroną środowiska – smog i globalne ocieplenie – oraz przedstawiono ekologiczne rozwiązania, które można wprowadzić w parafii i w gospodarstwach domowych. Wydana w 30 tys. egzemplarzy, ma trafić do wszystkich polskich parafii.

– Skąd się wziął pomysł? Nasza diecezja w przytłaczającej większości to duże miasta tworzące aglomerację Zagłębia Dąbrowskiego: Sosnowiec, Dąbrowa Górnicza, Będzin, Czeladź – ogromne osiedla, ruch samochodowy i problem smogu. – wyjaśnia ks. Michał Borda, dyrektor sosnowieckiego Wydziału Katechetycznego, jeden z autorów przewodnika. – Drugą inspiracją była encyklika papieska „Laudato si". Lektura encykliki wywarła na mnie wrażenie. Zapamiętałem m.in. fragment, w którym Ojciec Święty pisze, żeby gotować tylko tyle, ile będziemy mogli zjeść. Wydawałoby się prosta rzecz, a przecież na co dzień tyle mamy z tym problemu... Pomyślałem: coś z tym trzeba zrobić.

Ks. Borda jest autorem m.in. opracowania naukowego „Wybrane zagadnienia edukacji ekologicznej. Refleksje wokół encykliki ekologicznej »Laudato si«". Nie jest więc zaskakujące, że biskup sosnowiecki Grzegorz Kaszak zaprosił go do tworzenia tego przewodnika.

– Przewodnik ekologiczny dla parafii, który przekładałby na konkretne wskazówki idee zawarte w papieskiej encyklice ekologicznej, to nasz kościelny wkład w to, co od jakiegoś czasu stanowi coraz większy przedmiot troski na świecie – dopowiada ks. Michał Knapik, współautor publikacji.

Przekonać nieprzekonanych

Ale patrząc na wyniki „Badania świadomości i zachowań ekologicznych mieszkańców Polski", zrealizowanego przez Ministerstwo Środowiska w 2014 r., z tą „troską o wspólny dom" nie jest przesadnie dobrze. Ochrona środowiska to istotny problem w opinii zaledwie 8 proc. badanych. Choć coraz więcej osób w wyborach konsumenckich zwraca uwagę na kwestie ekologiczne, poczynając od zakupu pompy cieplnej jako ogrzewania do swojego domu, a na bambusowej (zamiast plastikowej) szczoteczce do zębów skończywszy, to nadal istnieje duża grupa nie tylko takich, którzy zachowania te postrzegają jako fanaberie, ale też tych, którzy w ogóle o nich nie myślą.

– Świadomość ekologiczna w naszym kraju rośnie – mówi Rafał Psik z Zagłębiowskiego Alarmu Smogowego. – Myślę, że ma to wiele wspólnego z bogaceniem się społeczeństwa. Im mniej musimy martwić się o zaspokojenie podstawowych potrzeb, tym bardziej jesteśmy skłonni zainwestować w czyste powietrze, zdrową wodę i zielone otoczenie.

Dużo zmieniło się zwłaszcza w postrzeganiu problemu zanieczyszczeń powietrza, głównie dzięki działaniom lokalnych, obywatelskich inicjatyw antysmogowych.

– Uczestniczyłem niedawno w spotkaniu Lokalnych Alarmów Smogowych w Żywcu – opowiada. – Rozmawialiśmy między innymi na temat Kościoła, który jako instytucja zaufania publicznego, ciesząca się autorytetem wśród wielu ludzi, mógłby wiele zdziałać, informując ↦

↦ o zagrożeniach związanych ze smogiem i podpowiadając, jak mu przeciwdziałać. Niecały tydzień później dowiedziałem się o liście biskupów, w którym poruszona została tematyka ekologiczna, a kilka dni później – o parafialnym przewodniku ekologicznym. Bardzo mnie te inicjatywy ucieszyły.

Rafał Psik skontaktował się z autorami publikacji i poprosił o udostępnienie egzemplarzy dla jego organizacji. 750 parafialnych przewodników ekologicznych zostało rozesłanych do Lokalnych Alarmów Smogowych w całej Polsce.

Wśród wskazanych w broszurze sposobów walki ze smogiem znalazły się m.in. dbałość o jakość paliw wykorzystywanych do ogrzewania domów, rezygnacja z podróży samochodem na rzecz transportu publicznego, wykorzystywanie różnych form finansowego wsparcia na wymianę pieca lub termomodernizację domu, a także alarmowanie straży miejskiej w przypadku podejrzenia, że któryś z sąsiadów pali u siebie trującymi odpadami.

Działacze Polskiego Alarmu Smogowego wysłali do bp. Kaszaka list z gratulacjami: „Jako aktywiści, którym drogie jest czyste powietrze, cieszymy się z zaangażowania Kościoła. Liczymy, że przewodnik spotka się z dużym odzewem i będzie wykorzystywany na szeroką skalę, także w innych diecezjach. Ze względu na duże zaufanie społeczne, działania Kościoła są kluczowe w budowaniu świadomości wśród wiernych i rozwiązaniu problemu zanieczyszczenia powietrza w Polsce".

Z podobną nadzieją na proekologiczne zaangażowanie Kościoła patrzą działacze Greenpeace Polska:

– Kiedy papież Franciszek opublikował „Laudato si", swoją pierwszą i od razu ekologiczną encyklikę, pomyśleliśmy, że to przełom na niespotykaną do tej pory skalę – mówi Katarzyna Guzek, rzeczniczka organizacji. – Niestety rzeczywistość ostudziła nasz entuzjazm na jakiś czas. Okazało się, że encyklika stała się najbardziej popularna wśród osób, których przekonywać do zmian i tak nie trzeba. Na szczęście to się powoli zmienia. Dużo wniósł list biskupów o smogu i grzechach ekologicznych. Od tamtej pory słyszymy o różnych inicjatywach promowanych i realizowanych w parafiach rozsianych po całej Polsce.

W intencji planety

– Z jego pomocą łatwiej mi poruszać kwestie ekologiczne na lekcjach religii i spójnie łączyć je z programem katechezy – mówi o przewodniku ekologicznym Bożena Szymonek, katechetka z gimnazjum w Olkuszu.

Troska ekologiczna nie jest fanaberią czy dodatkiem, ale realnym obowiązkiem wpisanym w chrześcijański etos.

Od wielu lat zajmuje się szeroko rozumianą edukacją ekologiczno-globalną. Opiekuje się także szkolną grupą wolontariuszy, w ramach której organizują akcje we współpracy z Polską Akcją Humanitarną, np. „Woda dla Sudanu".

Przewodnik to nie tylko zbiór praktycznych wskazówek, jak walczyć ze smogiem, oszczędzać energię lub prowadzić ekologiczny ogród parafialny. Wśród postulatów znajduje się wezwanie do modlitwy o nawrócenie ekologiczne i zachęta do osobistego rozważania encykliki „Laudato si".

– Chrześcijanin to człowiek, który łączy aktywność z modlitwą, kontemplację z działaniem – tłumaczy ks. Michał Knapik. – Modlitwa uwrażliwia nas, byśmy w otaczającym nas świecie dostrzegali dar samego Boga. A skoro jest on nam podarowany przez Boga, to naszym zadaniem jest szanować go i tak o niego dbać, aby mogły z niego korzystać także przyszłe pokolenia. Papież Franciszek mówi wręcz, że zbrodnia przeciwko naturze jest zbrodnią przeciwko Bogu i przeciw człowiekowi.

– Owszem, mówi się, że człowiek jest koroną stworzenia – dodaje ks. Michał Borda. – Człowiek jest także w centrum zainteresowania Kościoła, ale przecież żyje on w określonej rzeczywistości. Warto patrzeć na to, co nas otacza, przez pryzmat Boga, który, jak wierzymy, jest Stwórcą wszystkiego. To musi stanowić dla nas, jako ludzi wierzących, punkt do codziennego rachunku sumienia, żeby krok po kroku postępować w tym, co papież nazywa „ekologicznym nawróceniem".

– Jednym z celów tego przewodnika jest uzmysłowienie nam, ludziom wierzącym, że troska ekologiczna nie jest fanaberią czy dodatkiem, ale realnym obowiązkiem wpisanym w chrześcijański etos – podsumowuje ks. Knapik.

Ekologiczne nawrócenie

W diecezji sosnowieckiej powstały też pionierskie inwestycje. W 2011 r. na połaciach dachu sanktuarium Matki Bożej Nieustającej Pomocy w Jaworznie pojawiły się ogniwa fotowoltaiczne. Jak wspomina ks. Józef Lenda, kustosz sanktuarium i proboszcz parafii, początkowo parafianie nie byli przekonani do tej inwestycji.

– Wtedy to dla wszystkich było nowe – opowiada. – Dziś, kiedy tego typu instalacji jest już sporo, na pewno byłoby nam łatwiej.

Podobne doświadczenia miał ks. Stefan Wyporski, proboszcz z parafii pw. św. Floriana w Sosnowcu, który instalację fotowoltaiczną na dachu kościoła zamontował trzy lata później. Obydwa kościoły, jak również nowoczesna, ekologiczna instalacja gazowa w kościele NMP Częstochowskiej w Rodakach, zostały zaprezentowane w przewodniku parafialnym jako przykłady dobrych praktyk.

– Co ciekawe, każdy z tych proboszczów jest w innym wieku – zauważa ks. Michał Borda. – Ten z Jaworzna za rok przechodzi na emeryturę. Mimo to miał w sobie tyle odwagi, żeby jako pierwszy w Polsce zdecydować się na fotowoltaikę. W Sosnowcu mamy proboszcza w średnim wieku, a w Rodakach – młodego człowieka. Ksiądz na każdym etapie pracy duszpasterskiej może pozwolić Bogu, by go ekologicznie nawrócił – śmieje się.

We wszystkich tych parafiach ekologiczne przewodniki są wystawione tak, by każdy zainteresowany mógł zabrać je do domu. Kiedy jednak pytam o przewodnik w innych sosnowieckich parafiach: katedrze i kościele Niepokalanego Poczęcia NMP, okazuje się, że nikt z wiernych o tej publikacji jeszcze nie słyszał.

Starsza pani w kapeluszu, słysząc „ekologiczny", krzywi się lekko i wykonuje ręką gest, jakby odganiała natrętną muchę: – Nie, mnie to nie interesuje.

Wiele marzeń

Więc jak to będzie z tymi „Zielonymi Drużynami"?

– Pomysł zaczerpnęliśmy z jednej z anglojęzycznych broszur, w której szukaliśmy inspiracji – tłumaczy ks. Michał Knapik. – Ale w Polsce z grupami tego typu jeszcze się nie spotkaliśmy.

– Bardzo byśmy chcieli, żeby powstawały – dodaje ks. Borda. – Mamy naprawdę wiele marzeń.

© DOROTA BIDZIŃSKA

SZYMON

Hołownia: *Najpierw rzeczy najważniejsze*

To bardzo miłe – po niemal każdym ze spotkań autorskich zwożę do domu torby pełne darów. Domowe przetwory z lokalnych upraw są pyszne, regionalna literatura uświadamia, ilu fascynujących detali nie pozwala dostrzec warszawskocentryczna perspektywa. Osobna kategoria podarków to gadżety promocyjne z logo biblioteki, domu kultury, powiatu czy szkoły. Klasyczny ich zestaw obejmuje obowiązkowy kubek (kolekcję liczącą około setki egzemplarzy składuję w garażu, nie mając pojęcia, do czego komuś może się przydać kubek za duży na espresso, a za mały na herbatę, bo one zawsze są w takich właśnie oszczędnościowych rozmiarach), długopis, notatnik lub pendrive. Słowo daję, że przejeżdżając w ciągu roku Polskę dwa razy wzdłuż i wszerz, dochodzę do wniosku, że gdy za chwilę legnie w gruzach moja, pożal się Boże, medialna „kariera", z pewnością zarobię na chleb z masłem tłukąc za unijne dotacje na promocję regionów nieprzytomne ilości generycznych, obrandowanych długopisów, kubków i medalionów. Rynek takich promocyjnych durnostojek (jak mawiało się u nas na Białostocczyźnie na zagracające przestrzeń bibeloty) musi być wart dziesiątki milionów złotych.

Są jednak i takie prezenty, które palą ręce i serce. Zdarzył mi się już przekazany spontanicznie „na potrzebujących" zaręczynowy pierścionek albo cała zawartość portfela (z paragonami i rachunkami), a nawet sztabka złota. To nie wszystko. Ostatnio na jednym ze spotkań w ubogiej podwarszawskiej parafii w podziękowaniu za wykład o Eucharystii dostałem namalowany przez oazową młodzież prosty plakat: na brystolu odciśnięte ich ręce, wielkie słowo „Dziękujemy!" i oazowy krzyż (w branży zwany „foską"). „Krzyż jest jeszcze nieskończony" – wyjaśnił opiekujący się tymi dzieciakami ksiądz wikary. „Dziewczyna, która go dziś dla pana malowała, musiała nagle wrócić do domu, bo jej ojciec tak pobił jej siostrę, że musiała z nią pojechać do szpitala...".

Kawałek kartonu – który, jak większość takich podziękowań, miałby swój moment w chwili wręczania, a później skończył wśród innych miłych pamiątek, do których wraca się raz na parę lat przy przeprowadzkach – nagle stał się relikwią. Czymś, co będę miał teraz w swojej pracowni, zawsze blisko, na wypadek, gdyby choć na chwilę zdarzyło mi się zapomnieć, jak się dziś mają sprawy Bożych dzieci na tym Bożym świecie. O tym, jaki bagaż niosą ze sobą ludzie, których mijam na ulicy bez refleksji i głębszego spojrzenia, będąc tylko w swojej własnej głowie, biegnąc za tysiącem swoich spraw.

Wreszcie i o tym, jak ciężko chory jest mój kraj, w którym wybrana przez Polaków władza ma czas i energię na toczenie haniebnych przepychanek nad tym, czyje obchody stulecia niepodległości będą bardziej „mojsze", pompatyczne i jedynie słuszne, a od miesięcy nie jest w stanie powołać Rzecznika Praw Dziecka. Dla każdego, kto sprawę obserwuje, jest oczywiste, że faktyczny brak rzecznika (poprzedni skończył ostatnią możliwą kadencję w sierpniu i w tej chwili czeka na przekazanie obowiązków, a w takim momencie nie podejmuje się strategicznych działań) nie wynika z braku sensownych kandydatów, bo tacy – i to zgłaszani przez PiS i jego przystawkę, Kukiz '15 – byli. To w oczywisty sposób skutek tego, że rocznicowe wyszarpywanie sobie z rąk biało-czerwonej flagi przez ludzi, którzy uwierzyli, że zaświadczenie z PKW o wyborze zrobiło z nich kwintesencję polskości, jest dla nich o całe piekło ważniejsze niż zadbanie o obsadę najważniejszego w Polsce urzędu mogącego interweniować w sprawach dotyczących jej najbardziej podatnych na zranienia obywateli. Ustawę o nie wiadomo komu potrzebnym dodatkowym dniu wolnym są w stanie napisać na kolanie i przepchnąć przez wszystkie instancje w parę dni, a tej fundamentalnej sprawy załatwić od miesięcy nie potrafią. Potwierdzają tym samym moje robocze założenie, że równie dobrze mogłoby ich nie być, podczas gdy z całą pewnością musi jednak być rzecznik, wyposażony przez ustawę w solidny budżet, biuro i olbrzymie kompetencje: immunitet, prawo do żądania wyjaśnień od każdej instytucji, mający prawo wkraczać w sytuacje takie jak ta, o której usłyszałem na wspomnianym spotkaniu, i wesprzeć lokalne struktury opieki społecznej i policji, angażując się w tę sprawę natychmiast jako prokurator.

Piszę te słowa w piątek, na dwa dni przed tym, jak na Stadionie Narodowym patriotycznie zaśpiewa m.in. Maryla Rodowicz, w Kancelarii Premiera z repertuarem legionowym (jak mniemam) zmierzy się artysta Stachursky, prezydent z resztą naszej politycznej magnaterii przejdzie przez Warszawę w towarzystwie transporterów opancerzonych, a zwolennicy patriotyzmu pirotechnicznego, uważający się za *crème de la crème* narodu, ubogacą nas też, jak co roku, wieloma skandowanymi refleksjami sprowadzającymi chrześcijaństwo do ksenofobii, a polskość do rasizmu. Nie pierwszy to raz, gdy okazuje się, że z wieloma moimi rodakami dzieli mnie sposób rozumienia pojęć „miłość do ojczyzny" i „patriotyzm". Nie przypuszczam, bym kiedykolwiek znalazł w sobie śmiałość, żeby nazwać siebie „patriotą", nie uzyskawszy wcześniej pewności, że dla najsłabszych członków naszej wspólnoty zrobiłem wszystko, co leżało w zakresie moich możliwości. Bo to jest moja (prywatna, nie ma obowiązku jej podzielać) definicja patriotyzmu.

First things first, mawiają anglojęzyczni: najpierw robimy rzeczy konieczne, później pozostałe. Gdyby przyszło mi uczestniczyć w jakichś pompach-akademiach, nie dawałoby mi spokoju pytanie, co ze stu lat polskiej niepodległości wynika dla tych, którzy rocznicowy dzień spędzą w pustostanach, w kanałach ciepłowniczych, katowani przez bliskich przy bezczynności państwowych instytucji, mieszkający bez łazienki (nie ma jej milion lokali w Polsce), bez bieżącej wody (nie ma jej pół miliona mieszkań).

Tak, wiem, nie wszystko naraz, jest 500 plus i wiele innych socjalnych programów, a my musimy przecież też kiedyś sobie poświętować. W świętowaniu urodzin Matki nie ma oczywiście nic złego. Pytanie tylko, gdzie owa Matka wówczas będzie. I czy nie uczcilibyśmy jej lepiej, czyniąc w tym dniu Polskę godnym miejscem do życia dla choćby jeszcze jednego z jej poobijanych dzieci. ©

BIAŁORUŚ NA ROZDROŻU

Władze białoruskie modyfikują politykę tożsamościową, która dotąd miała charakter neosowiecki. Strach przed reakcją Moskwy sprawia jednak, że zmiany są bardzo ostrożne.

WOJCIECH KONOŃCZUK Z MIŃSKA

Na ulicach szarego jesiennego Mińska uwagę zwracają krwistoczerwone emblematy Komsomołu: informują, że ta młodzieżowa organizacja właśnie obchodzi stulecie istnienia.

Tuż po rewolucji październikowej w 1917 r. bolszewicy utworzyli Komunistyczny Związek Młodzieży (w skrócie: Komsomoł), którego zadaniem miało być indoktrynowanie młodego pokolenia. W Rosji rozwiązano go w 1991 r., ale na Białorusi istnieje on nadal – zmieniono jedynie nazwę.

Dzisiaj Białoruski Republikański Związek Młodzieży to prorządowa organizacja, która – jak dawniej – jest instrumentem władz dla propagowania ideologii państwowej. Trudno powiedzieć, jaka część z niemal pół miliona jej członków (jak na niespełna dziesięciomilionowy kraj to niemało) przystąpiła do niej dobrowolnie.

Dwoistość polityki: Komsomoł i Radziwiłłowie

Na urodzinowo-rocznicowych uroczystościach tak ważnej organizacji nie mogło zabraknąć Aleksandra Łukaszenki. Prezydent nie tylko wystosował okolicznościowe życzenia („Historia Komsomołu to historia naszego narodu" – napisał), ale również osobiście wziął udział w obchodach. Telewizja państwowa pokazała, jak stoi wśród tłumu aktywistów

VIKTOR DRACHEV / TASS / GETTY IMAGES

Dziewczęta w białoruskich strojach narodowych podczas piątej edycji festiwalu „Zew Polesia". Okolice Homla na południowo-wschodniej Białorusi, 22 września 2018 r.

i śpiewa wraz z nimi „Pieśń o niepokojącej młodości", jeden z dawnych komsomolskich szlagierów. Kiedyś podobne zdjęcia miał każdy z sowieckich sekretarzy generalnych, przywódców partii i państwa w Kraju Rad.

Przybywający do Mińska drogą lotniczą zobaczy jednak nie rocznicowe plakaty Komsomołu, lecz zupełnie inny widok. W terminalu rzucają się w oczy wielkoformatowe zdjęcia słynnych zabytków Białorusi, wśród których dominują zamki Radziwiłłów – w Nieświeżu oraz Mirze. Potem okazuje się, że jest ich więcej – zarówno na billboardach na ulicach białoruskiej stolicy, jak też wielu innych miastach.

Co takiego jest w tej architekturze sprzed kilkuset lat, że władze uznały, iż może ona stanowić jeden z narodowych symboli? Może ich niesowieckość i nierosyjskość? Bo na wschód od wschodniej granicy Białorusi podobnych zabytków – stanowiących część dziedzictwa dawnej Rzeczypospolitej – przecież nie ma.

Te dwa przypadki – z jednej strony Komsomoł, z drugiej pałace Radziwiłłów (litewskiego rodu magnackiego, którego korzenie, jak chcą niektórzy historycy białoruscy, miałyby być właśnie białoruskie) – dobrze obrazują dwoistość polityki historycznej kreowanej przez Mińsk.

Miękki zwrot

Tymczasem wcześniej, przez większość już niemal 25-letnich rządów, Aleksandr Łukaszenka ignorował potrzebę prowadzenie działań na rzecz narodowej tożsamości.

Po objęciu przez niego rządów doszło wręcz do odwrócenia – zapoczątkowanej tuż po upadku komunizmu – polityki wzmacniania białoruskości. Flagę biało-czerwono-białą zastąpił sztandar sowieckiej Białorusi, a rosyjski ponownie uzyskał status języka państwowego i w rezultacie niemal kompletnie zdominował przestrzeń polityczną, informacyjną oraz naukową (i właściwie wszystkie inne przestrzenie). Białoruś stała się chyba jedynym państwem w Europie, które zrezygnowało z prowadzenia polityki tożsamościowej, wybierając kontynuację – z niewielkimi modyfikacjami – narracji sowieckiej.

Jednak w ostatnich latach władze zaczęły dostrzegać, że tak dłużej się nie da. Najpierw w dominującą tradycję sowiecką – tej, która dzieje Białorusi kazała zaczynać od... bolszewickiej rewolucji w 1917 r. – zaczęto ostrożnie wpisywać inne elementy, w tym Wielkie Księstwo Litewskie. Wbrew nazwie było to również państwo białoruskie i dzisiaj obszerne informacje o nim znajdują się już we wszystkich podręcznikach do dziejów ojczystych.

Kolejnym ważnym sygnałem dla Mińska była rosyjska agresja na Ukrainie, rozpoczęta w 2014 r. Podważyła dotychczasowe przekonanie białoruskiej nomenklatury, że zawsze znajdzie z Rosją wspólny język. Bezpieczeństwo reżimu zostało ostatecznie zachwiane. I oto nagle prezydent Łukaszenka, który przez 20 lat utożsamiał język białoruski z nacjonalizmem i opozycją, przypomniał sobie, jak się w tym języku mówi. I to jak! Powiedział: „Jeśli oduczymy się mówić po białorusku, przestaniemy być narodem" – czym wprawił w osłupienie opozycję, bo w gruncie rzeczy ukradł jej hasło.

Rusyfikacja kolejnego pokolenia

Większą wolność działania dostały odtąd najróżniejsze inicjatywy społeczne promujące kulturę i mowę białoruską. Na ulicach pojawiło się więcej niż wcześniej reklam dowodzących atrakcyjności narodowego języka Białorusinów. Niektórzy tutejsi obserwatorzy zaczęli pisać wręcz, że zaczęła się „miękka białorutenizacja" – przyznając wprawdzie, że władze działają powściągliwie, ale kierunek jest słuszny.

Szybko jednak okazało się, że systemowo w kwestii językowej nie zmieniło się prawie nic. Szkolnictwo niemal w całości pozostaje w języku rosyjskim. W istocie trwa więc proces rusyfikacji kolejnego pokolenia.

Z rozmów z Białorusinami trudno jest też odnieść wrażenie, że zachowanie języka białoruskiego uznają za wartość. Gdy pytam młodego taksówkarza w Mińsku, jak u niego ze znajomością języka, wydaje się zdziwiony pytaniem: – Wcześniej to nawet go używałem, ale odkąd mieszkam w Mińsku, mówię już wyłącznie po rosyjsku. To mi zresztą wystarcza.

Zaskakujące, że na Białorusi wciąż pokutuje dawne przeświadczenie, iż białoruski to „język chłopski" i „niekulturalny". Młoda Białorusinka na podobne pytanie odpowiada zaś: – Białoruski? A po co? Rosyjski jest praktyczniejszy.

Dopóki za propagowanie białoruskiego odpowiadać będzie nie państwo, lecz organizacje społeczne, dopóty nawet ich najlepsze kampanie nie przyniosą szerszego efektu. A władze działają w sposób nierychliwy, pomne regularnego pohukiwania rosyjskiej telewizji państwowej na rzekomy „wzrost nacjonalizmu białoruskiego". Operacja zastraszania jest skuteczna.

Kościuszko i Kuropaty

Mimo to widoczne są nowe elementy w podejściu władz do kwestii tożsamościowych.

Obok otwartego kilka lat temu wielkiego budynku muzeum Wielkiej Wojny Ojczyźnianej – jak na Białorusi nadal nazywa się II wojnę światową, wzorem sowiecko-rosyjskim – państwo zainwestowało kilkadziesiąt milionów euro w renowację zamku Radziwiłłów w Nieświeżu. Rozpoczął się większy projekt „Zamki Białorusi", mający na celu konserwację najcenniejszych obiektów.

Wiosną tego roku w wiosce Mereczowszczyzna odsłonięto pierwszy na Białorusi pomnik Tadeusza Kościuszki, którego świadomi narodowo Białorusini uważają za swojego wielkiego rodaka (przyszły bohater Rzeczypospolitej i Ameryki tu się urodził). Stało się to jednak nie dzięki inicjatywie państwa, lecz – ponownie – społecznej.

Z drugiej strony władze, choć mogły, to jednak nie zablokowały pomysłu. Tymczasem w każdym większym białoruskim mieście nadal są ulice, a gdzieniegdzie też pomniki Aleksandra Suworowa – generała i współtwórcy nowoczesnej armii carskiej pod koniec XVIII w., który zasłynął także krwawym zdławieniem powstania kościuszkowskiego (m.in. rzeź Pragi).

Może największym wyłomem w dotychczasowej prosowieckiej narracji władz jest zgoda na pomnik w Kuropatach. W tamtejszym lesie, położonym na przedmieściu Mińska, w latach 1937-41 miejscowe NKWD rozstrzelało może nawet ćwierć miliona ludzi. Prawdopodobnie właśnie tam spoczywa niemal 4 tys. obywateli polskich z tzw. białoruskiej listy katyńskiej, których państwo polskie poszukuje od dawna.

Od końca lat 80. XX w. Białorusini ustawiali w Kuropatach drewniane krzyże, czemu władze nie przeszkadzały. Nie było ↦

↦ jednak mowy o żadnym oficjalnym upamiętnieniu. Tymczasem w ostatnich miesiącach białoruskie Ministerstwo Kultury niespodziewanie przeprowadziło konkurs na projekt pomnika. Jego odsłonięcie zaplanowano na połowę listopada.

Zakazana tablica na stulecie

Czy to, co już zmieniło się w białoruskiej polityce pamięci, to dużo czy mało?

Mało, jeśli przyjmiemy, że w ciągu pierwszych dwóch dekad rządów Łukaszenki nie działo się prawie nic. Zbyt mało, jeśli uświadomimy sobie, ile jest jeszcze do zrobienia. Ale w opinii wielu obserwatorów zrobiono już sporo, jeśli uwzględnić wcześniejszą neosowiecką narrację władz.

Należy jednak pamiętać, że wspomniana dwoistość podejścia pozostaje. Bo z jednej strony będzie wreszcie pomnik w Kuropatach, jednym z najstraszniejszych miejsc Europy Wschodniej. Ale z drugiej strony szef białoruskiego MSW w rocznicę zakończenia II wojny światowej paraduje w mundurze enkawudzisty. A w sercu białoruskiej stolicy wciąż stoi pomnik Feliksa Dzierżyńskiego, twórcy sowieckiego aparatu terroru i jednego z symboli tegoż terroru. Panu Bogu świeczkę i diabłu ogarek.

Tym bardziej że nawet te ostrożne modyfikacje w oficjalnej narracji mają swoje ograniczenia. Przykładem choćby stosunek władz do Białoruskiej Republiki Ludowej (BRL), czyli próby stworzenia przez Białorusinów w 1918 r. samodzielnej państwowości o orientacji antysowieckiej i prodemokratycznej. Przed przypadającą 25 marca 2018 r. setną rocznicą ogłoszenia przez BRL niepodległości grupa aktywistów otrzymała – po długoletnich staraniach – zgodę na zawieszenie na budynku w centrum Mińska tablicy pamiątkowej.

Komitet społeczny w ciągu trzech godzin zebrał środki potrzebne na ufundowanie niemal dwumetrowej wysokości tablicy. Byłem wówczas w Mińsku i pamiętam znajomego aktywistę białoruskiego, który w przededniu jej odsłonięcia w entuzjastycznym nastroju zapraszał mnie do udziału, mówiąc o „historycznym dniu". Pikanterii sprawy dodawał fakt, że budynek znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie białoruskiego KGB.

Radość okazała się przedwczesna. Kilkanaście godzin przed długo oczekiwaną chwilą uroczystość została przesunięta o tydzień. A potem – na nieokreślony termin. Wszystko dlatego, że podobno właściwe instytucje nie wydały wszystkich niezbędnych zezwoleń. Stało się jasne, że tablica pamiątkowa byłaby zbyt śmiałym krokiem.

Wreszcie po kilku miesiącach władze znalazły pretekst, aby sprawę zakończyć. Do urzędu spłynęło bowiem „szereg skarg ze strony obywateli, negatywnie ustosunkowanych do kwestii ustanowienia tablicy pamiątkowej" – jak głosi oficjalny komunikat. Bardziej prawdopodobne jest, że zadzwonił telefon z Moskwy z wymówką: „Co wy tam za antyrosyjską działalność uprawiacie?!". Ewentualnie ktoś w Mińsku uznał, że taki telefon może zadzwonić.

Przyszłość tej tablicy, dziś spoczywającej w magazynie, będzie ważnym papierkiem lakmusowym, pokazującym ewentualne zmiany w polityce pamięci Białorusi.

Spory pod warstwą pudru

Kwestia rozwoju białoruskiej tożsamości narodowej jest bowiem ściśle związana ze stosunkami z Rosją.

Skala uzależnienia w sferze politycznej, ekonomicznej i wojskowej Białorusi od wschodniego sąsiada jest na tyle duża, że mocno ogranicza to pole do prowadzenia przez Mińsk samodzielnej gry na arenie międzynarodowej. Przekłada się to również na taką politykę historyczną i tożsamościową, która w większym stopniu kładłaby akcent na rozwój białoruskości kosztem redukowania sowieckości.

Oczywiście, w oficjalnej retoryce stosunki między „bratnimi narodami" są świetne. Ale pod grubą warstwą pudru kryją się poważne napięcia. W obliczu wojny z Ukrainą i konfliktu politycznego z Zachodem Kreml domaga się od Mińska bezwarunkowej lojalności. Ten jednak, choć przestraszony agresją rosyjską na Krymie i w Donbasie, odrzuca zabiegi Moskwy zmierzające do zwiększania kontroli nad Białorusią. Aby nie drażnić wschodniego sąsiada, Mińsk musi bardzo uważać na swoje działania w sferze historycznej.

Białoruski przywódca znany jest z barwnego języka i mało dyplomatycznych wypowiedzi. W szczególności pozwala sobie na szczere słowa w czasie mniej formalnych spotkań, kiedy nie ma przed sobą spisanego wystąpienia. W czerwcu tego roku, podczas narady w rodzinnym powiecie szkłowskim, zaskoczył po raz kolejny, gdy w emocjonalny sposób oznajmił: „Jesteśmy na froncie. Jeśli nie przetrwamy najbliższych lat, załamiemy się; będzie to oznaczało konieczność wejścia w skład jakiegoś państwa lub zwyczajnie zaczną sobie o nas wycierać nogi. A nie daj Boże wywołają jeszcze wojnę jak na Ukrainie". Kropki nad „i" nie postawił, ale wszyscy wiedzieli, o jakie państwo chodzi.

Do tematu Łukaszenka powrócił podczas pierwszego oficjalnego spotkania z Michaiłem Babiczem, nowym ambasadorem Rosji na Białorusi. Jego nominacja została odebrana jako wysłanie przez Kreml człowieka „do zadań specjalnych",

OGŁOSZENIA

Sąd Rejonowy w Lubaczowie, I Wydział Cywilny, w sprawie I Ns 23/18, z wniosku Teresy Baran z udziałem Marii Hanus, Kornelii Wójciak, Julii Gajewskiej, Tadeusza Barana, Mariusza Barana i Romana Barana, o stwierdzenie nabycia spadku po:
– Janie Baranie, zm. 6 maja 1987 r. w Kanadzie i tam mającym ostatnie miejsce pobytu;
– Marii Baran, c. Wawrzyńca i Ewy, zm. 21 grudnia 1981 r. w Lubaczowie, mającej ostatnie miejsce pobytu w Lisich Jamach;
po których pozostał majątek w postaci nieruchomości w Lisich Jamach o powierzchni około 5 ha – wzywa wszystkie osoby roszczące sobie prawa do spadku, aby w terminie 3 miesięcy od dnia zamieszczenia ogłoszenia zgłosiły swój udział w postępowaniu i udowodniły prawo do spadku pod rygorem pominięcia w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 142/18 postępowanie z wniosku Marii Szumniak i Andrzeja Szumniaka o stwierdzenie nabycia udziału w prawie własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości położonej w Jarocinie przy ul. Wolności 12, oznaczonej geodezyjnie jako działka 1297 o powierzchni 0,10,59 ha, dla której jest prowadzona księga wieczysta KZ1J/00003039/0.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie się będzie toczyć bez ich udziału.

WOJCIECH KONOŃCZUK

Współczesny obraz w kościele franciszkańskim w Iwieńcu koło Mińska przedstawia anioła walczącego z diabłem, który ma twarz Feliksa Dzierżyńskiego. Twórca aparatu terroru bolszewików urodził się w 1877 r. kilka kilometrów od Iwieńca, w majątku Oziembłowo (dziś Dzierżynowo). Tamtejszy dwór, odbudowany przez państwo, służy za miejsce konferencji białoruskiego KGB. Iwieniec, 2018 r.

który miałby zdyscyplinować Białorusinów. W tej części spotkania, która była otwarta dla mediów białoruskich, prezydent na wszelki wypadek podkreślił, że w relacjach dwustronnych „niezmienne jest jedno – jesteśmy suwerennym i niepodległym krajem". I dodał, że „pisanie o inkorporacji, włączeniu Białorusi w skład Rosji jest po prostu śmieszne".

Podkreślanie podobnych słów na spotkaniu z dyplomatą obcego państwa wiele mówi i potwierdza, że rośnie rosyjska presja na Białoruś. Nawet jeśli znacznej jej części nie widać w przekazach publicznych.

Między dwoma sąsiadami

Dotychczasowe próby zmiany białoruskiej narracji historycznej i tożsamościowej są niemrawe i pełne wahania. Szczególnie widoczne jest to na tle procesu desowietyzacji, jaki na szeroką skalę trwa od czasu Rewolucji Godności na Ukrainie. Tymczasem w Rosji odbywa się coś dokładnie odwrotnego – widoczna w wielu sferach resowietyzacja.

Na tym tle Białoruś jawi się jako państwo zawieszone między dwoma sąsiadami. Łukaszenko już nie walczy z ideą narodową i chyba rozumie, że jego państwo potrzebuje własnej tożsamości, innej niż rosyjska. Zarazem zdaje sobie sprawę, jakie to niesie ryzyko.

Inna sprawa, że nie w samej tylko Rosji leży problem. Jest mocno wątpliwe, by ktoś o mentalności Łukaszenki był w ogóle zdolny do realnego zwrotu pronarodowego. Jeśli kiedyś dojdzie do odrodzenia białoruskości, to jej budzicielem z pewnością nie będzie urzędujący prezydent.

Jeden z niezależnych białoruskich wydawców tłumaczy mi, że zasadnicza zmiana, jaka zaszła na Ukrainie po 2014 r., polega na tym, że przestała być ona kulturowym peryferium Rosji. Wcześniej ukraińskie księgarnie, rynek muzyczny i stacje telewizyjne były zdominowane produkcją importowaną z Moskwy. Dziś proporcje się odwróciły. Ukazuje się rekordowo dużo książek po ukraińsku, rosyjskie seriale zniknęły z ukraińskich kanałów, znacząco spadł udział rosyjskiej muzyki popularnej w ukraińskich stacjach radiowych. Ukraina wybiła się na kulturalną niepodległość.

Za blisko od Moskwy

Sytuacja na Białorusi jest inna. Przykładem jedna z większych księgarń w centrum Mińska: ogromna większość oferowanych tu książek wydana została w Moskwie lub innych rosyjskich miastach. Książki po białorusku znajdują się na wydzielonych półkach, co mimowolnie przywodzi na myśl słowo „getto".

Dalej: białoruska telewizja jest nieporównanie mniej atrakcyjna niż dominująca rosyjska. A o rodzimym rynku muzycznym trudno jest nawet mówić. – W sferze kultury to Rosja pozostaje jedynym punktem odniesienia dla Białorusi. Dopóki to się nie zmieni, możemy zapomnieć o prawdziwej suwerenności – kończy wydawca, mój rozmówca.

Na ponad 200-letnie uzależnienie kulturalne od Rosji nakłada się obawa władz, że zbyt odważne działania w sferze tożsamościowej mogą niepotrzebnie prowokować nieprzewidywalnego sąsiada. W efekcie głęboki cień Rosji pozostaje kluczowym czynnikiem wpływającym nie tylko na politykę historyczną Białorusi, ale na wszystkie najważniejsze wymiary funkcjonowania tego państwa.

Czy bowiem małymi kroczkami, jak te widoczne w ostatnich kilku latach, można cokolwiek większego osiągnąć?

© WOJCIECH KONOŃCZUK

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, pod sygn. I Ns 168/18 toczy się postępowanie o uchylenie zarejestrowanego pod nr. 272611 aktu poświadczenia dziedziczenia z 18 lutego 2014 r. (rep. A 353/2014), sporządzonego przez notariusza w Warszawie Grażynę Cylińską, i o stwierdzenie nabycia spadku po Stefanii Fiutkowskiej, zm. 8 czerwca 1987 r. w Rudce, ostatnio stale zamieszkałej w Mrozach.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy (szczególnie spadkobiercy zmarłego 2 sierpnia 1984 r. w Warszawie Kazimierza Lewandowskiego) w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Jarocinie, Wydziałem I Cywilnym, przy ul. Wrocławskiej 6, toczy się pod sygnaturą I Ns 132/18 postępowanie z wniosku Krystyny Szewczyk o stwierdzenie nabycia własności nieruchomości przez zasiedzenie. Wniosek dotyczy zabudowanej nieruchomości położonej w Magnuszewicach, gmina Kotlin, oznaczonej geodezyjnie jako działka 153 o powierzchni 2,71,13 ha, dla której była prowadzona księga wieczysta Magnuszewice k. 37.

Sąd wzywa wszystkich zainteresowanych, by w terminie 3 miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia zgłosili się w Sądzie i udowodnili swe prawa, gdyż w przeciwnym razie postępowanie się będzie toczyć bez ich udziału.

Referendum nad Trumpem

JAN SMOLEŃSKI

Wybory uzupełniające do Kongresu pokazały, jak bardzo niereprezentatywny jest system polityczny w USA: choć Republikanie wyraźnie tracą poparcie społeczne, są w stanie zachować dominujący wpływ na amerykańską politykę.

Salam alejkum – powiedziała po ogłoszeniu wyników Ilhan Omar. Odpowiedziała jej burza braw. – Alhamdulillah, dzięki Bogu! – dodała 36-letnia Amerykanka somalijskiego pochodzenia, z zawodu politolożka.

Ilhan Omar miała powody do radości. Prócz tego, że Partia Demokratyczna, z ramienia której startowała, odzyskała kontrolę nad Izbą Reprezentantów (izbą niższą parlamentu), to ona oraz 42-letnia prawniczka Raszida Tlaib są pierwszymi w historii muzułmankami wybranymi do Kongresu.

Z ramienia Demokratów do Kongresu dostała się też Alexandria Ocasio-Cortez, najmłodsza w dziejach, bo 29-letnia deputowana, i przy tym zadeklarowana socjalistka, o portorykańskich korzeniach. W Izbie Reprezentantów w ławach Demokratów zasiądą również: była zawodniczka mieszanych sztuk walki 38-letnia Sharice Davids (nie ukrywa, że jest lesbijką) i 57-letnia Deb Haaland – obie są Indiankami (albo, używając oficjalnego języka: rdzennymi Amerykankami). Będzie to najbardziej zróżnicowany Kongres w historii, z największym uczestnictwem kobiet, do tego jak na klasę polityczną w USA bardzo młodych.

Ale choć Demokraci zdobyli przewagę w Izbie Reprezentantów, to Partia Republikańska nie tylko utrzymała, ale nawet zwiększyła przewagę w Senacie do przynajmniej 51 mandatów.

W tym samym czasie odbywały się też wybory na stanowiska gubernatorów – istotne także dlatego, że za dwa lata będą na nowo rozrysowywane okręgi wyborcze (w czym gubernatorzy mają udział). W chwili oddawania tekstu do druku w dwóch kluczowych stanach – w Georgii i na Florydzie – wyniki nie były oczywiste. W obu stanach przeciw twardym zwolennikom „trumpizmu", Ronowi DeSantisowi na Florydzie i Brianowi Kempowi w Georgii, stanęło dwoje Afroamerykanów: Andrew Gillum i Stacey Abrams.

Wybory jak plebiscyt

To właśnie Georgia i Floryda pokazują wymownie, że te wybory były w dużej mierze również plebiscytem nad dwuletnią już prezydenturą Donalda Trumpa.

Wybijającym się elementem kampanii były odwołania do imigracji ze strony prezydenta, podszyte rasizmem. Trump chętnie przywoływał „karawanę imigrantów" – jak określa się kilkutysięczną grupę Latynosów, którzy uciekli z ogarniętych przemocą i kryzysem krajów Ameryki Środkowej i obecnie zwartymi grupami wędrują przez Meksyk – jako przykład zorganizowanej próby nielegalnego przekroczenia granicy.

Trump zapowiedział wysłanie na południową granicę 15 tys. żołnierzy. To więcej niż liczy kontyngent USA w Afganistanie (warto dodać, że „karawana" nie jest czymś wyjątkowym: latynoscy imigranci nierzadko podróżują razem dla bezpieczeństwa). Do tego dochodziły wyssane z palca historie o szalejącej przestępczości, zwłaszcza wśród imigrantów, i opowieści o oszustwach wyborczych. Ktoś policzył, że podczas tej kampanii Trump kłamał średnio ok. 30 razy dziennie (wcześniej mniej więcej 7–8 razy dziennie).

Wielu republikańskich kandydatów podchwyciło ten ton. DeSantis opowiadał o zagrożeniach imigracją, Kemp zmyślił „hakowanie" maszyn do głosowania przez Demokratów, a Kris Kobach (kandydat na gubernatora stanu Kansas, w którym w 2016 r. Trump pokonał Clinton przewagą aż 20 proc. głosów) uczynił swoim hasłem „*Make Kansas Great Again*" – nawiązując do prezydenckiego „*Make America Great Again*".

Po drugiej stronie panowało przekonanie, że te wybory to walka w obronie demokracji przeciw autorytarnym zakusom Trumpa i wracającemu do mainstreamu białemu suprematyzmowi. Takie hasła na swoje sztandary wzięli wspomniani Gillum i Abrams oraz wielu kandydatów do Kongresu. Demokraci postawili też na powszechny dostęp do ochrony zdrowia – USA są jedynym rozwiniętym krajem, gdzie nie ma uniwersalnego ubezpieczenia zdrowotnego – jako na jeden z głównych punktów swego przekazu. Wiele wskazuje, że także dzięki temu Demokratka Laura Kelly wygrała w stanie Kansas z Krisem Kobachem.

Dwa lata pata?

Po ogłoszeniu wstępnych wyników, z których wynikało, że Partia Demokratyczna uzyskuje kontrolę nad Izbą Reprezentantów, prominentna Demokratka Nancy Pelosi rytualnie wezwała do ponadpartyjnej współpracy. Trump też zapewniał, że ma świetne stosunki z liderami Demokratów. Dla wszystkich jednak jest oczywiste, że o współpracę będzie trudno.

Demokraci zapewne będą chcieli wykorzystać kontrolę nad Izbą, by również na tym forum zbadać powiązania między Trumpem i Rosją. Można się też spo-

WHITNEY CURTIS / GETTY IMAGES

Sharice Davids podczas wieczoru wyborczego po zwycięskich dla niej wyborach uzupełniających do Kongresu. Olathe, 6 listopada 2018 r.

dziewać, że część Demokratów będzie żądać ujawnienia zeznań podatkowych Trumpa, których ten za żadne skarby nie chce pokazać.

Trump już zapowiedział, że jeśli Demokraci w Izbie będą się starali skorzystać ze zdobytej władzy w tym celu – dodajmy: władzy, która jest jedną z konstytucyjnych prerogatyw Kongresu – to on będzie torpedować ich wysiłki.

Trudno z kolei się spodziewać, by Demokraci poparli w Izbie Reprezentantów sztandarowe pomysły republikańskich „trumpistów", jak np. rozmontowanie Obamacare (powszechnej opieki zdrowotnej, wprowadzonej za prezydentury Baracka Obamy) czy mur na granicy z Meksykiem.

Najbardziej prawdopodobny scenariusz jest więc taki, że przez kolejne dwa lata – do wyborów prezydenckich w 2020 r., powiązanych z kolejnymi wyborami do Kongresu (na zwalniające się wtedy miejsca) – w Waszyngtonie zapanuje, głównie w sprawach polityki wewnętrznej, rodzaj pata: obie strony będą zbyt słabe, by narzucić oponentom swoją wolę, ale zarazem dość silne, by blokować ich inicjatywy.

Miecz nad Muellerem

Kością niezgody będzie też zapewne śledztwo w sprawie tzw. Russiagate, prowadzone przez specjalnego prokuratora Roberta Muellera. Dotychczasowe osiągnięcia śledczych – w tym skłonienie do współpracy Paula Manaforta, byłego szefa sztabu wyborczego Trumpa – oznaczają, że prezydent ma powody do obaw.

Potencjalnym problemem dla śledztwa Muellera – i pokłosiem niekorzystnego dla Trumpa wyniku wyborów – może być dymisja Jeffa Sessionsa ze stanowiska prokuratora generalnego i szefa Departamentu Sprawiedliwości. Trump od dawna krytykował Sessionsa za to, że wycofał się z nadzoru nad śledztwem Muellera. Traktował to jako objaw słabości i nielojalności, myląc najwyraźniej stanowisko prokuratora generalnego z rolą prywatnego prawnika prezydenta.

Na miejsce Sessionsa prezydent powołał Matthew Whitakera, który wcześniej krytykował Muellera. Wielu odczytało tę nominację jako złą prognozę dla specjalnego prokuratora – choć w głośnym tekście dla „New York Timesa" George Conway (mąż Kellyanne Conway, doradczyni Trumpa) stwierdził, że bez zatwierdzenia nominacji przez Senat jakiekolwiek działania Whitakera będą niekonstytucyjne.

Nowy układ partyjny

Wyniki potwierdzają obserwacje dotyczące głębszych procesów zachodzących w amerykańskiej polityce oraz w elektoracie. Choć w Stanach formalnie obowiązuje system dwupartyjny, to amerykaniści mówią, że tak naprawdę mieliśmy dotąd do czynienia z sześcioma faktycznymi układami partyjnymi – choć od wojny secesyjnej (1861-65) partie formalnie zachowują takie same nazwy. Ostatnia zmiana tego układu nastąpiła na fali Ruchu Praw Obywatelskich: wtedy to Partia Republikańska stała się partią Południa, odwołującą się do rasistowskich uprzedzeń białych, niechętnych desegregacji rasowej. W ten sposób partia zbudowana m.in. na sprzeciwie wobec niewolnictwa stała się partią segregacjonistów (a także wielkiego biznesu), Partia Demokratyczna zaś zyskała poparcie mniejszości rasowych.

Tymczasem w tym roku zamożni wyborcy, których dotąd reprezentowali Republikanie, w przeważającej mierze głosowali na Demokratów. Demokraci zyskali też głosy białych kobiet z przedmieść, zniechęconych mizoginią wielu republikańskich polityków (jakże widoczną podczas procedury zatwierdzenia Bretta Kavanaugh na sędziego Sądu Najwyższego). Ale to tylko jedna część Partii Demokratycznej. Twarzą drugiej jest wspomniana Ocasio-Cortez, o mocno lewicowych jak na USA poglądach. O tym, które skrzydło przeważy, zdecydują zapewne prawybory prezydenckie w 2020 r.

Można powiedzieć, że te wybory wbiły ostatni gwóźdź do trumny Partii Republikańskiej jako partii Lincolna. Umiarkowani republikańscy wyborcy, których interesują niskie podatki i dyscyplina fiskalna, głosowali przeciwko partii, która swój elektorat mobilizuje strachem podszytym rasizmem. Republikanie stali się partią Trumpa i „trumpizmu", partią gniewnych i sfrustrowanych białych mężczyzn.

Dominacja mniejszości

Wybory te pokazały też, jak bardzo niereprezentatywny jest system polityczny w USA. Na kandydatów Demokratów do Izby Reprezentantów w sumie głosowało o 7 proc. więcej wyborców. Część komentatorów i polityków spodziewała się zatem większego zwycięstwa, ale przeszkodziły w nim m.in. *gerrymandering* (określanie granic okręgów wyborczych przez Republikanów „pod siebie") i utrudnianie głosowania mniejszościom rasowym. W przypadku wyborów do Senatu ta przewaga wydaje się jeszcze większa: na kandydatów demokratycznych oddano aż 12 mln więcej głosów, a mimo to stracili przynajmniej dwa fotele.

Było to możliwe właśnie dzięki specyfice systemu politycznego. Każdy stan ma taką samą reprezentację w Senacie, niezależnie od populacji: Wyoming, gdzie mieszka 600 tys. ludzi, wysyła dwójkę senatorów do Waszyngtonu – tak samo jak 40-milionowa Kalifornia. Podobną dysproporcję generuje kolegium elektorów: Trump otrzymał w 2016 r. o trzy miliony głosów mniej niż Clinton, a jednak to on został prezydentem. Taki system faworyzuje Republikanów, przeciw którym działają czynniki demograficzne. Zmienić mogłyby go jedynie poprawki do konstytucji, na które obecnie nie ma szans.

Patrząc na Stany Zjednoczone, XIX-wieczny myśliciel Alexis de Tocqueville ostrzegał, że grozi im tyrania większości. Dziś zagrożeniem dla USA jest dominacja mniejszości – czyli partii politycznej, której realne poparcie jest mniejsze niż jej realne wpływy. ©

WARSAW INSTITUTE / MATERIAŁY PRASOWE

Jessikka Aro w Warszawie: w 2017 r. fińska dziennikarka prowadziła tu warsztaty o wojnie informacyjnej m.in. dla grupy amerykańskich kongresmanów, którzy przyjechali do Polski na zaproszenie Fundacji From the Depths.

Jasnowłosa i trolle

PATRYCJA BUKALSKA

Finowie jako jedni z pierwszych dostrzegli zagrożenie, jakim jest dezinformacja w internecie. Teraz fiński sąd skazał dwóch prorosyjskich aktywistów, którzy szerzyli fałszywe informacje. To precedens – także w Europie.

Dziennikarka Jessikka Aro mogła w końcu odetchnąć z ulgą. Po kilku latach zorganizowanej kampanii w internecie, której celem było jej zniesławianie i zastraszanie, w połowie października jej prześladowcy usłyszeli wyrok. Niejaki Ilja Janitskin został skazany na karę 22 miesięcy więzienia, Johan Bäckman zaś na karę w zawieszeniu na 12 miesięcy. Wyrok w zawieszeniu otrzymała też pomagająca im kobieta.

Orzeczenie nie jest jeszcze prawomocne i należy się spodziewać apelacji. Ale i tak decyzja sądu jest precedensowa – i to nie tylko dla Finlandii, ale też dla Europy. Po raz pierwszy sąd tak zdecydowanie zareagował na szerzenie dezinformacji i prokremlowskiej propagandy. Uznał też, że nie można usprawiedliwiać wolnością słowa procederu oczerniania i długotrwałego nękania w internecie. Orzekł karę pozbawienia wolności – i to wyższą, niż domagał się prokurator.

Oszczerstwa i groźby

38-letnia dziś Jessikka Aro zajęła się tematem prorosyjskich trolli – jak popularnie określa się osoby prowadzące w sieci różne kampanie dezinformacyjne – cztery lata temu.

Dziś ten rodzaj działań propagandowych – zwanych też „wojną informacyjną" – jest już znany i opisany. Ale wtedy dla większości zachodnich polityków czy dziennikarzy było to zjawisko nowe i zaskakujące. Nie tylko swoim charakterem, ale też rozmachem, z jakim Rosja rozpętała wówczas wojnę informacyjną – wymierzoną w pomajdanową Ukrainę oraz w kraje Zachodu.

Działania dezinformacyjne, prowadzone w dużej mierze przy wykorzystaniu internetu i mediów społecznościowych, miały wspomagać rosyjskie działania w „realu" – polityczne oraz, w przypadku Ukrainy, militarne, na Krymie i w Donbasie.

Również Jessikka Aro była zaskoczona rozmiarem propagandowej maszyny Kremla. W swoich artykułach opisała także tzw. fabrykę trolli w Petersburgu: firmę, której pracownicy wojnę w sieci prowadzili po prostu etatowo.

Na reakcję nie trzeba było długo czekać. Bardzo szybko fińska dziennikarka sama została zaatakowana przez trolle. W sieci ktoś ujawnił jej prywatne dane, także na temat jej zdrowia. Zaczęła otrzymywać też pełne nienawiści wiadomości i groźby. Ktoś publikował nieprawdziwe informacje – np. prezentowano ją jako „NATO-wskiego szpiega" albo twierdzono, że była karana za rozprowadzanie narkotyków. Prawdopodobnie była też śledzona, bo jej prześladowcy publikowali zdjęcia z jej życia prywatnego, np. z wakacji.

To, co na początku mogło być „tylko" nieprzyjemne, z czasem przybrało przerażające rozmiary. Pojawiły się groźby śmierci. Trolle posunęły się tak daleko, że dziennikarka dostała wiadomość rzekomo od ojca – tyle tylko, że jej ojciec od lat nie żyje.

Cała ta akcja była najwyraźniej zorganizowana i trwała przez kilka lat.

Jessikka Aro zdecydowała się pójść na policję w 2016 r. Zaczęło się śledztwo i teraz, po dwóch latach, zapadł wyrok.

W tym czasie jednak produkowano setki obraźliwych tekstów i wpisów na jej temat. Niektóre nadal krążą w sieci.

Obrońcy wolności słowa

Kim są skazani? 41-letni Ilja Janitskin prowadzi stronę internetową MV-Lehti. Publikowane tam materiały wymierzone są w krytyków Rosji, celem ataków jest też Unia Europejska; strona chętnie podejmuje również tematy, które polaryzują fińskie społeczeństwo – jak problem imigrantów.

Drugi skazany, 47-letni Johan Bäckman, to znany w kraju sympatyk prezydenta

Putina, chętnie deklarujący się przy tym jako „obrońca praw człowieka". Jest związany z Rosyjskim Instytutem Studiów Strategicznych (RISI), często występuje w rosyjskich mediach – przedstawiany jako komentator spraw europejskich. Działa też jako samozwańczy przedstawiciel Finlandii w separatystycznej tzw. Donieckiej Republice Ludowej (prorosyjskim parapaństwie stworzonym w Donbasie) i stara się rekrutować Finów, którzy chcieliby walczyć po stronie separatystów w Doniecku i Ługańsku. Jego aktywność wzbudza niepokój nie tylko w Finlandii, ale też w pobliskiej Estonii – Bäckman wspiera bowiem rosyjską narrację historyczną, zaprzeczając temu, że kraje bałtyckie były okupowane przez Związek Sowiecki (nazywa to „mitem"). Nic dziwnego, że w Estonii uznano go za *persona non grata* i odmówiono mu wjazdu do kraju w 2009 r. Z kolei w 2014 r. został wydalony z Mołdawii.

Proces, w którym go właśnie skazano, Bäckman uznał za farsę spreparowaną przez NATO, a wyrok za „brudną sztuczkę NATO". Z kolei portal MV-Lehti próbuje przedstawiać teraz Janitskina jako więźnia politycznego. Tak też sytuacja jest komentowana przez media rosyjskie: kremlowska telewizja Rossija 24 uznała wyrok za atak na fińskich „dysydentów".

Natomiast w Finlandii decyzję sądu przyjęto z uznaniem, uznając, że Janitskin i jego portal przekroczyli granice wolności słowa. Już wcześniej krytykował go nawet radykalny nacjonalistyczny polityk Jussi Halla-aho, lider partii Prawdziwi Finowie (choć trzeba zauważyć, że inni członkowie tej partii wykazywali się dla Janitskina zrozumieniem).

Na linii niewidzialnego frontu

Jessikka Aro otwarcie mówi, jak trudne były dla niej ostatnie lata. Dała sobie radę – i dalej wykonuje swoją pracę – dzięki wsparciu przyjaciół, ale też dzięki temu, że od początku fińska policja potraktowała ją poważnie.

Być może stało się tak również dlatego, że Finlandia – podobnie jak Estonia, która już w 2007 r. doświadczyła zmasowanego rosyjskiego cyberataku – jest czujna, jeśli chodzi o zagrożenia informatyczne. Już rok po tamtym cyberataku na Estonię fiński rząd przeznaczył prawie 200 mln euro na wzmocnienie bezpieczeństwa publicznego systemu informatycznego, a cyberobrona stała się jednym z priorytetów państwa. W 2015 r. w Finlandii powstała specjalna grupa złożona z ekspertów z różnych ministerstw, która monitoruje to, co dzieje się w sieci, i walczy z dezinformacją.

– Finlandia jest jednym z teatrów wojny informacyjnej, ale Rosja ma tu ograniczone pole działania – mówi „Tygodnikowi" Piotr Szymański, ekspert warszawskiego Ośrodka Studiów Wschodnich. – Nie tylko zresztą w Finlandii, ale we wszystkich krajach nordyckich. Jeden czynnik to stosunkowo wysoki poziom wykształcenia: użytkownikom internetu po prostu częściej zapala się tam czerwona lampka. A drugi czynnik to bariera językowa: trollom z rosyjskich fabryk trudno się podszywać pod Finów tak, aby nie wychwycono jakiegoś błędu językowego.

Być może także dlatego działalność fińskich aktywistów, jak Janitskin czy Bäckman, jest dla Rosji tak cenna.

Szymański podkreśla, że Rosji zależy przede wszystkim na tym, aby zapobiec zbliżeniu Finlandii z NATO. Stąd próby zdyskredytowania Sojuszu. Finlandia nie jest członkiem NATO, ale blisko z nim współpracuje. Co jakiś czas w dyskusji publicznej powraca też pytanie, czy nie powinna formalnie wejść w skład Sojuszu – debata ta nasiliła się po rosyjskiej agresji na Ukrainę. Opinia publiczna jest w tej kwestii podzielona, a szerzenie nieprawdziwych informacji dodatkowo pogłębia te podziały.

Nie bez powodu Bäckman nazywa więc swój proces „NATO-wską farsą", i nie bez przyczyny Jessikkę Aro usiłowano zdyskredytować jako „szpiega NATO".

Żołnierze Odyna i inni

– Często o Finlandii mówi się przez pryzmat rosyjskiego sąsiada i wynikających z tego konsekwencji dla tego kraju. Ale to tylko jeden z wymiarów – zwraca uwagę Piotr Szymański. – Analizując znaczenie wyroku sądu w sprawie Janitskina i Bäckmana, nie można zapominać o innej kwestii, także podgrzewanej przez dezinformację: o sprawie kryzysu azylowego. W 2015 r. w Finlandii złożono ponad 32 tys. wniosków o azyl, a kraj był do tego nieprzygotowany.

– W takich właśnie uwarunkowaniach działa portal Janitskina, na którym pojawiają się treści antyimigranckie, szerzące nienawiść – dodaje ekspert Ośrodka Studiów Wschodnich. – To również dlatego policja i prokuratura wykazał się w jego sprawie taką determinacją. Sprawa Jessikki Aro była tu tylko jednym z elementów.

Problem imigracji rozgrywany jest nie tylko w sieci, ale także w realu. Kilka lat temu w Finlandii powstała ekstremistyczna organizacja Żołnierze Odyna: jej członkowie deklarują, że chcą chronić obywateli przed imigrantami. Dziś działają nie tylko w Finlandii, ale też w Norwegii i Szwecji. Ponadto aktywny jest Fiński Ruch Oporu (rozwiązany przez sąd w 2017 r., odwołał się od wyroku i nadal jest aktywny). Popularność tych i podobnych organizacji wskazuje na radykalizację nastrojów społecznych w Finlandii. I znów – jak w przypadku NATO – szerzenie dezinformacji podgrzewa nastroje.

Przykład dla Europy

Wydając wyrok w sprawie przeciwko Jenitskinowi i Bäckmanowi, sąd podkreślał, że ich działania miały na celu zniszczenie dziennikarskiej wiarygodności Jessikki Aro i w ten sposób podważenie jej pracy, której tematem było rosyjskie zagrożenie informacyjne. Zdecydowanie odrzucił argument obrony, jakoby oskarżeni korzystali z prawa do wolności słowa.

Popularna jest opinia, że prawo nie nadąża za tym, co się dzieje w internecie. Tym razem wydaje się, że znaleziono sposób, jak powstrzymywać tego typu internetową przestępczość.

– To bardzo ważne. Finów charakteryzuje bardzo wysoki stopień zaufania do państwa i instytucji państwowych. Skoro prawo zakazuje szerzenia nienawiści i kampanii oszczerstw, to Finowie są przekonani, że policja powinna się tym zająć. I tak się stało – ocenia Piotr Szymański z OSW. – Ponadto okazało się, że internet nie jest sferą wyjętą spod prawa. Nie pozwolono na działalność Janitskina, bo uderzała w wiarygodność państwa.

Janitskin został uznany winnym aż 16 zarzutów związanych z działalnością portalu. Nie tylko zniesławiania, ale też podżegania do nienawiści etnicznej, jak również naruszania praw autorskich.

Wyrok jest surowy i w dodatku dotkliwy finansowo. Skazani mają zapłacić odszkodowanie dla Jessikki Aro i innych pokrzywdzonych (w sumie 130 tys. euro) oraz pokryć ich koszty sądowe. Razem to 240 tys. euro.

Prawniczka reprezentująca Jessikkę Aro powiedziała, że być może wyrok nie zniechęci trolli działających z Rosji, ale zwykłym Finom da do myślenia. ©℗

Ekstremiści wokół nas

NIKLAS ORRENIUS, AUTOR KSIĄŻKI „STRZAŁY W KOPENHADZE":

Opowieść o artyście, który stworzył karykatury Mahometa, jest jak soczewka: pozwala przyjrzeć się zarówno islamistom, którzy chcieli go zabić, jak też antyislamskim nacjonalistom.

SZYMON ŁUCYK: Od momentu, gdy pisał Pan „Strzały w Kopenhadze", minęły trzy lata. Co dzieje się dziś z Larsem Vilksem, szwedzkim artystą ściganym przez ekstremistów islamskich za narysowanie karykatur Mahometa?

NIKLAS ORRENIUS: Jest nadal więźniem we własnym kraju. Ciąży nad nim wyrok śmierci wydany przez islamistów. Do tej pory trzykrotnie próbowano go zabić. Jego bezpieczeństwa strzeże w ciągu doby 12 policjantów, pracujących w systemie zmianowym. Choć ma już 72 lata, jest w dobrej formie jak na swój wiek. Stara się dbać o zdrowie, biega. Ale odczuwa samotność, żyje w izolacji. Gdy spotkaliśmy się w 2015 r., rozmowa trwała trzy godziny. Byłem już zmęczony, a on chciał jeszcze mówić i mówić. Sam mi powiedział, że rzadko spotyka ludzi, i że źle to znosi. Od razu zauważyłem, jak bardzo odżywał w czasie naszych rozmów.

Od ośmiu lat prawie nie wychodzi z domu, a na każdy spacer musi mieć zgodę ochrony. Z czego się utrzymuje?

Dostaje dziś podstawową państwową emeryturę. Państwo płaci mu też za wynajem kolejnych mieszkań [trzeba je zmieniać ze względów bezpieczeństwa – red.]. Poza tym Vilks ciągle pracuje, tworzy dzieła plastyczne i je sprzedaje. Jest coraz więcej ludzi, którzy chcą mieć jego prace. Z różnych powodów: jedni kupują je dlatego, że cenią sobie wolność słowa, a inni, bo po prostu nienawidzą muzułmanów. Ci ostatni „wielbiciele" artysty przechowują w swoich domach jego rysunek Mahometa jako psa niczym trofeum.

Jak to się stało, że postanowił Pan przez rok towarzyszyć Vilksowi, aby napisać o nim książkę?

Najpierw zafascynował mnie jako człowiek. Różnił się od innych artystów. Miał łagodne, ironiczne poczucie humoru. Po raz pierwszy spotkałem go w 2007 r. – po tym, jak w jednej z lokalnych szwedzkich gazet ukazała się jego karykatura Mahometa. W odpowiedzi Al-Kaida zaczęła mu grozić śmiercią. Rysownik zareagował na to spokojnie, mówiąc, że jest bardzo zadowolony z tych gróźb, bo niewielu artystom udaje się zaangażować takie światowe organizacje do swoich działań.

Pan od dawna interesuje się jako dziennikarz ekstremizmami.

Tak, zarówno tym islamistycznym, jak też tym prawicowym. Temat ten powrócił właśnie w związku z karykaturami Mahometa – najpierw po zamachu w Paryżu w styczniu 2015 r. na redakcję pisma „Charlie Hebdo", a w kilka tygodni później pod postacią ataku terrorystycznego w Kopenhadze, którego celem był Lars Vilks. Rysownik uszedł napastnikowi, ale zginęło dwoje ludzi. Opowieść o Vilksie jest dla mnie soczewką, która pozwala przyjrzeć się zarówno tym, którzy chcieli go zabić, czyli islamistom, jak i antyislamskim nacjonalistom. Pragnąłem skłonić czytelników do myślenia, aby przyjrzeli się naraz obu tym skrajnościom i dostrzegli, że mają ze sobą wiele wspólnego.

Jak czytam w książce, część Szwedów, nawet jeśli tego publicznie nie mówi, obarcza samego Vilksa współwiną za zamachy, którymi ekstremiści

LARS RONBOG / GETTY IMAGES

Karykatury Mahometa a wolność słowa

GŁÓWNYM BOHATEREM wydanej właśnie po polsku książki „Strzały w Kopenhadze" Niklasa Orreniusa (w tłumaczeniu Katarzyny Tubylewicz) jest szwedzki artysta i aktywista Lars Vilks. Zyskał rozgłos na świecie w 2007 r., kiedy narysował opublikowaną w lokalnym szwedzkim dzienniku „Nerikes Allehanda" karykaturę Mahometa jako psa. Te satyryczne rysunki – podobnie jak rok wcześniej karykatury proroka islamu w duńskim „Jyllands-Posten" – wywołały oburzenie w świecie islamu. Ekstremiści z Al-Kaidy wydali na Vilksa wyrok śmierci.

Terroryści islamscy próbowali kilkakrotnie zabić artystę. Do jednej z tych prób – zamachu w Kopenhadze, w lutym 2015 r. – nawiązuje tytuł książki. Terrorysta, obywatel Danii pochodzenia palestyńskiego, najpierw otworzył ogień do uczestników debaty o islamie, bluźnierstwie i wolności słowa, a następnie zaatakował ludzi przed miejscową synagogą. Vilks, jeden z gości kopenhaskiej debaty i główny cel terrorysty, wyszedł z ataku cało, ale z rąk zamachowca zginęły dwie inne osoby, a kilka zostało rannych. Do zamachu doszło w miesiąc po tym, jak w Paryżu islamscy ekstremiści zaatakowali redakcję pisma „Charlie Hebdo" (także ono publikowało karykatury Mahometa) i żydowski supermarket.

„Strzały w Kopenhadze" to reportaż śledczy, który przenosi czytelników nie tylko do Szwecji, ale też do Paryża, Kopenhagi i Oslo. Wychodząc od historii Vilksa, autor analizuje zagrożenie współczesnej Szwecji i całej Europy ze strony dwóch skrajnych ruchów – islamskiego radykalizmu i nacjonalizmu. Stawia także pytanie, jak społeczeństwo otwarte, takie jak szwedzkie, może się bronić przed wrogami wolności.

Niklas Orrenius jest dziennikarzem „Dagens Nyheter", najbardziej opiniotwórczego dziennika Szwecji. Od lat specjalizuje się w pisaniu o politycznych i religijnych ruchach radykalnych. Za „Strzały w Kopenhadze" otrzymał szwedzką Wielką Nagrodę Dziennikarską oraz nominację do najbardziej prestiżowej szwedzkiej nagrody literackiej – Nagrody Augusta w kategorii literatury faktu.

© SZYMON ŁUCYK

Akcja ratunkowa po zamachu w stolicy Danii, którego celem byli uczestnicy debaty o islamie. Kopenhaga, 14 lutego 2015 r.

islamscy zareagowali na rysunki Mahometa.

Uznawanie Vilksa odpowiedzialnym za śmierć ludzi, w zamachu w Kopenhadze, to całkowicie błędna logika. Za przemoc nie można obwiniać nikogo innego poza tym, kto trzyma broń. Nie ma żadnej równowagi między twórcą obraźliwego dla jakiejś grupy ludzi rysunku a człowiekiem, który chce go zamordować. Ci, którzy tak twierdzą, rozumują jak ludzie, według których to kobiety noszące mini spódniczki ponoszą winę za dokonany na nich gwałt.

Mocne porównanie, ale czy trafne? Szwedzki artysta pojmuje sztukę w szczególny sposób: jako permanentną prowokację. Twierdzi wprost: „Sztuka to znieważanie". Pytanie jednak, czy artystyczna prowokacja jest właściwym środkiem także wtedy, gdy społeczne i religijne konflikty są już rozpalone i grożą wybuchem, jak po publikacji duńskich karykatur Mahometa na rok przed tymi szwedzkimi?

Niebezpieczne jest myślenie, że sztuka ma zawsze przynosić korzyść społeczeństwu. Jest ona podstawowym sposobem wyrażania się człowieka – i nie może istnieć bez wolności. W rozumieniu Vilksa dziełem sztuki nie jest sam rysunek z Mahometem, ale wszystkie reakcje, które po nim nastąpiły. Interesuje go, jak sam mówi, „sztuka w procesie". Oczywiście, jeśli artysta jest prowokatorem, tak jak on, to musi się przygotować na ostrą, także prowokacyjną ripostę. Tyle tylko że powinna być ona proporcjonalna do jego dzieła. W tym przypadku zrozumiałe byłoby, gdyby ktoś z jego przeciwników narysował w odpowiedzi dosadną karykaturę szwedzkiego rysownika. Proporcjonalną ripostą nie jest próba jego zamordowania.

Odpowiedzialność artysty za dzieło widzę gdzieś indziej. Dlaczego pozwala on teraz, aby jego prace były wykorzystywane przez ekstremistów, pełnych nienawiści do wszystkich muzułmanów? Tej kwestii poświęcam w książce wiele miejsca. Dla prawicowych nacjonalistów w Szwecji Vilks stał się ikoną, choć on sam nie należy do żadnej organizacji. Zdarza mu się jednak przyjmować zaproszenia na spotkania skrajnej prawicy, przez co mainstream wykluczył go i zaszufladkował jako osobę „podejrzaną". Chciałem się dowiedzieć, jaki jest naprawdę stosunek Vilksa do tych prawicowych ruchów.

Ciekawy jest sposób, w jaki rząd Szwecji zareagował na falę oburzenia w krajach muzułmańskich, wywołaną w 2007 r. szwedzkimi karykaturami Mahometa. Ówczesny premier Fredrik Reinfeldt nie ugiął się wobec tych krajów, żądających przeprosin władz za „bluźniercze" rysunki. Ale jednocześnie potrafił uspokoić wzburzenie szwedzkich muzułmanów.

Przypomnijmy, że rok wcześniej podobny kryzys dyplomatyczny wybuchł w Kopenhadze [po tym, jak duńska gazeta „Jyllands-Posten" opublikowała 12 satyrycznych rysunków Mahometa – red.]. Władze Danii mówiły wtedy o „wojnie kultur" i przeciwstawiły sobie cywilizację Zachodu i islamu. Duński premier Anders Rasmussen wypowiadał się w taki sposób, jakby stanął po stronie gazety publikującej karykatury. Nie zgodził się też na oficjalne spotkanie z przedstawicielami ambasad oburzonych państw muzułmańskich. To wszystko rozsierdziło duńskich muzułmanów. Tamtejsi imamowie podróżowali ↦

↦ potem po świecie, pokazywali te karykatury i podburzali swoich współwyznawców do nienawiści przeciw Danii. I na świecie zaczęły płonąć duńskie ambasady.

Reinfeldt postąpił więc inaczej...

Rok później szwedzki premier Reinfeldt dostał radę od duńskich sąsiadów, żeby nie postępował tak jak oni wcześniej. Posłuchał jej. Reinfeldt zawsze uważał, że muzułmanie są oczywistą, integralną częścią Szwecji. Dlatego po publikacji karykatur Vilksa premier poszedł do wielkiego meczetu w Sztokholmie i powiedział muzułmanom mniej więcej coś takiego: wszyscy jesteśmy Szwedami i mamy wspólny problem, bo o naszym kraju mówi się źle na świecie. W rezultacie tej wizyty szwedzcy imamowie, w odróżnieniu od duńskich, mówili arabskim mediom, że dobrze jest być muzułmaninem w ich kraju. I że karykatury Mahometa nie są w Szwecji czymś typowym. To zakończyło protesty przeciw Szwecji na świecie. Ale Vilks jest do dziś na celowniku islamistów.

W krajach zachodnich, gdzie mieszkają liczni muzułmanie, np. we Francji, toczy się wewnętrzna walka o wpływy w środowisku islamskim, o kontrolę nad meczetami. To walka między fundamentalistami a zwolennikami umiaru. O tych drugich słyszymy w mediach rzadko.

Muzułmanie stanowią dziś około 8 proc. szwedzkiego społeczeństwa. Absolutna ich większość to ciężko pracujący obywatele, którzy pragną żyć w pokoju. Dodam, że jako dziennikarz otrzymywałem informacje o imamach nawołujących do dżihadu – dostawałem je zwykle od innych muzułmanów, zaniepokojonych tą radykalizacją.

Na pewno część muzułmanów, którzy przybyli teraz do Europy z Bliskiego Wschodu, przywozi ze sobą uprzedzenia, np. antysemityzm, powszechny w mediach krajów arabskich. To rodzi napięcia ze wspólnotami żydowskimi w Szwecji. Osobiście odczuwam nadzieję, kiedy spotykam się z młodymi muzułmanami – wychowanymi w Szwecji i chodzącymi tam do szkół, którzy mają demokratyczne poglądy. Moje dzieci chodzą w wielokulturowym Malmö do szkoły, gdzie są uczniowie chyba ze stu krajów! Jeżeli chodzi się do takiej multikulturowej klasy, to trudno zachować przekonanie, że ci „inni" są tacy odmienni od nas.

ÅSA SJÖSTRÖM / MATERIAŁY PRASOWE

NIKLAS ORRENIUS:

Część muzułmanów, którzy przybyli teraz do Europy z Bliskiego Wschodu, przywozi ze sobą antysemityzm. To rodzi napięcia ze wspólnotami żydowskimi w Szwecji.

Jest też druga strona medalu: młodzi szwedzcy muzułmanie, którzy wstępują w szeregi tzw. Państwa Islamskiego. Opisuje Pan np. miejscowość Vivalla, z której 20 mieszkańców wyjechało do Syrii i Iraku, by walczyć w szeregach ekstremistów. Dlaczego to zrobili? Dlaczego tych młodych pociąga przemoc?

Zacznijmy od tego, że Vivalla jest pod tym względem czymś wyjątkowym w Szwecji. Powodem dla którego tak wielu dżihadystów wyjechało z jednej małej miejscowości, jest to, że osoba zajmująca się tam werbunkiem była nadzwyczaj skuteczna, przekonała tych młodych ludzi, że Szwecja ich nienawidzi i nigdy nie uzna za swoich obywateli. W sumie w ostatnich latach z całej Szwecji wyjechało na Bliski Wschód, aby walczyć po stronie tzw. Państwa Islamskiego, ok. 300 osób.

Zresztą wpływ radykalizmów na młodych nie ogranicza się do islamizmu. Jest też inna siła, która do nich trafia – nacjonalizm. Dlatego piszę w książce, że dwa ekstrema wzajemnie się napędzają, czerpią od siebie siłę. Ci, którzy rekrutują do Państwa Islamskiego, wskazują właśnie na nacjonalistów: „Szwedzi nienawidzą wszystkich muzułmanów, oni nigdy was nie zaakceptują, przyjedźcie do nas i będziemy razem budować kalifat". W podobny sposób działa skrajna prawica, mówiąc: „Wszyscy muzułmanie to terroryści, to oni chcą zabić Larsa Vilksa, trzeba ich co do jednego wyrzucić ze Szwecji".

W tegorocznych wyborach skrajna prawica, Szwedzcy Demokraci, weszła do parlamentu jako trzecia siła, po konserwatystach i socjaldemokratach. Osiągnęła ponad 17 proc. poparcia. Dużo, ale jednak mniej, niż obawiała się część komentatorów.

Szwedzka skrajna prawica jest silniejsza niż kiedykolwiek. Choć duża część jej działaczy jest zawiedziona, bo liczyli nawet na zwycięstwo w tych wyborach. Ale i tak urośli: z 13 do 17 proc. To wszystko stało się po kryzysie uchodźczym. Tylko w 2015 r. przyjechało do Szwecji 163 tys. uchodźców. Także inne umiarkowane partie zmieniły swoją politykę, co sprawiło, że dziś dużo trudniej niż kiedyś jest dostać w Szwecji azyl. Napływ imigrantów był falą, która uniosła Szwedzkich Demokratów.

Czy Pana zdaniem Szwecja znajdzie pośrednią drogę między skrajnościami?

Taką mam nadzieję. Choć trzeba sobie zdać sprawę, że siły radykalne są bardzo silne. Nie wolno zamiatać pod dywan różnych problemów, jak długo się to działo w Szwecji. Wielu ludzi nadal woli np. nie zauważać, że wolność Larsa Vilksa została drastycznie ograniczona.

Uważam, że bardzo niebezpieczne jest skrajne myślenie tożsamościowe typu: „Najważniejsze dla mnie jest to, że jestem etnicznym Szwedem" albo, z drugiej strony: „najważniejsze, że jestem wyznawcą islamu". Z tego wyrastają radykalne ruchy. Nie chcę przez to powiedzieć, że tożsamości nie są ważne, ani że nie należy ich pielęgnować. Ale w społeczeństwie najistotniejsze jest poczucie obywatelskie.

W czasach ogromnych podziałów – widocznych tak w Szwecji, jak i pewnie w Polsce – chciałbym, aby moja książka poszerzała przestrzeń środka. Bo w centrum jest wielu podobnych do siebie ludzi – bez względu na to, czy są chrześcijanami, muzułmanami; czy ateistami.

© Rozmawiał SZYMON ŁUCYK

Dziękuję Katarzynie Tubylewicz, autorce polskiego przekładu „Strzałów w Kopenhadze", za przetłumaczenie rozmowy z języka szwedzkiego.

ANDRZEJ

Stasiuk:
O niepodległości

Dawno nie było o owcach i może ktoś się stęsknił. Jest 6.30 i dopiero świta. Z prawej się podnosi, różowieje nad Uhercem. Ale przy ziemi idzie jeszcze takim ciemnym, nieoczywistym światłem. Dziwny ten listopad, bo dzień w dzień pogodny, chociaż bez przymrozków. Ranek w ranek wyglądam szronu, a tu nic. Spadły liście, spadły igły z modrzewi, w nocy świecą gwiazdy, a rano nic się nie szkli ani nie siwieje na trawie. Dziwny listopad. Właściwie to już tęsknię do mgieł, deszczu, ciemności i chłodu, do prawdziwego listopada, „pory niebezpiecznej", gdy duchy zmarłych i klęski wypełzają z mroku. No bo jakże w świetle dnia, w słońcu i pogodzie czcić Niepodległą? No jak?

Wyszła przecież z podziemi obolała, poraniona, z sinymi śladami kajdan, ledwo żywa, jak trup niemal, jak upiór – ulubiona przecież figura romantycznych wieszczów. W dodatku okaleczona, krwawy kadłub ledwie, i tak jak było wcześniej, wciśnięta między dwie potęgi śniące nieprzerwany sen o jej ponownej zagładzie. Na którą zresztą nie trzeba było długo czekać, bo jak się tylko potęgi nieco ogarnęły, to zaraz zabrały do dzieła i było tak jak wprzódy.

Więc taki mglisty i ponury listopad, listopad jak ciemna i wietrzna noc, gdy ktoś się wiesza, wydawał się zawsze odpowiednią scenerią owego dwuznacznego, by nie powiedzieć pyrrusowego, narodowego zwycięstwa. A tu nic, tylko słońce zapowiadają. W samo święto na przykład 11 stopni, lekkie zachmurzenie i żadnych opadów. W ogóle jakaś skomplikowana jest to arytmetyka: niby sto lat niepodległości, z czego jakieś 60 jednak w niewoli. A niektórzy twierdzą (zwłaszcza ci, którzy najhuczniej będą obchodzić), że niewola w najlepsze trwa do dzisiaj, ledwo przecież dyszymy pod europejskim butem oraz wszechświatowym dyktatem wiadomo kogo. Trudne to jest do ogarnięcia laickim umysłem, a może i umysłem w ogóle. Bo jak widać szafarze obchodów niespecjalnie sobie z tym radzą i brną w nieścisłości: maszerować, nie maszerować, z faszystami, bez faszystów, a może z faszystami, ale żeby oni *incognito* się przemieszczali i bez kominiarek, a w kominiarkach szafarze pójdą, żeby potem z faszystami ich nie identyfikowały światowe media, które tylko na to czekają... Więc ten listopad to naprawdę jest niebezpieczny miesiąc dla nas i ojczyzny i kto wie, czy jeszcze nie będziemy skrycie tęsknić do jakiegoś nieco bardziej *sexy* miesiąca, czyli na przykład do 22 lipca, czego oczywiście Państwu ani sobie nie życzę...

No ale miało być o owcach. Otóż poleżały sobie w tym pięknym, niejasnym jeszcze świetle świtu, a potem wstały i stanęły pod furtką. To jedna, to druga popatrywała przez owcze ramię w stronę domu czekając, aż je ktoś wypuści. Trochę je przetrzymałem, bo lubię, gdy tak całkiem po ludzku spoglądają i są nieco zniecierpliwione opieszałym działaniem rzeczywistości. No ale w końcu je wypuściłem i poszły w dal pastwiska, a słońce wyszło zza Uherca i ogarnęło je swoim złocistym blaskiem. Poszły i znikły z pola widzenia, ale mogłem być pewien, że nie opuszczą swojego terytorium. Nigdy go nie opuszczały, chociaż granice nie były oczywiste, ot wyznaczone przez rów, zagajnik, czasem arbitralnie wykreślone ręką geodety. Ale nie, nigdy ich nie przekraczały.

Czasem wypuszczały się hen pod las, ale zawsze wracały przycupnąwszy to tu, to tam – dla odpoczynku oraz owczego namysłu. Podobnie jak granice akceptowały oddzielność i suwerenność stada sąsiada. Nigdy nie próbowały wejść z nim w bliższy kontakt. Czuły swoją odrębność, chociaż nam się wydaje, że owca to w końcu owca i kto by tam jedną od drugiej odróżnił. A one nie. Zatrzymywały się kilkadziesiąt metrów od tamtych, patrzyły jakiś czas uważnie, badawczo, znieruchomiałe, a potem zawracały. Sąsiedzkie stado podobnie. Miało przewagę liczebną, ale nigdy nie dążyło do aneksji. Nie próbowało się powiększyć kosztem mniejszego, a co za tym idzie słabszego. A przecież dla owcy stado jest wszystkim. Tak jak dla wielu z nas dajmy na to naród albo państwo. Patrzyłem w ślad za nimi i czekałem, aż znowu się pojawią. I zbudowany owczym przykładem mogłem podjąć refleksję na temat suwerenności, niepodległości i reszty tematów, które w ostatnich dniach spędzają nam sen z powiek. By się następnie z Państwem przemyśleniami podzielić. ©

TP

Kluby „TP" zapraszają

BIELSKO-BIAŁA
poniedziałek, 19 listopada, godz. 17.30
Spotkanie „Biało-czerwone ołtarze? Kościół katolicki i inne wyzwania wobec odzyskania niepodległości". Gościem będzie prof. Lech Krzyżanowski. Miejsce: Klubokawiarnia Aquarium, Galeria BWA (ul. 3 Maja 11A).

BYDGOSZCZ
czwartek, 22 listopada, godz. 18.00
Spotkanie „Czy kobiety mają głos w kościele"? Gościem będzie Zuzanna Radzik. Miejsce: Biblioteka UKW (ul. K. Szymanowskiego 3).

KOSZALIN
czwartek, 15 listopada, godz. 18.00
Spotkanie „Czy Kościół mówi językiem zrozumiałym dla wiernych"? Gościem będzie ks. bp Krzysztof Zadarko. Miejsce: Dom Parafialny, I piętro (ul. Chrobrego 7).

SŁUPSK, środa, 21 listopada, godz. 17.00
Spotkanie „Laickie państwo po chrześcijańsku urządzone". Gościem będzie ks. prof. Henryk Skorowski. Miejsce: Biblioteka Miejska.

ZIELONA GÓRA
środa, 14 listopada, godz. 18.00
Spotkanie „Dzieci księży. Nasza wspólna tajemnica". Gościem będzie Marta Abramowicz. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).
wtorek, 20 listopada, godz. 18.00
Spotkanie „Auschwitz – dlaczego zbrodnia zmusza do dialogu"? Gościem będzie ks. Manfred Deselaers. Miejsce: Piekarnia Cichej Kobiety (ul. Fabryczna 13).

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Sformowane u boku państw Ententy (sądząc po mundurach, zapewne we Włoszech) czeskie oddziały przybywają do Pragi. Rok 1918 lub 1919.

U STÓP ŚWIĘTEGO WACŁAWA

Esencją historycznych przemian, które sto lat temu zmieniły Europę Środkową, były trzy wydarzenia: ograniczenia narzucone Niemcom, odrodzenie Polski i powstanie Czechosłowacji.

ANDRZEJ KRAWCZYK

Utworzenie Polski i Czechosłowacji – choć w efekcie tu i tam powstało państwo – tylko pozornie było podobne. Państwo polskie zrastało się z trzech zaborów, a zniszczenia i porwana infrastruktura cywilizacyjna – skutek I wojny światowej i wojny z bolszewikami – były zwieńczeniem długiej listy problemów.

W przypadku Czechów (Słowacy dołączyli potem) mechanizm był inny: polegał na wydzieleniu się nowego organizmu z jednego państwa, w którym naród czeski żył przez co najmniej 400 ostatnich lat. Państwo budowano więc w ramach tego samego systemu prawnego, a organizacja administracji nie była problemem, bo w jakiejś mierze była ona „własna" i starczyło zmienić szyldy. Kraj nie był zniszczony. Za to wielkim problemem, tak jak w Polsce, był głód.

W niemieckim otoczeniu

Naprzeciw narodu czeskiego był też jeden tylko oponent: Austria. A potem liczna mniejszość, orientująca się bardziej na Niemcy niż na nową republikę austriacką.

Rozwijający się w ostatnich dekadach XIX w. konflikt narodowy w Czechach zmierzał bowiem nieuchronnie ku konfrontacji: czy Czechy (niem. Böhmen) będą czeskie, czy też niemieckie? Czeski

UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE / GETTY IMAGES

nacjonalizm był młodszy, musiał dopiero wywalczyć pozycję społeczną, jaką tutejsi Niemcy mieli już ugruntowaną. Stąd nieraz większa ofensywność czeskiego nacjonalizmu, z trzech stron otoczonego niemieckim obszarem językowym.

Wprawdzie w całych Czechach większość ludności stanowili Czesi, ale w północnej, zachodniej i południowej części nowego państwa żyli liczni Niemcy: w zwartej masie, od wieków, jako świadome swej odrębności społeczności, z bogatą infrastrukturą instytucji kulturalnych, edukacyjnych i gospodarczych.

W Czechach i na Morawach Niemców było łącznie 2,5 mln – więcej niż Słowaków, którzy przed 1918 r. zamieszkiwali Górne Węgry (północną część Królestwa Węgier). Konfrontowani z tą liczbą czescy politycy, historycy i myśliciele argumentowali, że bardziej usprawiedliwione będzie, aby 2,5 mln Niemców było mniejszością w Czechach, niż aby 7 mln Czechów było mniejszością w środku niemieckiego obszaru. Odwrotna sytuacja oznaczałaby – obawiali się – koniec narodu czeskiego, jego języka i kultury.

Wojna, czyli szansa

Gdy w 1914 r. wybuchła wojna światowa, czeskie społeczeństwo dystansowało się od państwa austriackiego i jego wojennych celów. Ale nie stawiało oporu. Mobilizacja do wojska przebiegła normalnie, a gospodarka czeska przestawiła się na wojenne tory.

Dość szybko jednak w monarchii zaczęło szerzyć się przekonanie, że czescy żołnierze nie chcą walczyć i chętnie poddają się Rosjanom lub dezerterują. Dyskusja o ówczesnych postawach czeskich żołnierzy miała ciągnąć się potem długo. Dziś historycy skłaniają się do tezy, że większość Czechów lojalnie spełniła obowiązek wobec monarchii, a przypadki dezercji celowo wyolbrzymiano (eksponowanie ich było zarówno w interesie czeskich Niemców, jak też czeskich polityków stawiających na zwycięstwo Ententy – choć z różnych powodów).

W każdym razie wiele czeskich środowisk politycznych uważało, że wojna to szansa na wywalczenie większej autonomii dla Czechów w Austrii. Doszło też do wymiany elit politycznych, pojawili się nowi przywódcy. Na plan pierwszy wysunął się 64-letni już z chwilą wybuchu wojny profesor socjologii z uniwersytetu praskiego.

Odwaga Masaryka

W świecie znany był dotąd z pierwszego opracowania problemu samobójstw (był to temat jego habilitacji z 1879 r.; do dziś książka należy do klasyki literatury socjologicznej) oraz z wykładów w Chicago. Natomiast w Czechach Tomáš Masaryk – bo o nim mowa – zasłynął swoim wystąpieniem podczas tzw. „Sporu o Rękopisy".

Wydarzenie to uważane jest za jeden z głównych momentów kształtowania się czeskiej świadomości narodowej. Zaczęło się w 1817 r., gdy Václav Hanka (poeta, językoznawca i pedagog) ogłosił, że odkrył dwa rękopisy: jeden z XIII wieku, a drugi jeszcze starszy, bo aż z wieku IX. Miały w nowym świetle pokazywać chlubne karty czeskiej historii i przewagi Czechów nad Niemcami. Opublikowane szybko drukiem, zostały uznane za przewrót w historiografii i dodały moralnej siły czeskim patriotom. Na ich podstawie pisano wiersze, sztuki teatralne i libretta; powstawały obrazy.

Ale z czasem wśród historyków pojawiły się podejrzenia. Nie zgadzały się daty, niektóre fakty okazały się nieprawdziwe. Czescy patrioci stanęli murem za „Rękopisami", uznając tych, którzy wątpili w ich prawdziwość, za nikczemników i zdrajców. Dziś wiemy, że „Rękopisy" stworzył Hanka (wspólnie z pisarzem Josefem Lindą). Ale trzeba było wielkiej odwagi cywilnej ze strony Masaryka, by w 1886 r. wystąpić publicznie ze stwierdzeniem, że jest to oszustwo i psychiczna „podpórka", której naród czeski nie potrzebuje.

„Mafia" wkracza na scenę

Po wybuchu wojny Masaryk, wcześniej pozostający na marginesie polityki, zorganizował – z pomocą 30-letniego Edvarda Beneša, wtedy docenta socjologii – konspiracyjną siatkę polityków o poglądach antyaustriackich, którzy ponadto odrzucali monarchię jako formę rządów (gdy większość głównych państw Europy – poza Francją – była wtedy jeszcze monarchiami).

Działając konspiracyjnie, nazwali się Mafią i pod tą nazwa przeszli do historii. Nawiązali kontakt z politykami Europy Zachodniej (Ententy), co z formalnego punktu widzenia było zdradą swojego państwa – tym bardziej że od 1907 r. Masaryk był parlamentarzystą w Wiedniu.

W czerwcu 1915 r. Masaryk wyjechał do Szwajcarii – jako austriacki poseł miał paszport dyplomatyczny, dzięki któremu mógł w latach 1914-15 podróżować za granicę, mimo wojny. Już na emigracji sformułował program dla czeskiego ruchu narodowego z głównym punktem: stworzenia niezależnego państwa czeskiego, po klęsce Austro-Węgier.

Idea czesko-słowacka

Na razie w jego myśleniu nie była obecna kwestia słowacka. Pojawiła się dopiero na przełomie lat 1916/17.

Idea połączenia się ze Słowakami stała się dla Czechów szansą na przerwanie niemieckiego „okrążenia" etnicznego i uzyskanie granic z innymi państwami niż tylko z Niemcami i Austrią. Podobną rolę – jako szansa na przetrwanie narodu, zagrożonego agresywną madziaryzacją – idea ta pełniła dla Słowaków.

Obie strony uważały też, że stworzenie jednego państwa da Słowakom szansę na modernizację. Oraz że wspólne państwo będzie dwukrotnie większe niż Czechy i Słowacja z osobna. Pamiętać trzeba, że nigdy wcześniej Czesi i Słowacy nie żyli w jednym państwie (w Austro-Węgrzech obie części monarchii były formalnie dwoma państwami).

Odtąd czeska emigracja zaczęła nazywać samą siebie „Czechosłowakami". W 1916 r. z inicjatywy Masaryka powołano w Paryżu Czechosłowacką Radę Narodową, którą kierował Edvard Beneš. Wykonała ona gigantyczną pracę organizacyjno-informacyjną, pozyskując Ententę dla swej sprawy.

Zaoczny sojusznik

Czesko-słowackie nadzieje ożywiły się wiosną 1917 r., gdy pojawiła się możliwość tworzenia wojska czechosłowackiego we Francji, Włoszech i Rosji – spośród jeńców (wziętych do niewoli na frontach wschodnim i włoskim), a także z emigrantów z USA, które wtedy włączyły się do wojny.

Masaryk był wyjątkowo pracowity. W marcu 1917 r. pojechał do Rosji – było to już po abdykacji cara i utworzeniu republiki, która kontynuowała sojusz z Ententą (na swą zgubę, jak się wkrótce okazało) – by zabiegać o utworzenie wojska z czeskich jeńców. Wkrótce w Rosji powstał 50-tysięczny Korpus Czechosłowacki [patrz „TP" 34/2018 – red.]. Potem, wiosną 1918 r., pojechał do USA; było to już po ogłoszeniu przez prezydenta USA celów wojennych, „14 punktów Wilsona".

Sprawy uległy przyśpieszeniu. Masaryk z Benešem wynegocjowali uznanie ↦

↦ przez Ententę oddziałów czechosłowackich w Rosji, Francji i Włoszech za armię sojuszniczą. Miało to wielkie znaczenie polityczne: choć państwo jeszcze nie istniało, fakt ten pieczętował, poniekąd zaocznie, że będzie ono sojusznikiem Ententy i może liczyć na jej wsparcie w spodziewanych konfliktach.

Uzupełnieniem dla działalności emigracji stało się powołanie w Pradze 13 lipca 1918 r. Narodowego Komitetu Czechosłowackiego. Nie był wybrany, ale podstawą nominacji jego członków były mandaty poselskie z czasów austriackich, uzyskane w 1911 r. Jego zadaniem było przygotowanie przejęcia władzy i tymczasowej konstytucji.

Komitet działał jawnie, władze austriackie go tolerowały – w tym czasie cesarz Karol I rozważał przekształcenie Austrii w federację państw narodowych. Na początku października delegacja Komitetu pojechała spotkać się w neutralnej Szwajcarii z Benešem. Wyjazd był jawny, pisała o nim prasa.

Czeski październik 1918

A potem wypadki nabrały tempa. 5 października Niemcy i Austro-Węgry poprosiły o zawieszenie broni, co było wstępem do kapitulacji. 17 października przebywający w Waszyngtonie Masaryk przekazał Wilsonowi (mieli dobry osobisty kontakt) „Deklarację niezawisłości narodu czeskiego". 16 października Karol I wydał manifest zapowiadający przekształcenie Austrii w federację państw, czym zachęcił swe „wierne ludy" (jak nazywał je w proklamacji) do brania spraw we własne ręce.

Na 22 października cesarz zaprosił do Wiednia przedstawiciela praskiego Komitetu, by omówić przekazanie władzy bez niepokojów społecznych. Dowództwo garnizonu w Pradze oświadczyło, że nie będzie przeszkadzało wydarzeniom politycznym, a wojsko będzie jedynie starało się utrzymać porządek publiczny.

Gdy 27 października po południu do Pragi dotarła wieść, że austriacki minister spraw zagranicznych wysłał do Waszyngtonu notę o gotowości do rozmów pokojowych, potraktowano to jako kapitulację Austro-Węgier. 28 października od rana zaczęły się w mieście wiece: ich uczestnicy wyrażali radość z rychłego powstania własnego państwa, zdejmowano austriackie tablice. W ciągu dnia demonstracje rozlały się na całe Czechy. Wszystko odbywało się bez incydentów. Tylko garnizon w Litomierzycach próbował stawić opór, ale szybko skapitulował.

> 28 października 1918 r. rankiem dwóch czeskich polityków pojechało do Instytutu Zbożowego. Zażądali zaprzestania wysyłki zboża na front. Z przymrużeniem oka można uznać to za **pierwszy akt działania nowego państwa.**

Już wcześniej, rankiem 28 października, dwóch członków Komitetu pojechało do Instytutu Zbożowego w Pradze (ta wojenna instytucja, zajmująca się zbiorem i dystrybucją zboża w państwie, była urzędem o strategicznym znaczeniu). Zażądali zaprzestania wysyłki zboża na front, a od dyrekcji przysięgi na wierność Czechosłowacji. Z przymrużeniem oka można uznać ten epizod za pierwszy akt działania nowego państwa.

Gdy pół godziny później do Pragi przyszła depesza, że Austro-Węgry przyjmują przedstawione im warunki pokojowe, centrum Pragi stało się jedną wielką manifestację. W jej trakcie, około jedenastej, przemawiający ks. Teodor Zahradnik (jeden z tzw. politycznych księży) ogłosił powstanie Czechosłowacji. Dość przypadkowo, po prostu w pewnym momencie powiedział: „Jesteśmy wolni. Tu, u stóp pomnika czeskiego księcia św. Wacława przysięgamy, że chcemy być tej wolności godni i będziemy jej bronić także ofiarą swojego życia". Wiwatujący tłum odprowadził duchowego na Dworzec Franciszka Józefa (Główny), skąd zaczęto rozsyłać telegramy do wszystkich stolic z notyfikacją powstania Czechosłowacji.

Pierwsze dni państwa

Tego samego 28 października pięciu członków Narodowego Komitetu Czechosłowackiego napisało – z własnej inicjatywy – proklamację powstania Czechosłowacji. Na wieczornym posiedzeniu Komitetu przedstawili ją oraz dokument, który nazwali „Ustawą o utworzeniu niezależnego państwa czechosłowackiego". Tych pięciu polityków miało później status ojców założycieli (w języku czeskim utworzono dla nich specjalny termin: „Ludzie 28 Października").

O tym, że wydarzenia z 28 października odbywały się w dużej mierze spontanicznie, świadczy też fakt, że wieczorem tego dnia (a więc już po wszystkim) do Pragi przyszła z Paryża depesza od Beneša z żądaniem, aby – z uwagi na sytuację międzynarodową – zorganizować demonstrację i akt proklamowania Czechosłowacji.

Następnego dnia, rankiem 29 października, delegacja Komitetu pojechała na rozmowy z austriackim gubernatorem Pragi w sprawie przekazania władz. Ten był już spakowany; po zakończeniu rozmów z ulgą wyjechał do Wiednia. W ciągu dwóch dni Czesi przejęli władzę w większości ziem czeskich.

Sytuację skomplikowało powołanie na północy kraju, w Libercu, quasi-państwa Niemców Sudeckich: ogłosili, że będą częścią planowanej republiki pod nazwą Niemiecka Austria (to państwo powstało 12 listopada, dzień po abdykacji cesarza) i zaczęli tworzyć administrację (a właściwie przemianowywać dotychczasową). Rząd w Pradze starał się jak najszybciej ściągać do kraju wojsko – „czeskie" pułki z frontów, a także czeskie jednostki sformowane w krajach Ententy. W połowie grudnia zajęły Liberec i spacyfikowały Niemców.

Atak na Śląsk

Na początku 1919 r. doszło też do konfliktu między Czechosłowacją i Polską – o Śląsk Cieszyński. Był to teren zamieszkany przez 450 tys. ludzi, ważny ze względu na kopalnie węgla (i linię kolejową łączącą Czechy ze Słowacją). Praga argumentowała, że Śląsk był historycznie czeski. Według czeskich danych ze spisu z 1910 r. – 54 proc. ludności Śląska Cieszyńskiego stanowili Polacy (26 proc. Czesi, 18 proc. Niemcy, 2 proc. Żydzi). Polacy uważali te dane za zaniżające liczbę Polaków. Z kolei Czesi uważali te dane za niezbyt istotne, gdyż – argumentowali – dużą grupę Polaków mieli tworzyć emigranci z Galicji i ich potomkowie.

Od początku XX w. animozje narodowe narastały. Z chwilą końca wojny światowej delegaci polscy zebrani w Cieszynie już 12 października 1918 r. ogłosili przynależność regionu do Polski. Powstały dwa tygodnie później czeski Komitet ogłosił 1 listopada przyłączenie Śląska Cieszyńskiego do Czech. Sytuacja była napięta. Rząd polski poświęcał Śląskowi Cieszyń-

FRANTIŠEK KRATKY / ALAMY STOCK PHOTO / BEW

28 października 1918 r. fala demonstracji rozlała się z Pragi na całe Czechy. Przejmowaniu władzy towarzyszyło usuwanie symboli rządów austriackich. Na zdjęciu: zamalowywanie orła – godła austriackiego – na skrzynce pocztowej w mieście Kolín w środkowych Czechach.

skiemu mniej uwagi niż czechosłowacki i zabrał z tego terenu pod Lwów prawie wszystkie sformowane tu oddziały. Zostało tylko parę jednostek zapasowych. Natomiast Czesi zgromadzili kilka pułków legionistów wracających z Francji i Włoch.

Argumentując później, że była to reakcja na polskie plany przeprowadzenia na spornym terenie wyborów do Sejmu, 23 stycznia 1919 r. Czesi zaatakowali z zaskoczenia. Mieli 16 tys. żołnierzy, podczas gdy siły polskie liczyły tylko 1500 żołnierzy oraz 2-3 tys. uzbrojonych miejscowych ochotników w oddziałach samoobrony, głównie górników i harcerzy.

Krótka, ale okrutna

Uważając, że Polacy nie stawią oporu, Czesi zapewnili sobie obecność oficerów Ententy (brytyjskich, włoskich i amerykańskiego). Pomylili się. Wprawdzie Cieszyn zajęli bez walki 27 stycznia, ale walkę podjęła polska samoobrona. Gdy zaś wojsko czeskie zaczęło marsz na Skoczów, natrafiło na opór polskiej armii, która otrzymała posiłki i obroniła miasto. Pod naciskiem Ententy działania wojenne zakończono nocą z 30 na 31 stycznia. W walkach zginęło ok. 50 żołnierzy czeskich i 92 polskich oraz trudna do ustalenia liczba członków samoobrony.

Była to wojna krótka, ale okrutna: Czesi zachowywali się brutalnie. Dla Polaków szczególnie bolesna była zbrodnia wojenna z 26 stycznia, gdy żołnierze czeskiego 21. Pułku (przywiezieni prosto z Francji, byli austriaccy jeńcy) zamordowali 20 polskich jeńców z 12. Pułku z Wadowic. W ręce Czechów wpadł m.in. syn generała Józefa Hallera (dowódcy Armii Polskiej we Francji), któremu czescy żołnierze wydłubali oczy. Rozstrzeliwali też jeńców spośród polskich ochotników (strona czeska przyznaje się do 13 takich przypadków, tłumacząc, że byli to „nieoznakowani cywile z bronią", którzy „strzelali czeskim żołnierzom w plecy").

Ostatecznie 31 lipca 1920 r., gdy bolszewicy podchodzili pod Warszawę, rząd Polski uznał, że – w imię dobrych stosunków z Ententą, na której pomoc liczono – musi przyjąć propozycję podziału spornego terytorium według koncepcji Konferencji Ambasadorów, choć uznawał ją za dyktat powstały pod czeskim wpływem. W istocie, przyznała ona Czechosłowacji 55 proc. terytorium Śląska Cieszyńskiego (z większością przemysłu) i 70 proc. mieszkańców. Wedle czeskich danych mieszkało w tej części 49 proc. Polaków i 39 proc. Czechów; Polacy uważali te dane za zaniżające liczbę Polaków.

Konflikt o Śląsk Cieszyński (inaczej o Zaolzie) miał poważne skutki polityczne i psychologiczne po obu stronach [patrz „TP" 39/2018 – red.]. Przez całe dwudziestolecie międzywojenne Polacy mieli poczucie niesprawiedliwości. Niewątpliwie miało to kluczowy wpływ na polską politykę w 1938 r., gdy po konferencji w Monachium Polska zajęła ten teren – raptem na kilka miesięcy...

Dołączanie Słowacji

Zanim jeszcze doszło do wojny z Polską, 13 listopada Narodowy Komitet Czechosłowacki przyjął Tymczasową Konstytucję, opracowaną w ciągu trzech tygodni. Następnego dnia powołano pierwszy rząd Czechosłowacji – zakładając, że ziemie słowackie będą częścią wspólnego państwa.

Były po temu podstawy: już 30 października, na wieść o wydarzeniach w Pradze, w słowackim Turczańskim Svatým Martinie ok. 200 przedstawicieli słowackiego życia publicznego przyjęło deklarację o prawie słowackiego narodu do samostanowienia, o zerwaniu więzi z Węgrami oraz o woli przystąpienia do wspólnego państwa z Czechami.

Jednak praktyczna realizacja tej woli okazała się trudna, bo też sytuacja na Słowacji była trudniejsza niż w Czechach. Węgrzy nie zamierzali rezygnować z ziem, które przez tysiąc lat należały do ich królestwa. Węgierska administracja działała tam normalnie, a żandarmeria starała się nie dopuszczać do demonstracji proczechosłowackich.

Pierwsza próba wejścia czechosłowackich (w gruncie rzeczy czeskich) oddziałów na Słowację, na początku listopada, została przez Węgrów odparta. Nową ofensywę, wspieraną przez ściągane do kraju czeskie wojska, rozpoczęto 5 grudnia 1918 r. Stopniowo, do 20 stycznia 1919 r., opanowano cały kraj. Do Bratysławy oddziały weszły 1 i 2 stycznia.

Nie był to jeszcze koniec walk o Słowację. Komunistyczna Węgierska Republika Rad – istniejąca od marca do sierpnia 1919 r. – próbowała uzyskać lądowe połączenie z bolszewicką Rosją, na której wsparcie liczyła. Dlatego w kwietniu zaatakowała i opanowała wschodnią Słowację. Komuniści zostali pokonani dopiero w sierpniu 1919 r. Wojska czechosłowackie zajęły też Zakarpacie – region zamieszkany w większości przez ludność ukraińską.

Międzywojenna Czechosłowacja zaczęła swoją historię, która miała trwać tylko przez 20 lat. O pół roku krócej niż historia Drugiej Rzeczypospolitej.

© ANDRZEJ KRAWCZYK

JAK POKONAĆ ODRĘ

Nie jest chorobą niewinną ani łagodną, grozi poważnymi powikłaniami i śmiercią. Wraca z hukiem, ale nadal możemy się jej pozbyć na zawsze. Dzięki szczepionkom.

BARTOSZ KABAŁA

W powiecie pruszkowskim 17 przypadków, w warszawskim jeden. Na Pomorzu łącznie pięć osób, w tym pięciolatek w gdańskim przedszkolu, a także licealista we Włodawie w województwie lubelskim. Według meldunków epidemiologicznych Narodowego Instytutu Zdrowia Publicznego – Państwowego Zakładu Higieny od początku stycznia do końca października 2018 r. zanotowano 144 przypadki odry w całym kraju. W tym samym okresie w roku ubiegłym niecałe 60. Odra powraca do Polski, najczęściej zawleczona z innych krajów Europy, gdzie sytuacja wygląda jeszcze gorzej. Na Ukrainie zachorowało 32 tys. osób, we Francji 3 tys., we Włoszech i Grecji ponad 2 tys. Problem zauważają państwowe i europejskie instytucje przestrzegające przed epidemią. Jednocześnie społeczeństwa krajów Europy coraz częściej odrzucają szczepienia, a organizacje antyszczepionkowe bagatelizują obecną zachorowalność na odrę, jak i samą chorobę, którą określają jako „zwykłą" i „łagodną".

Lekcja historii

Wystarczy sięgnąć do tekstów sprzed ery szczepionek, by przekonać się, że taki pogląd nie jest nowy. Lwowski lekarz, profesor Wacław Jasiński, jeden z pionierów polskiej wakcynologii, organizator szczepień przeciw gruźlicy i błonicy, w wydanej w 1933 r. broszurze „Walka z odrą jako zagadnienie społeczno-lekarskie" pisał: „Ogół ludności uważa ją [odrę] raczej za chorobę niewinną, którą każde dziecko przejść musi, a zatem wszelkie środki zapobiegania uważa za zbędne i bezcelowe. (...) Jednocześnie zaś dane statystyczne wskazują, że na odrę umiera bardzo dużo dzieci". Dalej Jasiński przytacza dane: w latach 1901-11 z powodu odry w Europie zmarło około miliona dzieci, w samym Wiedniu odra zabijała więcej osób niż błonica, krztusiec i płonica (szkarlatyna) łącznie. Według danych na rok 1930 w Polsce zarejestrowano prawie 60 tys. przypadków i blisko 6 tys. zgonów, choć jak podkreśla w tekście Jasiński, dane te nie są pełne.

To, że w dawnych czasach odra uważana była – zresztą, jak widać, błędnie – za chorobę niegroźną, nie może być usprawiedliwieniem dla lekceważenia problemu w XXI w.

Według współczesnych podręczników naukowych odra jest ostrą chorobą zakaźną wieku dziecięcego, wywołaną przez bardzo zaraźliwego wirusa. Chore dziecko jest w stanie zarazić aż 95 proc. osób, z którymi się zetknie w okresie największej zakaźności, czyli kilka dni przed i kilka dni po pojawieniu się charakterystycznej wysypki. Wirus odry to niewielka, kulista cząstka materii przedostająca się z człowieka na człowieka drogą kropelkową. Gdy tylko znajdzie się w układzie oddechowym, łączy się za pomocą specjalnego białka H (hemaglutyniny) z komórkami, które wyściełają tchawicę i oskrzela. Następnie dzięki kolejnemu białku (białko F) obecnemu na jego powierzchni wirus dokonuje fuzji z – do tej pory zdrową – komórką. Do środka wnika materiał genetyczny, który przejmuje kontrolę nad całą molekularną maszynerią, zmuszając ludzką komórkę do namnażania wirusa. Patogeny wnikają w głąb organizmu, atakując kolejne komórki. Dochodzi do wiremii, czyli obecności wirusa w krwiobiegu, dzięki czemu może on dostać się do wszystkich zakątków organizmu – płuc, skóry czy mózgu.

Po około 14 dniach od wniknięcia wirusa pojawiają się objawy, kończy się faza inkubacji, a zaczyna tzw. faza prodromalna. Wówczas obserwuje się charakterystyczne tylko dla odry tzw. plamki Koplika-Fiłatowa. Są to drobne białe zmiany z czerwoną obwódką, obecne na wewnętrznej powierzchni policzka. Kilka dni później pojawia się wysypka, po której następuje okres zdrowienia.

Powikłania

„Odrę uważać należy za poważną chorobę wieku dziecięcego gdyż (...) upośledza ogólną odporność ustroju, a więc wpływa pośrednio na większą zapadalność i umieralność dzieci" – pisał we wspomnianej pracy profesor Jasiński. Wówczas ten spadek odporności najczęściej związany był z gruźlicą, która na początku XX w. wciąż stanowiła śmiertelne zagrożenie, co potwierdza dr Drehl w informacyjnej broszurce „Choroby dziecięce, a mianowicie odra, żarnice, szkarlatyna i błonica, koklusz itp." z 1907 r.: „Niesłusznie uważają niektórzy odrę za coś zupełnie niewinnego, nic niebezpiecznego; przekonano się bowiem, że dzieci, skłonne do zołz (skrofuł) i gruźlicy (tuberkulozy) – wskutek zaniedbania lub nierozumnego leczenia odry – straciły oko lub zapadły na suchoty, że u innych zaś nastąpiła głuchota".

Powszechnie uważa się, że po raz pierwszy taką korelację opisał i udokumentował austriacki lekarz Clemens von Pirquet w 1908 r. W sanatorium dla gruźlików, w którym pracował, pojawiło się wśród pacjentów ognisko odry. Wówczas u pięcioletniego chłopca zauważył znacznie osłabioną odpowiedź immunologiczną w skórnym teście tuberkulinowym, który polega na wstrzyknięciu w skórę białka uzyskiwanego w hodowli prątków gruźlicy. Po podaniu wywołuje ono odpowiedź obronną. Na skórze powstaje rumień, którego wielkość odpowiada nasileniu reakcji. Niewielki rumień oznacza, że pacjent albo nigdy nie zetknął się z gruźlicą (co w takim sanatorium było wykluczone), albo jego układ odpornościowy zawodził.

Obniżenie odporności, a właściwie immunosupresyjne działanie wirusa odry, jest widoczne także dziś, choć nie objawia się już zachorowaniami na gruźlicę, którą w Europie udało się dzięki szczepionkom opanować. Jednym z najpowszechniejszych powikłań odry są współcześnie ciężkie biegunki, zapalenie ucha środkowego i zapalenie płuc, często bakteryjne, o wysokiej śmiertelności. To osłabienie, obserwowane w okresie choroby i kilka tygodni później, spowodowane jest m.in. skłonnością wirusa do atakowania komórek odpornościowych i namnażania się w nich.

Sam wirus odry, bez pomocy bakteryjnych patogenów, również jest w stanie poważnie zagrozić zdrowiu i życiu. Wraz z krwią, w okresie wiremii, dociera do mózgu, co u około 1 na 1000 pacjentów skutkuje zapaleniem mózgu – niebezpiecznym ze względu na wysoką śmiertelność (15 proc.) i wysokie ryzyko trwałych następstw neurologicznych (25 proc.). Jeszcze rzadsze, ale także groźniejsze jest podostre stwardniające zapalenie mózgu, występujące w 1 na 100 tys. przypadków odry. Pierwsze objawy sugerujące udar lub psychozę zauważalne są dopiero po kilku latach od zachorowania. Postępujący charakter prowadzi nieuchronnie do zgonu.

Surowica ozdrowieńców

W 1916 r. francuski lekarz i bakteriolog Charles Nicolle razem ze współpracownikiem Ernestem Conseilem zauważyli, że surowica krwi pobranej od pacjentów, którzy przechorowali odrę, pozwala zapobiec rozwojowi choroby lub łagodzić jej przebieg. Wystarczyło, by lekarz podał ją odpowiednio wcześnie. Jak pisał Jasiński w 1933 r.: „Zastrzyknięcie surowicy ozdrowieńców zabezpiecza dziecko ↦

JIM VARNEY / SCIENCE PHOTO LIBRARY / EAST NEWS

↦ od zachorowania na odrę, lecz tylko na pewien okres czasu". Już wówczas mechanizm działania surowicy był dość jasny. Każdy organizm, który posiada sprawny układ odpornościowy, po kontakcie z patogenem, w tym wypadku, jak pisano: „zarazkiem odrowym", produkuje duże ilości przeciwciał. Wczesne podanie zarażonemu pacjentowi tych specyficznych wobec wirusa białek pozwoli uchronić go przed objawami i rozwojem powikłań, ale tylko jednorazowo.

Sztuczna immunizacja nie daje odporności na całe życie, takiej, jaką zapewnia szczepionka (lub przechorowanie), choć już wówczas podejmowano próby, by ją wytworzyć. Stosowano wydzieliny błon śluzowych i krew chorych na odrę, które wstrzykiwano i wcierano np. w błonę śluzową nosa. Krew taką podawano w dużych dawkach po ogrzaniu lub dodaniu środka odkażającego, aby osłabić nieznany jeszcze zarazek.

Era szczepionek

Metoda ta nie była jednak jeszcze wystarczająco sprawdzona i powszechna. Znacznie częściej stosowano surowicę i domowe, objawowe metody leczenia. Taki stan trwał przez długie lata II wojny światowej i w trudnym okresie powojennym, aż do roku 1954, gdy wirus odry został po raz pierwszy wyizolowany. Cierpiący na wodogłowie chłopiec, David Edmonston, stał się dawcą komórek na potrzeby laboratoryjne. Operacja neurochirurgiczna, której został poddany, zakładała połączenie przestrzeni podpajęczynówkowej z moczowodem, tak aby nadmiar płynu mózgowo-rdzeniowego mógł swobodnie odpływać. Wymagało to usunięcia jednej z nerek i to właśnie z jej komórek Thomas C. Peebles pod okiem swojego szefa Johna Franklina Endersa wyizolował wirusa odry. Enders, który tego samego roku zdobył Nagrodę Nobla za pracę nad innym niezwykle groźnym wirusem – polio, rozpoczął tworzenie szczepionki przeciwko odrze.

Na przełomie lat 50. i 60. podejmowano wiele prób, jednak szczepionka wciąż powodowała zbyt wiele skutków ubocznych, w postaci krótkotrwałych i łagodnych objawów odry, co sugerowało, że wirus nie był wystarczająco osłabiony. Z kolei szczepionka z zabitymi wirusami nie dawała skutków ubocznych, ale była także nieefektywna – pacjenci nie nabywali odporności. Konieczne było znalezienie złotego środka. Pierwszy sukces przyszedł dopiero dziewięć lat po odkryciu wirusa, w 1963 r. Ze szczepu Edmonston-B Enders stworzył pierwszą żywą i odpowiednio atenuowaną, czyli osłabioną szczepionkę przeciwko odrze, którą w ciągu kolejnych 12 lat podano w liczbie 19 milionów dawek.

> Szacuje się, że szczepionka doktora Hillemana, twórcy siedmiu innych powszechnie używanych szczepionek, **ratowała milion istnień rocznie.**

Aby mieć pewność, że szczepionka Endersa nie spowoduje skutków ubocznych, podawano razem z nią przeciwciała odry, na wzór surowic ozdrowieńców sprzed II wojny światowej. Nowa technologia wytwarzania szczepionki, autorstwa Maurice'a Hillemana, pozwoliła zrezygnować z dodatkowych zabezpieczeń przed łagodnymi objawami po szczepieniu. Szacuje się, że szczepionka doktora Hillemana, twórcy siedmiu innych powszechnie używanych wówczas szczepionek, ratowała milion istnień rocznie. Także grupa Hillemana w 1971 r. stworzyła stosowaną do dziś szczepionkę MMR, która zawiera atenuowane wirusy odry, świnki oraz różyczki. Trójskładnikowa szczepionka okazała się bardziej efektywna i znacznie mniej bolesna dla dzieci niż trzy oddzielne szczepionki.

Szczepienia znacznie zredukowały zachorowalność na odrę. W USA dekadę przed stworzeniem pierwszej szczepionki notowano około 500 tys. przypadków rocznie, a już w 1968 r. jedynie 22 tys. W Polsce szczepionkę wprowadzono w 1975 r., co spowodowało spadek zapadalności z 380–400 przypadków na 100 tys. osób do 0,1-0,5 na 100 tys. Od roku 1977 liczba przypadków nigdy nie była wyższa niż 100 rocznie, a od 2000 r. tylko pięciokrotnie przekroczyła sto. Najgorszy był rok 2016, gdy zanotowano 133 przypadki odry. Tegoroczny wynik zapowiada się jako rekord ostatnich 18 lat. Względne bezpieczeństwo i odległość w czasie od ostatniej ofiary odry (w 1998 r. zmarł w Polsce jeden pacjent) uspokajają ludzi i sprzyjają odmowom szczepień.

Afera Wakefielda

Sprzyja temu także głośne podważanie bezpieczeństwa szczepionki MMR i próby łączenia szczepień z autyzmem oraz wieloma innymi schorzeniami. Choć ruchy antyszczepionkowe towarzyszą szczepionkom od samego początku, największy wzrost ich popularności przypada na koniec lat 90. XX w. To wtedy brytyjski gastroenterolog Andrew Wakefield opublikował pracę, w której wraz z zespołem poddał obserwacji 12 dzieci. Rodzice u swoich podopiecznych zaobserwowali zmiany zachowania, które sami powiązali z niedawnym podaniem szczepionki MMR. U wszystkich zdiagnozowano choroby zapalne jelit, a u dziewiątki autyzm. Wakefield po publikacji i nagłośnieniu tej pracy wystąpił na konferencji prasowej i wzywał do zaprzestania szczepienia do momentu przeprowadzenia większej ilości analiz. Namawiał jednak do używania pojedynczej szczepionki przeciw odrze. Wtedy także stał się jednym z najważniejszych autorytetów ruchów antyszczepionkowych.

Ostatecznie taki związek został zanegowany. Powstały tysiące badań, wiele metaanaliz, które nie znajdują żadnej korelacji.

Już po roku 2000 dziennikarz „The Sunday Times" Brian Deer zaczął ujawniać, że wyniki pracy Wakefielda zostały zmanipulowane, o czym poinformował jeden z laborantów. Deer dowodził, że Wakefield otrzymywał pieniądze od prawników przygotowujących pozew przeciwko producentowi szczepionki MMR, rekrutował pacjentów do badania poprzez organizacje antyszczepionkowe oraz nie zadeklarował, iż stara się o patent na pojedynczą szczepionkę przeciwko odrze, co niewątpliwie stanowi konflikt interesów. Ostatecznie czasopismo „Lancet" wycofało publikację, a General Medical Council uznało Wakefielda winnym poważnych wykroczeń zawodowych i skreśliło go z rejestru lekarzy, skazując na zasłużoną infamię.

Cel ostateczny

Szczepionki padły ofiarą własnego sukcesu. Rezygnacja ze szczepień i ogólna dezinformacja na ich temat są możliwe dzięki temu, że przypadków i zgonów nie liczymy już w tysiącach ani nawet w setkach. Skoro nie widać chorób zakaźnych,

po co się szczepić? Jednak istotą szczepień profilaktycznych przeciwko odrze nie jest sam akt szczepienia, ani nawet wysoka statystyczna wyszczepialność. Dąży się przecież do całkowitego zlikwidowania zagrożenia, do eradykacji wirusa. Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) zakłada zwalczenie odry w pięciu regionach świata do 2020 r. i jak na razie nie ogłasza planowanej daty eradykacji, co oczywiście jest celem ostatecznym.

Ospa prawdziwa, zwana też czarną ospą, to inna wirusowa choroba zakaźna, która zabijała setki tysięcy osób rocznie na całym świecie. W XX w. kosztowała życie nawet do 500 mln ludzi, a jeszcze w 1967 r. notowano 15 mln przypadków zachorowań na świecie. Przed stworzeniem szczepionki w XVIII w. sytuacja była znacznie gorsza. Angielski lekarz Edward Jenner w maju 1796 r. podał po raz pierwszy w historii szczepionkę zawierającą wirusa ospy krowianki (niegroźną dla człowieka, ale nadającą odporność na ospę prawdziwą) i tym samym zapoczątkował proces, który doprowadził do ogłoszenia przez WHO w 1980 r. eradykacji wirusa ospy prawdziwej. Ostatnie dwa przypadki, z czego jeden śmiertelny, miały miejsce dwa lata wcześniej. Dziś nikt już nie musi się szczepić przeciwko temu wirusowi.

Odra może w przyszłości podzielić los ospy prawdziwej. Wirus odry spełnia wszystkie warunki, aby WHO mogło starać się o jego eliminację. Przede wszystkim jedynym rezerwuarem jest człowiek. Wirus obecny jest wyłącznie w ludzkim organizmie i przenosi się tylko przy udziale człowieka. Inne patogeny, jak np. malaria, są przenoszone przez zwierzęta i to od nich nierzadko zaraża się człowiek. Wówczas eradykacja jest znacznie utrudniona.

W 2015 r. zarejestrowano ostatni przypadek odry w obu Amerykach, WHO rok później uznało ten region za wolny od choroby. Jednak już w maju 2017 r. w USA pojawiły się nowe ogniska. Kolejny krok wstecz. Wzrost zachorowań nie jest spowodowany silniejszym wirusem ani spadkiem efektywności szczepionki. Problemem jest rezygnacja ze szczepień i spora nieufność społeczeństwa wobec nauki. Mit o szczepionce MMR wciąż podsycany absurdalnymi argumentami przez ruchy antyszczepionkowe odsuwa perspektywę eliminacji odry.

Tak jak sto lat temu, dziś konieczne jest przypominanie, że odra nie jest „chorobą niewinną”. © BARTOSZ KABAŁA

Wzrost zachorowań nie jest spowodowany silniejszym wirusem ani spadkiem efektywności szczepionki. **Problemem jest rezygnacja ze szczepień.**

„Tygodnik Powszechny Historia” „Dał nam siłę” – na 40. rocznicę wyboru Karola Wojtyły na papieża

- Po 33 dniach pontyfikatu umiera Jan Paweł I. Kardynałowie, ponownie zebrani na konklawe, wybierają na papieża metropolitę krakowskiego Karola Wojtyłę. Jak do tego doszło i jak zareagował świat?
- Akt pokuty za grzechy Kościoła, nowe otwarcie w dialogu z innymi religiami, wyczulenie na biedę, pielgrzymki, próba budowy nowego feminizmu: 27 lat tego pontyfikatu nieodwracalnie zmienia Kościół
- Już za życia mówiono o nim „Jan Paweł Wielki”. Co ze spuścizny papieża przetrwało do dziś?

Wśród autorów:
ks. Adam Boniecki, abp Grzegorz Ryś, Marek Zając, Katarzyna Wiśniewska, Anna Turowiczowa, Agnieszka Sabor, Józefa Hennelowa, Józef Majewski, Zuzanna Radzik, Andrzej Stasiuk

„Tygodnik Powszechny Historia”
– do nabycia w dobrych punktach z prasą i salonach prasowych

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

„TP" 44 / 2018

Kardynał i ruch drogowy

Prenumeruję „Tygodnik" od lat. Czasami nie zgadzam się z jego autorami, ale zawsze z wielką przyjemnością ich czytam i jestem wdzięczny za lekturę. Po przeczytaniu relacji z Rzymu pt. „Don Corrado pozamiatał", napisanej przez red. Edwarda Augustyna, poczułem jednak na tyle duży dyskomfort, że postanowiłem napisać kilka słów. Nie przychodzi mi to łatwo: darzę wielkim podziwem księdza kardynała Konrada Krajewskiego, a także bardzo cenię autora tejże relacji. Polska słynie z nagminnego łamania zasad ruchu drogowego, swoistej kombinacji anarchii, egoizmu i bezmyślności, która prowadzi do kalectwa i śmierci. Często pytam zaprzyjaźnionych kapłanów i osoby świeckie, dlaczego tak rzadko ten temat pojawia się w nauczaniu Kościoła. I oto, niestety, dwa autorytety w jednej chwili stają po stronie tych, z którymi od dawna próbuję toczyć dyskusję o granicach wolności i o odpowiedzialnym zachowaniu na drodze w kontekście przykazania „nie zabijaj". Nie rozumiem, co oznacza zachwyt nad jazdą „na wczesnym czerwonym" albo stwierdzenie, że w Polsce „kierowca Krajewski uzbierałby niezłą sumę punktów karnych", a następnie zrównanie lekkomyślnej brawury z elastycznym podejściem do przepisów sanitarnych (tę elastyczność akurat rozumiem), ba, nawet powołanie się na najwyższy autorytet: „Pan Jezus też łamał przepisy". Jestem ofiarą wypadku komunikacyjnego spowodowanego przez kierowcę, który uznał, że przepisy drogowe go nie dotyczą. Czy Ksiądz Kardynał i Pan Redaktor zechcieliby coś mi w tej sprawie powiedzieć?

KRZYSZTOF TAŃCZUK

OD AUTORA:
Bardzo dziękuję za przesłany list i podniesienie ważnego problemu. Przykro mi, jeśli odniósł Pan wrażenie, że zachwycam się lekceważeniem przepisów. We wspomnianych słowach było – moim zdaniem – raczej zdziwienie stylem jazdy ks. kardynała oraz konstatacja, że na tle pozostałych kierowców we Włoszech i tak nie wypadł źle. W żadnym razie nie staję po stronie kierowców, którzy łamią przepisy.

EDWARD AUGUSTYN

Klimat nas dotyczy!

Poleciałam na wakacje do Tajlandii. Trzy tygodnie: Bangkok, Krabi, Ko Lanta, może jeszcze Angkor Wat w Kambodży. Zobaczę. Trzydzieści stopni, mam trzy książki i jedną gazetę – „Tygodnik Powszechny". Czytam „Zmierzch epoki człowieka", „Planetę własnego wyrobu", „Taki mamy klimat", a przede mną plastikowy widelec w piasku. Idę plażą i mijam potłuczone butelki, reklamówki, tubkę z pasty do zębów i inne folie. W krystalicznie czystym morzu podpływa do mnie nie turysta, lecz plastikowa butelka. W Polsce też nadal traktujemy problem zmian klimatycznych po macoszemu, „to nas nie dotyczy". Dotyczy! I to nie tylko w naszym kraju, również na wakacjach. W walce o poprawę klimatu musimy być obywatelami świata! Ale dobrze, bez patosu. Jestem na wakacjach. Przyleciałam samolotem. Kupując banany, mówię, że nie potrzebuję reklamówki. Tajka się śmieje i mówi: „*Save the planet*". Przejdźmy więc wszyscy z uśmiechem do *save the planet*. Gdziekolwiek jesteśmy.

ANNA KUBIELAS

PROŚBA O POMOC

Fundacja Charytatywna Pomoc Polakom na Kresach im. ks. dr. Mosinga zwraca się z prośbą o pomoc dla 45-letniego Wiktora Zaremby z Berdyczowa na Ukrainie. Dwa lata temu u Wiktora wykonano transplantację nerki. W wyniku stosowania leków immunosupresyjnych i sterydów nastąpiła martwica główki stawu biodrowego. Po konsultacjach stwierdzono konieczność wymiany stawu. W przeciwnym wypadku w niedługim czasie choremu grozi wózek inwalidzki. Już dziś Wiktor porusza się z trudem i odczuwa ogromny ból. Jego renta wynosi 1450 uah, czyli około 200 zł. Jeżeli czuje się lepiej, dorabia sobie jako kierowca, ale nie jest w stanie zebrać potrzebnej kwoty. Koszt protezy i operacji to 112 tys. uah, a więc około 15 tys. zł. Ewentualne wpłaty prosimy kierować na konto fundacji: BGŻ BNP Paribas – **23 2030 0045 1110 0000 0222 0700**, z dopiskiem „Wiktor Zaremba".

MONIKA MICHALAK
FUNDACJA DR. MOSINGA

Autorzy wydrukowanych na łamach „Tygodnika" listów otrzymają kubki z rysunkiem Macieja Sieńczyka.

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie I Ns 980/17, o stwierdzenie nabycia spadku po Włodzimierzu Kajetanie Krajewskim, zm. 3 marca 1980 r. w Sulejówku, ostatnio stale zamieszkałym w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim, Wydział I Cywilny, toczy się postępowanie w sprawie I Ns 365/18 o stwierdzenie nabycia spadku po Franciszku Rubie, zm. 28 marca 2008 r. w Mińsku Mazowieckim, i Cecylii Rubie z d. Rutkowskiej, zm. 23 lutego 2015 r. w Mińsku Mazowieckim, ostatnio stale zamieszkałych w Mińsku Mazowieckim.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w terminie 3 miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Krzysztof Penderecki 85 lat

TYGODNIK POWSZECHNY

muzyka W TYGODNIKU

Dodatek specjalny 47/2018
redakcja Jakub Puchalski

PAI / ULLSTEIN BILD / GETTY IMAGES

Mnie interesują tematy wielkie i uniwersalne. I zawsze wydawało mi się, że szkoda czasu na drobiazgi" – to wyznanie mogłoby być mottem twórczości Krzysztofa Pendereckiego. Dziś, gdy świat obchodzi 85-lecie urodzin kompozytora, przyglądamy się temu polimorficznemu œuvre pod najróżniejszymi kątami. Przez ostatnie ponad 60 lat także Penderecki pod różnymi kątami patrzył na zagadnienia muzyczne: imponował nowymi brzmieniami, zaskakiwał zwrotem ku semantycznie nacechowanej ekspresji i tematyce, przywracał wagę emocjom, wzniosłości, napełniał utwory dramatem i swoistą terribilità, uderzał w patos i frazy neoromantyczne, z których przeskakiwał do iście neoklasycznej, lapidarnej claritas... Odmian niezwykle wiele – odmian zdawałoby się fundamentalnych: stylowych, językowych. A jednak w całości nieustannie uderza jedność. Wbrew częstym oskarżeniom niezmienne pozostają zasady – z tym że dla Pendereckiego wykraczają one poza dźwięki. Kompozytor jest nie tylko muzykiem, ale i humanistą. Jego muzyka przede wszystkim dotyczy człowieka. Jak było na początku, teraz – i zawsze. © JP

Dodatek towarzyszy Festiwalowi Krzysztofa Pendereckiego, który odbędzie się w Warszawie 16–23 listopada.

Kalendarium życia i twórczości

URODZONY 23 LISTOPADA 1933 w Dębicy, syn jedynego w mieście nieżydowskiego adwokata. Niebawem, w wieku szkolnym, naoczny świadek Holokaustu: „Z okien mieszkania widziałem likwidację getta jako dziecko. Strzelali do dzieci, strzelali do starców. (...) Ja się z nimi bawiłem... I później na naszych oczach..." (K. Penderecki). Pierwsze skrzypce i pianino; z braku materiałów do ćwiczeń gra własne ćwiczenia.

1950 – matura w klasie o profilu klasycznym. Wyjazd do Krakowa, prywatne lekcje u Franciszka Skołyszewskiego – „on właśnie wymyślił mnie jako kompozytora" (K. Penderecki).

1952-54 – nauka w Średniej Szkole Muzycznej w Krakowie.

1954 – początek studiów kompozycji w PWSM w Krakowie, w klasie Artura Malawskiego. Ślub z Barbarą Gracą, pianistką.

1958 – „Psalmy Dawida" na chór mieszany i perkusję. „Wkraczając na drogę twórczości awangardowej, miałem przeczucie, że nie można oderwać się od duchowych korzeni" (K. Penderecki). „Emanacje". Na Warszawskiej Jesieni muzyka Bouleza i Luigiego Nono, znajomość z włoskim kompozytorem.

1959 – „Strofy" na sopran, głos recytujący i 10 instrumentów. Konkurs Młodych Kompozytorów Związku Kompozytorów Polskich – trzy nagrody: za „Strofy" (I nagroda; 17 IX – prawykonanie na Warszawskiej Jesieni), „Emanacje" i „Psalmy Dawida" (dwie II nagrody *ex aequo*). Koniec studiów, asystent w klasie kompozycji Stanisława Wiechowicza.

1960 – „Anaklasis" dla festiwalu w Donaueschingen. Hans Rosbaud bisuje utwór po prawykonaniu. Stały kontakt z niemieckim Festiwalem Muzyki Współczesnej (1962 – „Fluorescencje", 1964 – Sonata na wiolonczelę i orkiestrę, 1966 – „Stabat Mater", 1967 – Capriccio per violino e orchestra, 1971 – „Actions"). „Wymiary czasu i ciszy". Kwartet smyczkowy (nr 1). „Tren – ofiarom Hiroszimy". Sonoryzm, ale z odniesieniem do spraw pozamuzycznych, etycznych, moralnych. „Tym, co różniło poetykę muzyczną Pendereckiego od modelowego modernizmu, to wpisanie owych nowatorskich brzmień, często agresywnych i nieprzyjemnych dla ucha, w świat wartości" (A. Jarzębska). Wyjście w świat: nagrody, wyjazdy. Spotkania z innymi kompozytorami i wykonawcami nowej muzyki.

1961 – „Polimorfia" na 48 instrumentów smyczkowych. „Fonogrammi". „Psalmus 1961" na taśmę, efekt pracy w Studiu Eksperymentalnym Polskiego Radia. Mimo zainteresowania elektroniką nie stanie się ona językiem kompozytora. „Tren" kontynuuje triumfalną wędrówkę po świecie.

1962 – „Fluorescencje". „Tak, wtedy był skandal. Zaszokowałem nawet ówczesnych awangardystów" (K. Penderecki). Kanon na orkiestrę smyczkową i dwie taśmy. „Stabat Mater" – „rozpięło stylistyczny łuk tęczy między gregorianką i klasterem, trójdźwiękiem i akordem dwunastotonowym" (J. Häusler).

1963 – „Brygada śmierci" – słuchowisko do tekstu członka Sonderkommando palącego zwłoki. Oskarżone o przekroczenie granicy brutalności. „Oczywiście, działa jak uderzenie w głowę, ale tego się nie dało uniknąć" (K. Penderecki).

1964 – muzyka do „Rękopisu znalezionego w Saragossie" Wojciecha Hasa; później Penderecki uchylał się od podobnych zleceń filmowych, w tym z wytwórni amerykańskich, bojąc się, że to zajęcie „zbyt łatwe". W młodości pisał natomiast dużo dla teatru i dla filmów animowanych oraz krótkometrażowych; wielkie kino parokrotnie adaptowało też jego utwory. Sonata na wiolonczelę i orkiestrę – pierwsze z dzieł dla Siegfrieda Palma.

1965 – Capriccio per oboe e 11 archi (dla Heinza Holligera), opera dziecięca „Najdzielniejszy z rycerzy". „Pasja wg św. Łukasza" na jubileusz katedry w Münster. Ślub z Elżbietą Solecką.

1966 – 30 marca prawykonanie „Pasji wg św. Łukasza". „Chodziło mi o to, aby widz poprzez napięcie i dramatyzm muzyki został włączony w sam środek wydarzeń (...). Każdy może być wciągnięty przez ów tłum pasyjny, turbę, który domaga się ukrzyżowania Chrystusa, podobnie jak każdego dotyczy odkupienie (...) Myślę, że byłem za młody, żeby mi zadrżała ręka. Po prostu nie zdawałem sobie sprawy, na co się porywam" (K. Penderecki). „Pasja" otrzymuje Nagrodę Północnej Nadrenii-Westfalii i zostaje powszechnie okrzyknięta współczesnym arcydziełem, choć jednocześnie jest oskarżana o zdradę awangardy, zarówno muzyczną (nawiązanie do Bacha), jak i ideową. „Po oszałamiającym, światowym sukcesie »Pasji« otacza dzisiaj Pendereckiego na Zachodzie taki kult, jakiego przedmiotem w latach trzydziestych był w Paryżu Strawiński" (J. Waldorff). „De natura sonoris I". Dwa lata kontraktu jako wykładowca kompozycji w Folkwang-Hochschule w Essen.

1967 – „Dies irae", pamięci ofiar Auschwitz. Capriccio na skrzypce i orkiestrę – „Utwór stał się bez wątpienia szlagierem tegorocznego festiwalu" („Stuttgarter Nachrichten").

1969 – „Diabły z Loudun" – opera wg Aldousa Huxleya. „Loudun od Kalwarii, ale także od Guerniki, Oświęcimia i Wietnamu dzieli jeden krok, inna scena i kostium" (D.A. Hogarth). „Kosmogonia" na 25-lecie ONZ. „Jutrznia, cz. I". Rok w Wiedniu.

1971 – „Jutrznia, cz. II". „De natura sonoris II". Partita. „Actions" na zespół jazzowy – jedyne takie spotkanie Pendereckiego z intrygującym go free jazzem nie okazało się spotkaniem płodnym. W tym miejscu jednak kompozytor po raz pierwszy wystąpił w roli dyrygenta, przy której pozostał. Dom na Woli Justowskiej w Krakowie.

1972 – przyjmuje godność rektora krakowskiej PWSM. Będzie pełnił tę funkcję do 1987 r. I Koncert wiolonczelowy: „Utwór, którego słucha się jak opowieści. Niekiedy zapierającej dech" (M. Tomaszewski). „Ecloga VIII". „Ekecheiría" (na taśmę) – zamówiona na otwarcie olimpiady w Monachium (tragicznie przerwanej przez terrorystów).

1973 – I Symfonia. „Pisząc I Symfonię zdawałem sobie sprawę, że już po prostu tak dalej nie można. (...) że sięgnąłem granicy. Że się rozmijam z muzyką, że zaczynam myśleć już tylko kategoriami nowości i oryginalności, (...) że chciałbym pisać inną muzykę" (K. Penderecki). Intermezzo. „Canticum Canticorum Salomonis" – kantata oparta na Pieśni nad Pieśniami. Profesor na wydziale kompozycji Yale University (do 1978).

1974 – Magnificat. „Przebudzenie Jakuba". „»Przebudzenie« odebrałem jako poemat symfoniczny, jako muzykę, która chce mi coś powiedzieć, opowiedzieć" (K. Droba).

1977 – I Koncert skrzypcowy – prawykonany przez Isaaca Sterna i jemu dedykowany. „To wielki, wspaniały, dekadencko-romantyczny koncert" (J. Wnuk-Nazarowa).

1978 – „Raj utracony" – opera (*sacra rappresentazione*) wg Miltona. Na zamówienie Lyric Opera w Chicago z okazji 200-lecia USA. „Raj utracony – chicagowska duma odzyskana" (tytuł recenzji w „Chicago Tribune"), „Zdania słuchaczy są diametralnie podzielone: jedni się zachwycają dzięki »powrotowi do tonalności«, wielbią »następcę Wagne-

HARRY WEINBERG / FOTONOVA

Próba przed prawykonaniem „Pasji wg św. Łukasza", Zamek Królewski na Wawelu, czerwiec 1966 r.

ra«, inni narzekają na »podniosłe dłużyzny« i na »zdradę awangardy«" („Frankfurter Allgemeine Zeitung" po europejskiej premierze dzieła w mediolańskiej La Scali).

1980 – dwór i posiadłość w Lusławicach. W ogrodzie powstanie słynne niebawem arboretum. Prywatne festiwale kameralne, odbędą się w sumie trzy: „potem był stan wojenny i już właściwie więcej robić się nie dało" (K. Penderecki). II Symfonia „Wigilijna" – „Zrodzona z ducha Brucknera", oskarżana o eklektyczny neoromantyzm, ale „użycie minionych stylów może być uznane za innowację, a nawet rewolucyjność" (H. Wyszynski). „Te Deum". „Lacrimosa" na odsłonięcie pomnika poległych stoczniowców w Gdańsku – początek twórczej epopei „Polskiego Requiem".

1981 – „Agnus Dei".

1982 – II Koncert wiolonczelowy, dla Mścisława Rostropowicza i Filharmoników Berlińskich.

1983 – Koncert na altówkę (wiolonczelę/ /klarnet). Drugi festiwal w Lusławicach.

1984 – „Polskie Requiem". Utwór „w drodze", wzbogacany w kolejnych latach dalszymi częściami, związanymi z istotnymi wydarzeniami dla ojczyzny (ostatni element: Chaconna, jako marsz żałobny po śmierci Jana Pawła II, 2005). „Jest to może najbardziej kontemplacyjny z moich utworów" (K. Penderecki). Trzeci festiwal w Lusławicach.

1986 – „Czarna maska" – opera wg dramatu Hauptmanna. Prawykonanie w teatrze festiwalowym w Salzburgu. „Kamień węgielny nowej epoki" (H.J. Herbort).

1987 – „Veni Creator".

1989 – IV Symfonia – Adagio. Zamówienie dla uczczenia 200-lecia Rewolucji Francuskiej. „(...) w Czwartej jest trochę Szostakowicza" (K. Penderecki). „To nie apoteoza czasów rewolucji. (...) Jako człowiek pochodzący ze wschodniej strony (...) żelaznej kurtyny Penderecki dał raczej wyraz swemu rozczarowaniu do idei rewolucyjnych. Świadczy o tym (...) nawiązanie do »gestu funebre«, będącego niejako muzyczną konsekwencją »szaleństwa gilotyny«" (M. Gmys).

1991 – Trio smyczkowe. „Trio, a wraz z nim Sinfonietta otwierają (...) nowy rozdział (...): claritas. (...) Cnota i lapidarność" (M. Tomaszewski). „Król Ubu" – opera buffa wg Jarry'ego. Manifestacja dystansu. Pastiszowa kontaminacja wielu stylów, począwszy od Rossiniego. „Sam z siebie [też] tam żartuję czy kpię (...) Ale Szostakowicza też jest tam trochę" (K. Penderecki). „W gabinecie krzywych luster" (A. Chłopecki).

1992 – Koncert na flet. V Symfonia „Koreańska" – „nowy styl", „właściwości antyromantyczne", „powrót klasterów" (W. Schwinger). „Benedicamus Domino". „Benedictus".

1993 – Kwartet klarnetowy. „Jeden z Pendereckiego utworów najbardziej subtelnych i osobistych" (M. Tomaszewski).

1995 – III Symfonia – „niezwykle ostre i dosadne przeciwstawienie głębokiego, intymnego, ciepłego liryzmu jako »symbolu« ludzkiej wrażliwości, i wrogiego jej bezdusznego żywiołu, niosącego strach, katastrofę, tragizm" (T. Zieliński). II Koncert skrzypcowy „Metamorfozy", dla Anne-Sophie Mutter. „Niektóre miejsca mają wielką siłę dramatyczną, jednak kompozytor nie sięga w nich do gestów i napięć ekstremalnych, z jakich dawniej korzystał. (...) równie wiele tu żartobliwej finezji, a przede wszystkim – ciepłego, ujmującego liryzmu" (T. Zieliński).

1996 – „Siedem bram Jerozolimy" (VII Symfonia) – na solistów, chóry i rozbudowaną orkiestrę, dla uczczenia 3 tys. lat istnienia Jerozolimy. „Postanowiłem wrócić do Psalmów Dawida. Jest to powrót zwielokrotniony: do korzeni kultury judeo-chrześcijańskiej, do źródeł muzyki i wreszcie, do początków mojej twórczości" (K. Penderecki).

1998 – „Credo" na 5 głosów solowych, chóry chłopięcy i mieszany, orkiestrę. „Jest to utwór tego rodzaju, jaki się komponuje jeden raz w swoim życiu" (K. Penderecki).

2000 – II Sonata na skrzypce i fortepian. Anne-Sophie Mutter w niedawnym wywiadzie dla „TP": „Była to dla mnie i Lamberta Orkisa skrajnie trudna premiera, gdyż utwór został ukończony bardzo, bardzo późno i czuliśmy, że nie oddaliśmy mu pełnej sprawiedliwości. Z okazji urodzin wróciliśmy do niego – już dwa lata temu, gdyż jest to ogromnie skomplikowana i cudownie filozoficzna muzyka. Piękny utwór – ale to 35 minut grania dla obu instrumentów". Sekstet na klarnet, róg, trio smyczkowe i fortepian – „Moja *musica domestica*" (K. Penderecki).

2001 – Concerto grosso.

2002 – Koncert fortepianowy „Zmartwychwstanie". Podniosły, z patetycznym chorałem, pisanym pod wrażeniem ataku na WTC. Wyjątkowo krytykowany – a jednocześnie bardzo chętnie grany.

2005 – Chaconna – włączona następnie do „Polskiego Requiem". VIII Symfonia „Pieśni przemijania" („Lieder der Vergänglichkeit"). Utwór „zachwycający świeżością kompozytorskiego języka, który zachowując (...) idiomatykę, przekręca ją w zupełnie inny świat. (...) gest symfonicznej masywności (...) ulatuje w eteryczną subtelność liryki" (A. Chłopecki).

2008 – Koncert na róg „Winterreise" – odwołujący się do muzyki myśliwskiej, błyskotliwy i niepozbawiony humoru. II Kwartet smyczkowy „Kartki z nienapisanego dziennika" – klasyczny kwartet.

2009 – „Kadisz".

2010 – „»Powiało na mnie morze snów...« Pieśni zadumy i nostalgii". Duo concertante na skrzypce i kontrabas. „Ein feste Burg ist unser Gott".

2012 – „De natura sonoris III". Koncert podwójny na skrzypce i altówkę.

2013 – „La Follia" na skrzypce solo. „Missa brevis" na chór *a cappella*.

2014 – „Dies illa" – w rocznicę wybuchu I wojny światowej.

2015 – Koncert na trąbkę (Concertino).

2016 – IV Kwartet smyczkowy.

2017 – VI Symfonia „Pieśni chińskie". Długo czekająca na dokończenie objawiła się ostatecznie jako dzieło inne niż spodziewane.

© Opr. JAKUB PUCHALSKI

Cytaty za M. Tomaszewski, „Penderecki" (PWM, Kraków 2008)

Kiedy znów usłyszę „Penderecki”

ADAM WIEDEMANN

Penderecki to nazwisko symbol, podobnie jak symbolem współczesnego malarstwa było swego czasu nazwisko Picasso.

Nie byłem nigdy w Brazylii ani na Tajwanie, ale myślę, że wszędzie na świecie jest tak samo i każdy w miarę kulturalny człowiek, zagadnięty o znanego kompozytora muzyki współczesnej, odpowie: Penderecki. Nie żeby jego muzyka była aż tak popularna, znane jest jego nazwisko, jest to nazwisko symbol, podobnie jak – powiedzmy – symbolem współczesnego malarstwa było swego czasu nazwisko Picasso. Niewielu kompozytorów osiągnęło za życia tego typu status, może znany w całej Europie Haydn, może Dvořák, którego popularność objęła aż dwa kontynenty, może Händel, Rossini i Wagner, ale na pewno nie Mozart, nie Beethoven, nie Chopin i nie Brahms. Mimo iż teraz wydają nam się bardzo sławni.

Słodki smak rewolty

W pierwszej połowie XX wieku kimś takim był niewątpliwie Strawiński, którego z Pendereckim łączy ponadto fakt, że obaj osiągnęli swój największy sukces, będąc około trzydziestki. Liczą się jednak różnice. Światowym sukcesem Strawińskiego nie było znane obecnie najpowszechniej „Święto wiosny”, lecz nieco wcześniejszy balet „Pietruszka” (1911), gdzie kompozytor wprowadza element „uroczego bałaganu”, przy całej progresywności swojego muzycznego języka cytuje zasłyszane przez okno melodie kataryniarzy, a zamiast tytanicznych zmagań herosów i heroin opiewa nieszczęśliwą miłość jarmarcznej kukiełki. Zmęczonej (czy też przejedzonej) Wagnerem publiczności czegoś takiego właśnie było trzeba, sam kompozytor zresztą do końca życia najchętniej dyrygował właśnie „Pietruszką”, mając zapewne świadomość, że późniejsze dzieła może i go przewyższają wartością czysto muzyczną, lecz nie mocą retoryczną, słodkim smakiem rewolty, która skądinąd stopniowo została całkowicie „ucukrowana”.

Co innego, gdy pod koniec lat 60. zabrzmiała w Münster „Pasja wg św. Łukasza”. Słuchacz (zwłaszcza zachodni) dość już wtedy miał terroru awangardy, stawiającej przed nim coraz to nowe zagadnienia intelektualne, zaczął natomiast pragnąć doznań bardziej bezpośrednich, w tym zwłaszcza wzniosłości oraz obcowania z „czymś nowym, ale jakby już znanym”, a tego właśnie dostarczył mu Penderecki. Nie bez znaczenia jest też fakt, że do sukcesu „Pasji” doszło akurat w Niemczech, uświadomiła mi to rozmowa z wiekowym teściem mojej niemieckiej przyjaciółki, który to teść, dziwiąc się, że jako Polak nie jestem aż takim wielbicielem Pendereckiego jak on, używał wielokrotnie słowa *Kraft*, a zatem „siła, potęga”. Czegoś takiego nie dostarczał Niemcom ani Stockhausen, ani nawet Rihm (aczkolwiek tego próbował), natomiast Penderecki okazał się zgodny z oczekiwaniami. Wyjaśnia to zresztą, dlaczego mistrz z Dębicy nie zdobył aż takiego poklasku we Francji, gdzie jednak tradycje debussy'owsko-ravelowskie są wciąż żywe. Boulez Pendereckim nigdy nie dyrygował, a Szymanowskim i Lutosławskim jednak tak.

Podczas prawykonania „Pasji” autor jej był w o tyle dobrej sytuacji, że dał już się poznać jako twórca dzieł *stricte* awangardowych; mimo że nie bywał na kursach w Darmstadt, jego wynalazki artykulacyjne, brutalne klastery i maszyna do pisania w roli perkusji były już dość powszechnie znane, a „Tren – ofiarom Hiroszimy” zrobił wielką furorę jako utwór co prawda emocjonalny, lecz jednak wynalazczy (czy może na odwrót?). W tym sensie wczesne utwory Pendereckiego (głównie na orkiestrę smyczkową) były dlań tym, czym dla Strawińskiego „Ognisty ptak”, utrzymany jeszcze w rimsko-korsakowskiej, baśniowej aurze – stanowiły usianą reweransami drogę ku „sobie samemu”. O ile jednak Strawiński poszedł drogą neoklasycyzmu i w końcu dodekafonii, o tyle Pendereckiemu bliższa była tradycja późnoromantyczna, której okazał się chyba najzdolniejszym spadkobiercą i kontynuatorem.

Ciągłość zmian

Ciekawe, czy Strawiński byłby dziś Strawińskim jako twórca wyłącznie (mistrzowskiego przecież) „Rake's Progress” i czy Penderecki byłby Pendereckim, gdyby zaprezentował od razu coś w rodzaju „Siedmiu bram Jerozolimy”? Podejrzewam, że nie, zostaliby włożeni do odpowiednich szufladek i tyle. W twórczości obu tych kompozytorów element „zmiany” jest równie ważny jak ciągłość czy też rozpoznawalność. Nie byłoby późnego Pendereckiego bez Pendereckiego wczesnego, zauważmy jednak, że ta zmiana nie jest aż tak daleko posunięta, jak się wydaje. Wczesny Penderecki operował przede wszystkim barwą i dynamiką, późny robi w zasadzie to samo, dorzucając spektrum melodyczne, w którym nie porusza się zresztą z przesadną gracją, jego melodie pozostają abstrakcyjne i kostropate, nie zapamiętujemy ich, przedmiotem rozpoznania są raczej drobne fragmenty, stanowiące rodzaj „sygnatury”. Warto też zauważyć, że liczni ostatnio młodzi wielbiciele-remixerzy Pendereckiego nawiązują z reguły do dzieł wczesnych, wykonując zarazem gest „uprzystępnienia”, powtarzają więc – w nieco innej stylistyce – marszrutę samego Mistrza.

Jako symbol muzyki „przełomu tysiącleci” Penderecki ma jednego w zasadzie poważnego konkurenta, jest nim Arvo Pärt, też twórca z Europy Wschodniej, też zaczynający od rzeczy ultraawangardowych, by przejść do własnej techniki kompozytorskiej, będącej jednym z odgałęzień minimalizmu. On również jest autorem „Pasji”, zdecydowanie odmiennej, skromnej i antyemocjonalnej, operującej retoryką „cichej kontemplacji” – ten model religijności bardzo dobrze się ostatnio sprzedaje, kto wie, czy nie lepiej niż spektakularna, wybuchowa, często też upolityczniona („Polskie Requiem”!) religijność

BEATA ZAWRZEL DLA „TP"

Festiwalowi Krzysztofa Pendereckiego towarzyszy plakat wybrany w drodze konkursu przez jury w składzie: Witold Siemaszkiewicz (przewodniczący), Elżbieta Penderecka, Adam Balas (wszyscy troje na zdjęciu), Wojciech Kołek, Marcin Maciejowski, Andrzej Giza. Grand prix otrzymał projekt Piotra Pietrzaka.

Pendereckiego. Pärt ma jednak tę wadę, czy też zaletę, że da się słuchać jako „muzyka tła", narzuca się podprogowo, nienachalnie, Penderecki zaś domaga się bacznej uwagi, nie spuszcza słuchaczy z oka, nawet jeśli jego pomysłowość ogranicza się do ciągłego zwiększania obsady (i nie mam tu na myśli drzew w lusławickim arboretum, tylko muzyków orkiestrowych).

Jak słońce

Inni żyjący kompozytorzy z jego pokolenia absolutnie nie nadają się na gwiazdy, aczkolwiek absolutnie powinni nimi być. Są jednak albo konsekwentnymi awangardzistami (jak Gubajdulina, Kurtág, Nørgård czy Crumb), albo też zostali postrzeżeni od razu jako postawangardowi (jak Kanczeli, Reich, Riley albo Young) – Penderecki zaś trzyma oba te wróble w garści, jest i taki, i taki, ponadto góruje nad swoimi rówieśnikami tym, że niestrudzenie obsługuje swoją twórczość, dyryguje, bywa na prawykonaniach i nawet zwykłych wykonaniach, zaszczyca swoją obecnością imprezy organizowane przez żonę, odbiera dyplomy, organizuje kursy etc. – jego aktywność jest zaiste imponująca, ale wynika z niej korzyść, o której tu mówimy. Poczucie bycia docenionym to dla Polaka problem, psychiczna niewygoda – w tym sensie Penderecki jest Polakiem niestandardowym, przyjmuje wszystkie zaszczyty z widoczną przyjemnością, stąd też są mu chętnie przyznawane.

Kariera muzyczna Pendereckiego zaczęła się wszak od oszustwa: wysłał na konkurs trzy utwory, jeden napisany prawą ręką, drugi lewą (jest oburęczny), trzeci dał do przepisania kopiście, wszystkie trzy zostały nagrodzone. Oczywiście, jurorom musiały się spodobać, mamy je zresztą na płytach i są dobre, sam jednak ten tryb postępowania należy potępić, spotykam się z nim nieustannie na konkursach poetyckich i nie umiem sobie wytłumaczyć, skąd w ludziach aż tak wielka dążność do zdobycia nagrody. Ma to jednak swój sens, potrójna przewaga to coś więcej niż zwykła po prostu wygrana, to się w człowieku osadza. Zdobywszy taką nagrodę, można osiąść na laurach albo iść za ciosem. Penderecki należał do tych drugich, tworzył z początku tak, że zyskiwał przychylność krytyków muzycznych, a osiągnąwszy ich gremialną akceptację odwrócił się od nich, co nie odjęło mu chwały. W tej chwili jest dobrem nienaruszalnym i nikt, dosłownie nikt na świecie nie jest mu w stanie zagrozić. Osiągnął to człowiek, Polak, za pomocą muzyki, za to należą mu się wielkie brawa.

„Muzyka Pendereckiego jest jednoznaczna i tym tłumaczy się jej wielkie uznanie na rynku światowym" – napisał u progu lat 90. Bogusław Schaeffer. Wyczuwamy tu zazdrość płynącą z ust rówieśnika, mistrza niejednoznaczności, można się wszak zastanowić, czy istotnie motorem zarówno poparcia ze strony wyrafinowanych znawców, jak i aliansów z twórcami pop-moderny nie była ta właśnie jednoznaczność, wykryta przez bądź co bądź bardzo uważnego słuchacza muzyki XX wieku. Pendereckiego da się słuchać naiwnie, czego dowodem moje pierwsze słuchania, gdy „Pasja" gościła często na ekranie telewizora: jako dziecko bałem się jej, ale nie pozwalałem wyłączać – a nie wiem, czy rozbawiałyby mnie „Chantefleurs et chantefables". Stąd wniosek: Penderecki wystawia się nieustannie na odbiór „dziecięcy", naiwny, jest to pewnego rodzaju fikcja, acz przynosząca plony. Ludzie nie lubią go, bo drażni ich ucho, ale zapamiętują tego, kto ich na te tortury wystawił (tak przynajmniej przedstawia się sprawa, jeśli chodzi o promocję muzyki współczesnej w polskiej telewizji lat 70.). W gruncie rzeczy, powiedzmy to sobie szczerze, jest on stosunkowo przystępny.

Co do mnie, mam w dorobku Pendereckiego kilka utworów ulubionych, jest to skrzypcowe Capriccio (w wykonaniu Wiłkomirskiej), „Przebudzenie Jakuba" oraz Koncert fletowy, gdzie zdobył się na rzadką delikatność. Poza tym nie wiem, nie chcę i chyba nie muszę się ustosunkowywać, nawet kiedy pojadę do obcych krajów i znów usłyszę „Penderecki", i kiedy będę musiał przekonywać, że mamy jednak i innych kompozytorów – że oni też istnieją, a słońce Pendereckiego ich przyćmiewa. ©

Z odzysku?

JAN TOPOLSKI

Jubilat napisał kiedyś, że „znaleźliśmy się w punkcie, gdy najbardziej twórcze okazało się otwieranie drzwi za sobą". Od ponad dekady słowa te opisują coraz lepiej to, co spotyka jego własny dorobek.

Inspiruje kolejne pokolenia twórców z kraju i zagranicy, w czym dobitnie pomagają kuratorzy pokroju Filipa Berkowicza, Michała Mendyka i Michała Merczyńskiego. Co znamienne, chodzi właściwie wyłącznie o pierwszą dekadę aktywności Pendereckiego na polu muzyki filmowej i sonorystycznej. To czas eksperymentów z brzmieniem: nietypową artykulacją i instrumentami, masywnymi klasterami, przetworzeniami elektronicznymi. Krakowski kompozytor często ujmował je w rygory klasycznych form oraz podporządkowywał dramaturgii i emocjom. Znakomitym przykładem jest „Polimorfia" (1961), gdzie partie 48 instrumentów smyczkowych splatają się w kanonie. Po intensywnym wstępie następuje spokojny epizod środkowy, a całość kończy się „katartycznym" akordem C-dur.

Pierwszy koniunkturę na wczesne przygody Pendereckiego wyczuł Wojcek z legendarnej wytwórni Obuh, który wyprosił z archiwów Polskiego Radia taśmy z muzyką do „Rękopisu znalezionego w Saragossie" (1964). Na pniu rozszedł się cały nakład winyli z soundtrackiem (2005) pełnym rezonansów, ech i innych dźwięków konkretnych. Kilka lat później Narodowy Instytut Audiowizualny (2011) do projektu „Penderecki Reloaded" zaprosił gwiazdorów alternatywy. Gitarzysta Jonny Greenwood napisał smyczkowe „48 Responses to Polimorfia", wychodząc od wspomnianego akordu. Z kolei Aphex Twin wziął na swój elektroniczny warsztat „Polimorfię" oraz „Tren – ofiarom Hiroszimy" (1960). Paradoks polegał na tym, że Penderecki i inni przenosili doświadczenia ze studiów elektronicznych na grunt orkiestry, by odświeżyć jej brzmienie. Teraz wszystko wróciło do źródeł – pytanie, co zagubiło się po drodze. U Greenwooda z pewnością zabrakło myślenia formą, ale Aphex Twin nadrobił płaszczyznami brzmieniowymi.

Zaraz potem nadeszła era Pianohooligana, który pozwolił sobie na „Experiment: Penderecki" (2012). Wziął tu na warsztat – jakżeby inaczej – także „Polimorfię", co wydaje się karkołomnym przedsięwzięciem na instrumencie klawiszowym. Jednak Piotr Orzechowski gra również we wnętrzu pudła rezonansowego i bezpośrednio na strunach, intrygująco rozwijając oryginalne pizzicata. Na płycie znajduje się też parę interpretacji mniej oczywistych utworów. Pianohooligan inteligentnie zestawia sonorystyczne wariacje z grą pełną swingu, a motorykę z melancholią. Zarazem utwory pisane na specyficzne instrumenty oraz związane z nimi (rozszerzone) techniki wykonawcze odrywają się tu od źródeł i odsłaniają swoją formę.

Oprócz wspomnianych remiksów i interpretacji – wydanych przez prestiżowe wytwórnie Nonesuch i Warner – zaczęto sięgać także po mniej znane utwory Pendereckiego. Jednym z nich jest „Brygada śmierci" (1964), słuchowisko na podstawie dziennika członka Sonderkommando. Bazująca na wstrząsającym tekście i prosta w pomyśle „Brygada śmierci" porusza się na wąskim pograniczu między dosłownością horroru a jego oswojeniem i estetyzacją. Przetworzenia orkiestry oraz dźwięki konkretne stanowią zasługę inżynierów ze Studia Eksperymentalnego Polskiego Radia, w tym Eugeniusza Rudnika. Po premierze na Warszawskiej Jesieni utwór spotkał się z ostrą krytyką m.in. Jarosława Iwaszkiewicza, zarzucającego autorowi grę na najniższych instynktach. Dopiero po kilkudziesięciu latach „Brygada śmierci" Pendereckiego wróciła na estrady i antenę, stając się wydarzeniem tegoż festiwalu w roku 2011.

Podobny los spotkał, choć z zupełnie innych powodów, „Najdzielniejszego z rycerzy" (1959), który narodził się jako ilustracja dla teatru lalkowego. Barwna opowieść o buńczucznym strachu na wróble powróciła w 2018 r. do Opery Wrocławskiej. Także ostatnio festiwal Sacrum Profanum przypomniał sławne „Actions" (1971) na orkiestrę freejazzową, którym Penderecki debiutował kiedyś jako dyrygent w Donaueschingen. W Krakowie zagrała ją Fire! Orchestra, doborowy skład improwizatorów ze Skandynawii, którzy pokazali, jak dramatyczny nerw kompozytora sprawdza się i w takiej obsadzie. Z kolei trzy lata wcześniej Bôłt Records wydało dwupłytowy album „Homo ludens" z elektronicznymi utworami ilustracyjnymi Pendereckiego i Rudnika. Można tu znaleźć etiudy powstałe dla teatru oraz filmu animowanego i dokumentalnego, takie jak „Szklany wróg" (1961) i „Malarze gdańscy" (1965). Penderecki także w kinie dla dzieci pozwalał sobie na odważne rozwiązania, jak w „Spotkaniu z bazyliszkiem" (1962).

Dzięki dobrodziejstwom internetu można dziś przypomnieć sobie inne filmy z tych czasów, np. „Don Juana" Jerzego Zitzmana (1963), istną galopadę muzycznych cytatów i stylizacji. A dębiczanin ma jeszcze na koncie m.in. ilustracje do awangardowych kolaży Andrzeja Urbańskiego oraz fantastycznych nowelek Krzysztofa Dębowskiego.

Wczesna, ludyczna twórczość Pendereckiego – także rzadziej grywane „Emanacje" (1959) czy „Fluorescencje" (1962) – znakomicie nadaje się do remiksów. O wiele lepiej niż późne, często religijne i monumentalne dzieła, gdzie kompozytor hołduje bardziej *sacrum* niż *profanum*. Młodość przyciąga młodość, głosi stara zasada; w tym wypadku dochodzi wciąż aktualny powab poszukiwań barwowych oraz ówczesna dezynwoltura autora „Polimorfii". Z utworami sprzed półwiecza historia zatoczyła koło: od elektroniki do orkiestry i z powrotem (albo do fortepianu). Oczywiście, dochodzi moda, rocznice i instytucje, jednak w odróżnieniu od innych tuzów (Lutosławski, Górecki) w przypadku Pendereckiego przepływ inspiracji oraz swoisty recykling działa naturalnie i samoistnie. ©

Mój Penderecki

BEATA BOLESŁAWSKA-LEWANDOWSKA

Krzysztof Penderecki jest twórcą tak wielu ważnych kompozycji, że trudno zdecydować, które z nich uznać za muzyczny „niezbędnik". Każdy wybór będzie bardzo osobisty.

Penderecki sonorystyczny

Na przełomie lat 50. i 60. XX w. Krzysztof Penderecki zadziwił muzyczny świat, prezentując utwory radykalnie nowatorskie, operujące niekonwencjonalnymi brzmieniami. Jego odważne wizje dźwiękowe otwierały drzwi do nieznanych dotąd światów brzmieniowych. „Tren – ofiarom Hiroszimy", „Anaklasis", „Wymiary czasu i ciszy" czy „Polimorfia" to dzieła symboliczne, wyznaczające w muzyce polskiej nową erę, nazwaną wkrótce sonoryzmem (od brzmieniowych innowacji). Ich silna, niekiedy mocno niepokojąca ekspresja sprawiła, że niebawem wkroczyły do świata filmu – wielbiciele „Lśnienia" Stanleya Kubricka bez problemu w ścieżce dźwiękowej tego filmu rozpoznają dźwięki smyczkowej „Polimorfii"... Ja zaś do swego niezbędnika wybieram z tych czasów orkiestrowe „Fluorescencje" – wielobarwne, porywające nietypowymi brzmieniami orkiestry (wzbogaconej o kilka zupełnie nietradycyjnych „instrumentów", jak choćby piła czy maszyna do pisania), układającymi się jednocześnie w narrację *stricte* symfoniczną: z dwiema skrajnie kontrastującymi myślami, rozwijanymi i zsyntetyzowanymi w finale. Fascynujący utwór!

Penderecki religijny

Skomponowana w roku 1965 „Pasja według św. Łukasza" zapewniła Krzysztofowi Pendereckiemu nieśmiertelność. Bez cienia przesady można uznać to dzieło za jeden z najważniejszych utworów pasyjnych w historii muzyki w ogóle. Jak to się stało, że twórca skrajnie awangardowy sięgnął po tak wielki religijnie i nabrzmiały tradycją temat? „Byłem za młody, by zadrżała mi ręka" – przyznał po latach kompozytor. Stworzył dzieło głęboko religijne, opisujące przy tym mękę Chrystusa w pełni nowoczesnym językiem dźwiękowym. Po raz pierwszy ujawnił też tutaj zmysł dramaturgiczny, który wkrótce zaowocować miał operami. Po tematy religijne kompozytor sięgał jeszcze wielokrotnie – choćby w „Jutrzni", „Polskim Requiem", „Credo", „Te Deum", „Siedmiu bramach Jerozolimy" i licznych utworach chóralnych – jednak to „Pasja" bezwzględnie zajmuje pierwsze miejsce. To dzieło, bez którego trudno wprost wyobrazić sobie muzykę XX wieku.

Penderecki operowy

Tematy religijne znalazły odbicie także w operach Pendereckiego. „Diabły z Loudun", „Czarna maska" i „Raj utracony" – w każdej z nich religia odgrywa ważną (choć niekoniecznie pozytywną) rolę. Wolny od tematyki *stricte* religijnej pozostaje jedynie prześmiewczy „Ubu Król", jedyna w dorobku kompozytora opera buffa. Trudno porównać te dzieła, każde jest inne, i w zamyśle dramaturgicznym, i w realizacji dźwiękowej. Ja wybieram nietypowo – nie słynne „Diabły z Loudun", ale „Raj utracony", będący bardziej moralitetem niż typową operą. Penderecki jawi się w tym dziele jako romantyk, wrażliwy na piękno muzycznego brzmienia i odsłaniający ton liryczny w rozbudowanych liniach melodycznych (nawiązujących do Wagnera!), choć nie brak tu i niezwykle obrazowych, barwnie dźwiękowo zrealizowanych wizji piekła.

Penderecki liryczny

Liryzm i delikatność, subtelność dźwięku i melodycznych fraz to elementy, które – zaznaczone w okresie zwrotu kompozytora do tradycji romantycznej pod koniec lat 70. – ujawniają się w pełni w utworach skomponowanych już w nowym tysiącleciu. W twórczości Pendereckiego pojawiły się wówczas pieśni – z których dwa orkiestrowe cykle przybrały szatę symfonii: VIII Symfonia „Pieśni przemijania" oraz późniejsza chronologicznie VI Symfonia „Chińska", będąca wersją wcześniej skomponowanych „Pieśni chińskich". Pełna liryzmu czysto instrumentalnego jest także poświęcona pamięci papieża Polaka, nostalgiczna Chaconna na smyczki (dołączona do monumentalnego „Polskiego Requiem"), a także subtelny III Kwartet smyczkowy „Kartki z niezapisanego dziennika". Jednak jako najważniejsze dzieło w tym nurcie należy chyba zapisać cykl pieśni do poetów polskich „»Powiało na mnie morze snów...« Pieśni zadumy i nostalgii", skomponowany w roku dwusetnych urodzin Fryderyka Chopina. One zatem trafiają do mojego niezbędnika.

Penderecki symfoniczny

Krzysztof Penderecki to nie tylko autor ośmiu symfonii, ale i wielu koncertów instrumentalnych, w tym na dwóch czy trzech solistów. Trudno tu wskazać jedno „niezbędne" dzieło. Mnie niezmiennie urzeka krótkie preludium orkiestrowe, „Przebudzenie Jakuba" z 1974 r., owa zapowiedź zmiany stylu, przejścia od awangardy w kierunku tzw. nowego romantyzmu. Otwierające utwór brzmienia okaryn wciąż brzmią nieziemsko... Nie sposób jednak pominąć tu i II Symfonię „Wigilijną", i symfonie III, IV i V, podejmujące nurt późnoromantycznego symfonizmu, realizowanego w późnodwudziestowiecznej odsłonie. No i symfonia-kantata „Siedem bram Jerozolimy", ów monumentalny symbol końca milenium. Do osobistego niezbędnika zapisałabym jeszcze II Koncert skrzypcowy „Metamorfozy", utwór tak silnie łączący się z osobą artystki, dla której powstał – Anne-Sophie Mutter.

Jest to niezbędnik niepełny – każdy z łatwością może uzupełnić go o własne wybory. W przebogatej twórczości Krzysztofa Pendereckiego jest bowiem utworów ważnych i znaczących (na różnych poziomach) tak wiele, jak u żadnego chyba innego polskiego twórcy. Bo i sam Penderecki pozostaje „zjawiskiem w muzyce polskiej zupełnie wyjątkowym" i – czy to się komuś podoba, czy nie – po prostu niezbędnym! ©

KULTURA

MILCZEĆ JEST TRUDNIEJ

Indie nie istnieją. To wytwór chorej wyobraźni tych, którzy ich obsesyjnie pragną. A mówi to wszystko ona, Arundhati Roy. Najbardziej znana współczesna pisarka indyjska, która samą siebie nazywa indyjską patriotką.

MAREK RABIJ

Satygowane głośniki charczały z oddali jazzem, a przy stoliku obok pięciu anglojęzycznych turystów uzgadniało głośno przebieg ostatniej nocy, który – sądząc po detalach – w pewnym momencie wymknął im się spod kontroli. Właściwie to bardziej więc nasłuchiwałem, niż słuchałem Arundhati Roy, albowiem jej muślinowy, niemal dziecinny głos chwilami całkowicie ginął w gastronomicznym unisono. Jeśli w ogóle istnieje stereotypowe wyobrażenie tego, jak powinien zwracać się do słuchaczy literacki demiurg, to głos autorki „Boga rzeczy małych", pierwszej indyjskiej powieści nagrodzonej prestiżową Booker Award, i subtelna, nieśmiała intonacja przeczą takiemu stereotypowi.

Arundhati Roy trudno byłoby zaliczyć do grona pisarzy lubiących opowiadać o sobie i swej twórczości, a już na pewno nie do tych, którzy uwielbiają słuchać samych siebie. Inna sprawa, że zagraniczni publicyści i recenzenci utrudniają jej samoakceptację, próbując narzucić piszącej po angielsku autorce rolę ambasadora kanonu kultury zachodniej pośrodku chaosu współczesnych Indii. Jednego byłem więc pewny już po kilku minutach spotkania: jeśli chcesz zirytować Arundhati Roy, wypowiedz przy niej choćby raz słowo „zachodni".

– Nie byłam wcześniej w tej części Europy – zaczęła rozmowę sadowiąc się na krześle – i w sumie niewiele o was wiem, poza tym, że przez dekady byliście politycznie i kulturowo odcięci od Europy Zachodniej.

– Może nie wiesz, ale dla mnie to akurat zaleta – dodała ostrzegawczo.

Rewolucja pozorantów

Niechęć Roy do utożsamiania jej z kulturą tzw. Zachodu po części może wynikać również z problemów, z jakimi pisarka styka się na co dzień w ojczyźnie rządzonej od czterech lat coraz twardszą ręką premiera Narendry Modiego. Jego Indyjska Partia Ludowa (Bharatiya Janata Party; BJP) stała się matecznikiem wielkoindyjskich nacjonalistów, z programem zawierającym z grubsza to samo polityczne menu, które serwują elektoratowi populiści z innych krajów: silne państwo, wielkie inwestycje finansowane hojnie z publicznej kasy, nieufność wobec elit, nade wszystko zaś duma narodowa, którą rządzący mniej lub bardziej dyskretnie podsycają resentymentami wobec obcych.

GRAŻYNA MAKARA

ARUNDHATI ROY (ur. 1961) należy obok Salmana Rushdiego do najbardziej znanych współczesnych pisarzy indyjskich. Wydała dwie głośne powieści i osiem książek publicystycznych, w których motywem przewodnim są nierówności społeczne. Po polsku ukazały się dotąd: „Bóg rzeczy małych", „Ministerstwo niezrównanego szczęścia", „Indie rozdarte" oraz „Algebra bezgranicznej sprawiedliwości". Mieszka w Delhi.

Wrogiem tych nowych Indii jest wszystko, co choćby w szczątkowy sposób nawiązuje do epoki angielskiego panowania. Nowe Indie, projektowane przez Modiego, przynajmniej w teorii są projektem egalitarnym. W którym momencie zrobiło się więc nie po drodze z władzą córce ubogiego hindusa, która 16 pierwszych lat życia spędziła w małej wsi na południu Indii, a po przeprowadzce do Delhi zarabiała na życie sprzedając znalezione na ulicy butelki? Nie ulega bowiem wątpliwości, że dla „wszech-indusów" Arundhati Roy jest dziś ikoną oporu przeciwko rewolucji BJP, a literacka i publicystyczna krytyka stosunków społecznych oraz gospodarczych w kraju – dowodem na zaprzedanie duszy Zachodowi. Cokolwiek ten „Zachód" miałby znaczyć.

– Rewolucja? – w odpowiedzi pisarka posyła mi zdziwione, a właściwie już gniewne spojrzenie. – Jeśli patrząc na Indie widzisz chaos i ciągłe zmiany, to znaczy, że dostrzegasz jedynie folklor, który kochają turyści. W rzeczywistości chaos mamy jedynie na ulicach. Indie tkwią nadal w żelaznym uścisku systemu kastowego, który stanowi szkielet państwa, porządku publicznego, społeczeństwa, religijności, nawet wyobrażeń estetycznych. Tu nie było i nadal nie ma żadnego postępu. Rząd chwali się, że indyjskie uniwersytety co roku opuszcza po ↦

kilkadziesiąt tysięcy absolwentów medycyny, ale nie przyzna, że większość młodych lekarzy nadal odmawia leczenia pacjentów z kasty dalitów, zwanych także niedotykalnymi. Gdy trzeba przeprowadzić sekcję zwłok, nagle okazuje się, że nikt nie potrafi. A oczywiście chodzi tylko o przekonanie, że przedstawiciele wyższych kast nie mogą mieć kontaktu z wydzielinami ludzkich zwłok!

Na dźwięk ostatniego słowa, tym razem rzuconego gniewnie w salę, Anglicy przy sąsiednim stoliku na moment przestają licytować się na litry wypitego wczoraj piwa. Arundhati Roy, jakby zawstydzona, szybko schyla się do torebki, wyjmuje telefon i przerzuca palcem zdjęcia w galerii.

– Przeczytaj, to krótkie – zachęca, podsuwając pod nos fotografię notki z anglojęzycznej gazety indyjskiej, poświęconej morderstwu rodziny na prowincji. – Zwróć uwagę na styl tej narracji. O zabitej rodzinie piszą jak o zwierzętach hodowlanych, które trafiły do rzeźni. A wiesz czemu? Bo to byli muzułmanie. Takie wzmianki w naszej prasie są już regułą, nie wyjątkiem.

Bo te nowe Indie, które się śnią politykom BJP, mają być monoetniczne. W kraju, w którym aż 23 języki mają status urzędowego, a ludność na co dzień używa ponad dwustu, osnową nowego społeczeństwa ma być *hindutva*, czyli hinduskość, koncept teoretycznie areligijny, w rzeczywistości stawiający jednak w centrum życia kraju wszystko, co wiąże się z kulturą i historią hindusów – najliczniejszej indyjskiej grupy wyznaniowej. Hindutvę wymyślił Vinayak Damodar Savarkar, XX-wieczny pisarz, prawnik i działacz na rzecz niepodległości kraju, sam wprawdzie niewierzący, jednak do cna przesiąknięty przekonaniem, że istotą indyjskości jest właśnie to, co najbliższe tradycji i kulturze dominującego wyznania. Dla Savarkara różnice między muzułmanami i hindusami były tak duże, że doprowadziły go do przekonania, iż zamieszkujący subkontynent indyjski wyznawcy Proroka powinni mieć możność stworzenia własnego państwa, co potem pomogło w narodzinach Pakistanu. Ale to przeszłość. Współcześni wyznawcy hindutvy, jak mówi Roy, skłonni są jednak raczej odbierać muzułmanom prawa, niż je dawać. Uchwalone niedawno przepisy, które praktycznie zamykają im drogę do pozyskania indyjskiego obywatelstwa, nie wzięły się przecież z ideologicznej próżni.

ARUNDHATI ROY:

Nie zgadzam się na degradowanie moich książek do głosu w sporze politycznym. Literatura jest zbyt piękna, by być wyłącznie narzędziem.

– Modi i jego świta uczynili hipokryzję podstawowym narzędziem polityki. Kiedy mówią o jednoczeniu, mają na myśli wykluczanie, gdy nawołują do postępu, zaciągają kolejny hamulec. Miliony Indusów to rozumieją i trzymają się od tych głupców z daleka. Niestety, mówimy o kraju, w którym setki milionów ludzi nadal wegetuje na granicy bezpieczeństwa biologicznego, gotowi desperacko zaufać każdemu, kto obieca mi choć minimalną poprawę losu.

Lekcja słuchania

Kariera Arundhati Roy paradoksalnie mogłaby stanowić doskonały dowód na to, że Indie zmierzają w dobrym kierunku. Jej książki przetłumaczono na ponad 40 języków, a sprzedaż zapewniła autorce finansową niezależność. Lista zaproszeń na festiwale literackie wydłużyła się do tego stopnia, że pisarka większość musi odrzucać. Jeśli sponsorem wydarzenia jest jakaś duża korporacja, czyni to, jak zapewnia, z perwersyjną rozkoszą, bo wielki biznes jej zdaniem robi z twórcą to samo, co robi z przyrodą, czyli zatruwa, bezwzględnie eksploatuje i porzuca.

– Ale moja historia dowodzi raczej tego, że w Indiach o wszystkim decyduje nadal system kastowy – oponuje Roy. – Ojciec był wprawdzie hindusem, ale matka wychowała się w rodzinie chrześcijańskiej. Kiedy od niego odeszła, bo od rodziny wolał alkohol, znalazłam się poza ramami systemu kastowego. Gdyby nie ten w gruncie rzeczy szczęśliwy zbieg okoliczności, wszystko, co było potem, czyli studia architektoniczne, praca w filmie i wreszcie literatura, byłoby znacznie trudniejsze albo wręcz niewykonalne.

Może to nie najszczęśliwszy moment na pytania o trudne dzieciństwo, bo kelner właśnie podał nam obiad, lepszego jednak nie będzie. Arundhati sprawia jednak wrażenie zahartowanej do opowiadania na ten temat. Znad talerza z sałatką z polędwicą wołową („tylko proszę, nie pytaj mnie, jak to możliwe, że Induska je wołowinę") Roy snuje więc opowieść o dzieciństwie w Kerali na południu Indii, o rodzinie zdominowanej przez silne kobiety, którym los nie pozwolił zdecydować, czy naprawdę chcą być silne, i wreszcie o wiejskiej ciszy, w której młoda Arundhati nauczyła się słuchać.

– Jeżeli nigdy nie widziałeś indyjskiej wsi w nocy, nie uwierzysz, jak tam potrafi być wtedy cicho i ciemno – zapewnia. – Lubiłam leżeć w łóżku z zamkniętymi oczami i wyłapywać najmniejszy szum.

Dorosła Arundhati wciąż wyłapuje dźwięki, obrazy i wrażenia, z których komponuje potem opowieści. Rozmazane wieczorne odbicia twarzy przechodniów na lśniących od nowości karoseriach przejeżdżających obok aut. Odgłos bosych stóp grzęznących w monsunowym błocie. Arabeski gałęzi uschłych drzew na tle popołudniowego nieba. Trudno oprzeć się wrażeniu, że zanim powieści Roy wydarzą się na kartach książki, wcześniej dzieją się w jej życiu.

– Nie jestem dokumentalistką, mimo że opisuję rzeczywistość, która niestety istnieje – odpowiada pisarka. – Moje książki mają wymiar publicystyczny, a może i polityczny, ale nie zgadzam się na degradowanie ich wyłącznie do głosu w sporze politycznym. Literatura jest zbyt piękna, by być tylko narzędziem.

Szkopuł w tym, że to pozaliteracka aktywność pisarki narzuca jej twórczości tak zaangażowany kontekst. Oprócz „Boga rzeczy małych" z 1997 r. i wydanego 20 lat

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

Możesz regularnie wspierać finansowo Fundację Tygodnika Powszechnego nie wydając ani grosza. Jak to zrobić? Szczegóły pod adresem **powszech.net/wspieram**

faniMani.pl

EDYTA DUFAJ / CONRAD FESTIVAL

Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Janowska i Arundhati Roy. Conrad Festival 2018

później „Ministerstwa niezrównanego szczęścia" Roy ma na koncie kilkanaście mocnych esejów, w których na pierwszy plan wychodzą sprawy społeczne: traktowanie kobiet, relacje kastowe, stosunek do mniejszości seksualnych i innych wyznań, a także korupcja, przestępczość i bieda. Jest wreszcie jej obecność w mediach, której nie da się nie zauważyć. Pozywano ją już za nawoływanie do buntu, a za obrazę sądu trafiła nawet na 24 godziny do Tihar, największego więzienia w Azji. W walce z korporacjami, które niszczą środowisko, przyjęła zaproszenie od maoistowskich partyzantów, którzy dla części indyjskich elit patrzących krzywo na BJP są już zwykłymi terrorystami.

– Co tam robiłam? – Roy odkłada widelec. – To, co powinnam. Czy wygodniej byłoby mi pozostać wrażliwą panią od ładnych książek? Nie. Trudniej jest milczeć, gdy się widzi to, co ja.

Kretynizm, nie totalitaryzm

– Mimo wszystko nie czuję zagrożenia – zapewnia. – Dla komfortu psychicznego nie czytam wprawdzie tego, co wypisują na mój temat w internecie, ale nie jestem w stanie odgrodzić się od tego całkowicie. Wiem, że chcieliby mnie przywiązać do rakiety i wystrzelić w stronę Pakistanu, że są tacy, którzy fantazjują o podrzynaniu mi gardła i gwałceniu. Ale nadal mieszkam tam, gdzie mieszkam, nie muszę się ukrywać, nie korzystam z ochrony. Myślę, że władzy nie zależy na eskalacji, bo robiąc mi krzywdę, bardziej sobie zaszkodzi, niż pomoże. Realnym zagrożeniem mogą być polityczni fanatycy oszołomieni rządową propagandą. Dlatego czasem, kiedy czuję, że kolejnym wystąpieniem czy publikacją wkurzyłam ich wyjątkowo mocno, pozwalam sobie na chwilę milczenia. Jeśli oni uważają to za dowód mojej słabości, niech będzie, że wygrali. Nie interesuje mnie ich zdanie. Partnerami w dyskusji są dla mnie moi rodacy, nie politycy.

Poza tym, jak przyznaje Roy, to także kwestia bilansu strat i zysków. Status literackiej gwiazdy na politycznym wygnaniu z pewnością zapewniłby jej w miarę miękkie lądowanie w Londynie, Paryżu lub na którymś z prestiżowych uniwersytetów amerykańskiej Ivy League. Ale czy równie łatwo dałoby się dostroić do nowych realiów częstotliwość pisarskiego próbkowania, skalibrowaną w naturalny sposób pod rytm drgań indyjskiej rzeczywistości?

– Wiem, że nie chcę tego sprawdzać – mówi Roy. – Moje pisanie to ciągły protest przeciwko pewnym realiom, mimo że właśnie je uważam za niejako naturalny stan świata. Mogę nie zgadzać się na uliczną biedę, ale nic nie poradzę na to, że kiedy mówię „ulica", przed oczyma nie staje mi nowojorska Piąta Aleja, lecz wiejska dróżka gdzieś w Kerali, na uboczu której walają się sterty śmieci rozgrzebywane przez bezpańskie psy.

Być może nadejdzie moment, gdy trzeba będzie wybierać. Na razie władze w Delhi nie chcą jednak dopisywać do życiorysu Arundhati Roy dysydenckiego akapitu, jakby w obawie, że pomogą tym w jej literackiej karierze albo podkreślą trafność jej diagnoz: – Gdyby byli mądrzejsi, wiedzieliby, że na emigracji kogoś takiego jak ja spotka prędzej czy później uwiąd. Ale oni naprawdę nie są mądrzy. Czasem pytają mnie, jak to jest być twórcą w kraju rodzącego się totalitaryzmu. Odpowiadam wówczas, że polityczny ustrój Indii to dziś nie totalitaryzm, lecz kretynizm.

Oczywiście, próbują. Dyktatury ciemniaków, jak mówi Roy, zachwycona świeżo poznanym terminem Stefana Kisielewskiego, na całym świecie łączy dwuznaczny stosunek do twórców i intelektualistów, którymi autorytarna władza z jednej strony gardzi za oderwanie od rzeczywistości i których słusznie uważa za element potencjalnie niebezpieczny dla swych politycznych knowań, z drugiej jednak strony nie potrafi oprzeć się ich urokowi. Działacze BJP, w większości wywodzący się z ludu, rozumieją, jak ważną rolę w komunikacji pełni pozornie ludyczne, beztroskie, wiecznie roztańczone Bollywood, które w rzeczywistości stanowi wielki pas transmisyjny wartości. Większość twórców indyjskiej fabryki snów wciąż stara się grać z władzą w taki sposób, by zapewnić ją o politycznej neutralności i zejść z linii potencjalnego konfliktu. Ze środowiskiem filmowym Roy ma nadal dobry kontakt, jej mąż jest reżyserem, a ona sama ma na koncie kilka scenariuszy, w tym obraz „In Which Annie Gives it Those Ones" z 1989 r., w którym debiutowało dzisiejsze bożyszcze Bollywood, sam Shahrukh Khan (pisarka zagrała nawet w tym filmie epizodzik).

– Nie sądzę, by decydenci Bollywood dali się władzy ogłupić, obawiam się natomiast, że mogą dać się przekupić – kwituje Roy. – Ci ludzie zbyt twardo stąpają po ziemi, by nie rozumieć, że Indie, o których mówi Modi, nigdy nie istniały i nigdy nie powstaną. Istotą Indii zawsze była wielość i kontrast. Jeżeli coś jest jednością i jednolitością, przestaje być Indiami.

©℗ MAREK RABIJ

Kto zamawia ruskie?

ALBERT ZAWADA / AGENCJA GAZETA

KONSTANTY USENKO, MUZYK I PISARZ:

Modelem rosyjskiego świata jest sinusoida. W powietrzu czuć trudne do określenia napięcie, ma się wrażenie, że może być dużo gorzej, ale też dużo lepiej.

MICHAŁ SOWIŃSKI: Po lekturze Twoich „Buszujących w barszczu" muszę zapytać: muzyka objaśnia nam świat?

KONSTANTY USENKO: Jeśli traktuje się ją poważnie, wraz z poezją, losem ludzi, którzy to stworzyli, i z miejscem oraz czasem, w którym żyją – to na pewno tak. Muzyka jest kalejdoskopem odzwierciedlającym przepływ fal kulturowych, ich nieustanną interferencję. Uzmysławia, jak fascynujący jest wpływ różnych etnosów całego świata na siebie nawzajem. Pokazuje, że ludzie na całym świecie nie różnią się bardzo między sobą, mają te same emocje.

Ponad podziałem na Wschód i Zachód?

Najczęściej służy on tylko dzieleniu ludzi na lepszych i gorszych. Bezsens tego wschodnio-zachodniego relatywizmu polega przede wszystkim na tym, że każdy kraj jest „na wschód" albo „na zachód" od innego. Polska, która lubi uważać siebie za zachodnią, dla Niemców jest wschodem. Kolejny oklepany termin to „kultura europejska". Niby wszyscy wiedzą, o co chodzi, ale czemu do jednego worka ładuje się jedne narody, a inne już do niego nie pasują – według jakiego klucza? Chrześcijańskie tradycje to dziś tylko fasada, bo cały świat i tak bije pokłony i składa ofiary Złotemu Cielcowi.

Nie widzę bliźniaczych podobieństw pomiędzy kulturami na przykład niemiecką i hiszpańską, grecką i norweską – i nie chodzi tu tylko o specyfikę północ-południe. Widzę więcej wspólnego chociażby między grecką i turecką, albo polską i rosyjską, ale to już wbrew politycznej euronarracji. Nie lubię tych „wspólnych mianowników" tworzonych na siłę. Wolę myśleć o świecie jako kalejdoskopie i płynnym zmienianiu się krajobrazów podczas podróży, bez naczelnej roli granicznych słupków.

A słowo „Rosja"? Można w ogóle uczciwie mówić o takim bycie?

O Rosji można mówić jako o osobnym kontynencie ze względu na jej rozmiar, dlatego coraz częściej słychać tę narrację o Eurazji – i nie musi mieć to zawsze z góry określonego kontekstu politycznego. Ale co wspólnego ma Jakucja z Dagestanem, Buriacja z Karelią, Czuwaszja z Czukotką? Łączy je tylko bycie podmiotem Federacji i to, że wszyscy posługują się rosyjskim. W Polsce niewiele się o tym wie. Kiedyś, w czasach Związku Radzieckiego, orientacja była jeszcze słabsza: Azera, Estończyka, Mołdawianina czy Kirgiza określało się po prostu jednym słowem „Ruscy".

To, że wszędzie zbudowano podobne blokowiska, nie ma nadrzędnego znaczenia. „We własnym kraju jesteśmy tury-

KONSTANTY USENKO (ur. 1977) jest pisarzem i muzykiem. Związany z szeroko pojętą sceną niezależną, członek zespołów Super Girl Romantic Boys i 19 Wiosen. Dziennikarz zajmujący się tematyką społeczno-kulturalną, współpracował m.in. z pismami „Lampa" i „Nowa Europa Wschodnia" oraz z portalem dwutygodnik.com. Autor książki „Oczami radzieckiej zabawki. Antologia radzieckiego i rosyjskiego undergroundu". Właśnie ukazała się jego książka „Buszujący w barszczu" (Czarne 2018).

stami" – mówi jeden z artystów opisywanych przeze mnie w książce. Zredukowanie tego ogromu do jakichś ogólnikowych analiz jest fizycznie niemożliwe – a jest to błąd popełniany przez większość publicystów uważających się za „znawców tematu". Lepiej zajmować się wybranym wycinkiem świata, który cię interesuje – jeśli interesuje naprawdę.

Jesteś związany zarówno z Polską, jak i Rosją...

Tak, ale wreszcie po latach nauczyłem się do obu krajów też dystansować. Traktowanie wszystkich na równych prawach to klucz do wewnętrznego spokoju i higieny psychicznej. Wady nie przysłaniają zalet, zalety wad, i bardziej widoczne są podobieństwa niż różnice. A gdy mówi się o różnicach, może być to nawet inspirujące.

Jakie są te nieoczywiste podobieństwa?

Chciałbym napisać o fajnych, bo te niefajne zbyt często brudzą nam obiektyw. Podobne natężenie emocjonalne, romantyzm, głęboki czarny humor, mistycyzm, poczucie absurdów codzienności, wciąż jeszcze myślenie w kategoriach „my" częściej niż „ja" – chociaż to ma swoje dobre i złe strony. Słowiańskość to nie tylko wóda i biesiada, ale pewien rodzaj czułości, związek z naturą czy duchami lasu na poziomie spirytualistycznym, wytępiony przez religię zinstytucjonalizowaną, zwłaszcza w Polsce. W Rosji z kolei silny jest pierwiastek nomadyzmu, którego Polska nie zna, ale zna go dla przykładu Turcja. No i jeszcze szamanizm, elementy pogańskiej Północy, wspólny element z nordycką Skandynawią.

Piszesz też dla Rosjan?

Teraz już tak, od ostatniej książki. Zwłaszcza ostatni rozdział „Buszujących w barszczu", poświęcony rosyjskiemu feminizmowi, jego historii i współczesności, przedmiotowemu traktowaniu kobiet, kulturze gwałtu, niekończącej się spirali przemocy, jej roli w wychowaniu mężczyzn. O przemocy wreszcie mówi się głośno, także w Rosji. To dla mnie najważniejsza zmiana mentalna w nowym pokoleniu. Większość tych tematów tak samo dotyczy i Polski. To rzeczy dla mnie ważniejsze niż wieczne babranie się w historii tworzonej przez żołnierzy, jednych, drugich, trzecich czy dziesiątych. „Żołnierzem się nie rodzisz, żołnierzem – umierasz" – śpiewała Grażdanskaja Oborona.

Skoro istnieją podobieństwa, to czemu nie mówić o czymś takim jak kultura środkowo- czy też wschodnioeuropejska?

Wydawałoby się, że środek ma spokojniejszy klimat niż wschód, ale każdy przypadek rozpatrywałbym oddzielnie. Dla przykładu, Czechy to bardziej kultura środka, choć nie wyparli wielu źródłowo słowiańskich cech, wypartych przez Polaków pod wpływem Rzymu.

A Polska to raczej rzymskokatolicki bliski wschód strefy umiarkowanej (*śmiech*). Można żartować, ale widać, jak te wszystkie podziały są umowne. To ciekawe tematy i można drążyć je w nieskończoność, pod warunkiem, że nie stawia się kategorycznych granic. Poza tym krajobraz wszędzie przekształca się przez migracje. Wietnam, Białoruś, Indie, Ukraina – polskie miasta się dziś zmieniają. A Rosja to zawsze był wielokulturowy tygiel. Warszawscy Wietnamczycy urodzeni w latach 90. i moskiewscy Kirgizi czy Uzbecy urodzeni w tych samych latach wzbogacają dziś klimat tych miast. Wszędzie coś się dzieje i te wpływy nigdy nie są jednostronne. Kiedyś Berlin się zmienił przez tureckich gastarbeiterów, a Turcja też zmieniała się przez wpływy niemieckiego 1968 roku...

A co z wolnościowymi utopiami lat 60.?

Są dziś w odwrocie, bo nie wiedzą, co zrobić z realiami XXI wieku. Wielu „politycznie poprawnych" w ogóle nie potrafi rozmawiać o tym, że przyczyną pospolitego rasizmu często jest seksizm. I że w walce z dyskryminacją może pomóc tylko odgórna, twarda, planowa antyseksistowska i antyprzemocowa edukacja od podstaw – dotycząca lokalsów i przyjezdnych tak samo, bez wyjątku. Tu akurat granice powinny być bardzo konkretnie wytyczone. Odklejony akademicki dyskurs niespecjalnie tu pomoże, tak samo jak nazywanie wszystkich wystraszonych, niedoinformowanych i sfrustrowanych „naziolami". Trzeba intensywnie myśleć, co z tym wszystkim robić i jak – to jedno z największych wyzwań dzisiaj.

W książce rusofobię nazywasz odmianą zwykłego rasizmu.

Rasizm to rasizm – jeśli oceniasz ludzi według ich etnicznego pochodzenia, jesteś rasistą i tyle. Ale problem jest bardziej skomplikowany. „Rusofobię" w oficjalnej rosyjskiej narracji uwielbia się odmieniać przez wszystkie przypadki i – tak samo jak „antysemityzm" w Izraelu – ma usprawiedliwiać współczesną politykę tych krajów. Albo w wersji operetkowej, jakaś fantomowa „polonofobia" z „Gazety Polskiej" – fobie w starciu z fobiami, jakby wszystkich na świecie zajmowały polskie problemy.

Warto pamiętać jednak, że samo słowo „fobia" oznacza strach – więc czy walka ze strachem będzie efektywna, jeśli będzie oznaczała tylko walkę z bojącymi się? Te polskie fobie są na rękę tylko tym, którzy wolą przedstawiać Polskę jako krzyczącą i wygrażającą pięściami wariatkę, której nie da się traktować poważnie. Różne gazety i stacje telewizyjne lubują się w nakręcaniu fobii i podsycaniu konfliktów, ale na szczęście w sieci istnieje też silny nurt zupełnie przeciwny. Dobrze, że nie ma już informacyjnej izolacji, jak kiedyś – że jest fizycznie niemożliwa. Może niektórzy mogą za nią tęsknić w kontekście powstawania unikalnych zjawisk kulturowych...

Ale ten temat też już jest dziś świadomie rozpracowywany przez nowe pokolenie bez kompleksów, które nie chce tylko bezmyślnie kopiować aktualnych światowych trendów, jak robiła to popkultura w latach 90. To jasna strona zgłębiania własnej tożsamości.

Jak internet wpłynął na funkcjonowanie kontrkultury?

Przede wszystkim dał głos regionom i sprawił, że multimedialność stała się normą. Niszowy zimnofalowy zespół z Syberii może dostać zaproszenie na koncerty do Chile i ma już tam wielu fanów. Dla ↦

↦ porównania – w latach 90. najważniejsze garażowe składy tych czasów z Moskwy i Petersburga nie wiedziały nawzajem o swoim istnieniu.

Z perspektywy rosyjskich artystów Polska jest istotnym punktem odniesienia?

Nie jest. Kiedyś, w latach 60., była – jako okno na Zachód wśród „demoludów", zwłaszcza w sensie obyczajowym – w kontekście filmów. Dziś zainteresowanie Polską to niszowe hipsterskie tematy albo wąskie subkulturowe środowiska. Dla przykładu postpunkowe i zimnofalowe, w których uwielbia się album Siekiery „Nowa Aleksandria".

Dlaczego akurat ten nurt?

Jesienna melancholia, zdegradowane postprzemysłowe pejzaże, zimnowojenne lęki czy tęsknota za „leśnym spirytualizmem" to wspólny emocjonalny kod obu krajów. Nie trzeba nawet rozumieć tekstów piosenek. Polska muzyka lat 80. robi wrażenie w Rosji, jest źródłem fascynacji, ale też zazdrości – w sensie poziomu technicznego i jakości nagrań, jakie powstawały wtedy w Polsce. W ZSRR prawdziwie garażowe zespoły nagrywały się w domach, metodą lo-fi. Z kolei polskie lata 60. kojarzyły się Rosjanom z czymś radosnym, lekkim, swobodnym i szarmanckim.

Czym się to objawiało?

Radzieckiej inteligencji imponował pierwiastek osobistej wolności i godności, szczególnie widoczny w postaciach kobiecych w polskim kinie. Większa wolność obyczajowa i wyemancypowanie, ale z nutą liryczno-romantyczną, której z kolei brakowało w produkcjach z Zachodu. Polska szkoła plakatu, literatura (najwięcej maniaków twórczości Stanisława Lema jest w Rosji). Płyty winylowe Niemena i Breakoutu do dziś cieszą się dużym wzięciem na rosyjskich pchlich targach, barachołkach. Komunikacja muzyczna obu krajów nie dotyczy tylko inteligencji wychowanej na pieśniach bardów, Wysockiego i Kaczmarskiego. „Biełyje Rozy" Łaskawego Maja, żeniące muzykę chodnikową z dyskotekowymi rytmami italo, stały się podwalinami dla białostockiego disco polo. Okazuje się też, że wśród rosyjskich stadionowych chuliganów popularny jest polski osiedlowy rap, chociażby Peja.

KONSTANTY USENKO:

Nie jestem w stanie wejść w skórę autorów książek, którzy roszczą sobie prawo do bycia opiniotwórcami, a są wyłącznie posiadaczami wiz turystycznych. Dla mnie to moralnie niedopuszczalne.

Po co nam dziś rosyjska kontrkultura lat 80. i 90.?

Najważniejsze by wiedzieć, że istniała – sam ten fakt był dla wielu szokiem, gdy ukazywała się książka „Oczami radzieckiej zabawki". Gdy posiadło się informacje na ten temat, trudniej połyka się popularne w Polsce kity o „genetycznych właściwościach niewolniczych kacapskich dusz" czy „społecznym monolicie Kraju Rad". Można porównywać rosyjskie podziemie muzyczne z polskim undergroundem, dostrzegać podobieństwa, tak jak w przypadku Kina i Kryzysu, czy wczesnych 19 Wiosen i Słomianych Jenotów. Jestem emocjonalnie zaangażowany w to, o czym piszę, dlatego trudno mi obiektywnie oceniać.

Kontrkultura wciąż ma ostrze polityczne?

Zależnie od samego pojęcia „polityczności". Ostrze polityczne mogą mieć dziś w Rosji nawet popowe hity pisane przez nastolatki dla nastolatek, dające im poczucie własnej godności. Chodzi o świadomość wspólnego doświadczenia i efekt ulatniania się strachu. Młodzi są totalnie zmęczeni tym wiecznym gadaniem o rzekomym braku alternatyw dla rzeczywistości, w której żyją. Oficjalną politykę od dawna tworzą copywriterzy, jak w „Generation P" Wiktora Pielewina.

Kontrkultura ma siłę przebić się przez te copywriterskie obrazki?

To przysłowiowe „bujanie łódką" ma obudzić świadomość, przebudzić konformistów z letargu, zwrócić uwagę na to, że w tej łódce jest pełno dziur. Modelem rosyjskiego świata jest sinusoida. W powietrzu czuć trudne do określenia napięcie, ma się wrażenie, że może być dużo gorzej, ale też dużo lepiej. To wywołuje permanentną huśtawkę emocjonalną. Ludzie mają poczucie życia w lunaparku pełnym kolorowych atrakcji, za fasadą którego dzieją się rzeczy okrutne. Wszystko jest wielowymiarowe, nie da się tego opisać przy pomocy jednego wektora „lepiej-gorzej". Nawet najbystrzejszy obserwator może się w tym pogubić. Wszędzie czają się pułapki, a kody, którymi się posługujemy, trzeba ciągle aktualizować.

Jak zatem pisać o Rosji, skoro każdy język opisu od razu staje się nieaktualny?

Najlepiej, gdy każdy pisze o tym, co widział na własne oczy, albo o tym, czego doświadczył na własnej skórze. Dlatego wolę dawać głos ludziom, o których piszę, i pokazywać, jak zmieniała się ich optyka wobec rzeczywistości. Nie daję sobie praw wszechwiedzącego analityka, a tym bardziej opiniotwórcy – skoro nigdy tam nie mieszkałem. Nie jestem w stanie wejść w skórę autorów książek, którzy roszczą sobie prawo do bycia opiniotwórcami, a są wyłącznie posiadaczami wiz turystycznych. Dla mnie to moralnie niedopuszczalne. Najłatwiej jest opisać nędzę i hardkor, z nutą szydząco-lekceważącą, udającą współczucie. Tak samo w Warszawie lubi się opowiadać chociażby o Łodzi – turpistyczna fotogeniczność ruin i patologii, nic poza tym, zero głębszej refleksji. Turystyczno-survivalowa, europocentryczna bonanza w literaturze faktu – nie trawię czegoś takiego. Równie dobrze można dla efektu obfotografować bezdomną staruszkę pod własną klatką schodową.

Ale filmiki z hardkorami w stylu „only in Russia" też mogą być czymś budującym tożsamość.

Z tej stylistyki uczyniono markę, podobnie jak ze stylu postradzieckiego gopnika [*gopnik* to slangowe określenie przedstawiciela subkultury dresiarskiej – red.], wystylizowane dresiarstwo weszło na salony w Mediolanie i Paryżu. Chuligański sznyt miał zyskać przyjazne oblicze, niczym postać wilka z „Wilka i zająca". Zrobił się z tego wytarty schemat, ale ranga kultury blokowisk została podniesiona, co w rezultacie pozwoliło wielu ludziom do tej pory wykluczonym wyzbyć się kompleksów i przaśności, największego z kulturowych balastów. Przaśność to w młodym pokoleniu z prowincji cecha najmniej pożądana – nowoczesna kultura ludowa się jej wstydzi. ©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

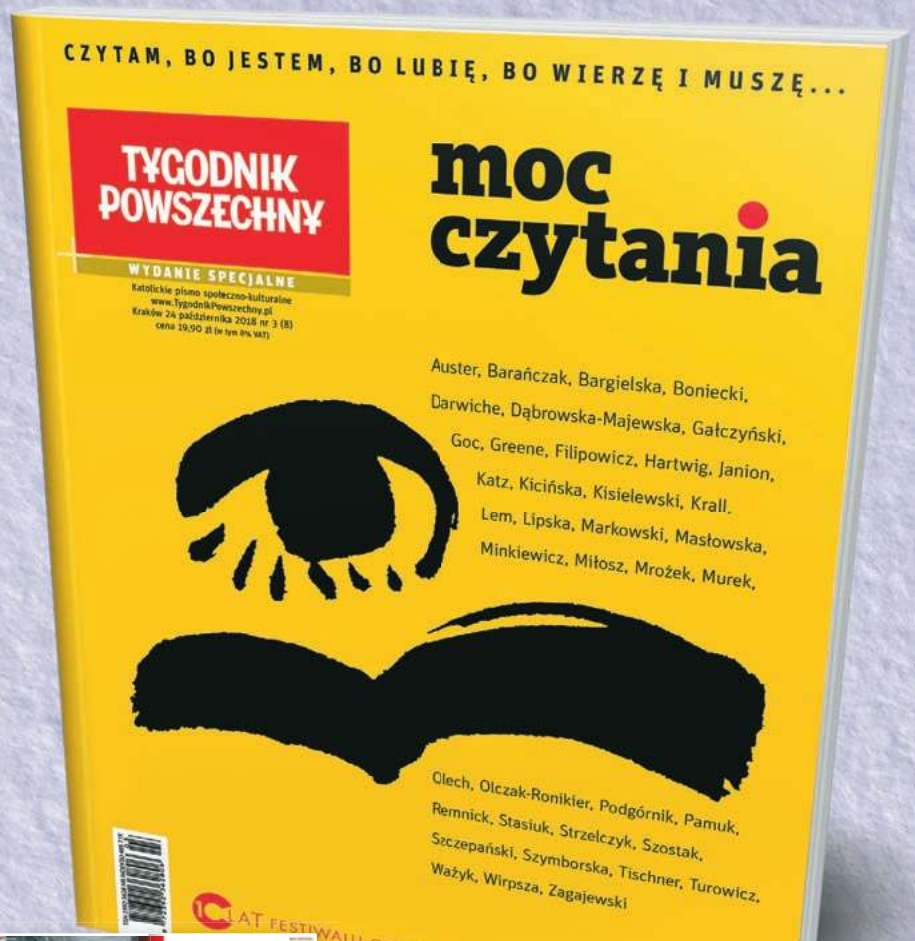

Najlepsze teksty o czytaniu i do czytania

Auster, Barańczak, Bargielska, Boniecki, Greene, Filipowicz, Janion, Kisielewski, Krall, Lem, Lipska, Markowski, Masłowska, Miłosz, Mrożek, Murek, Olczak-Ronikier, Olech, Pamuk, Stasiuk, Szczepański, Szostak, Szymborska, Tischner, Turowicz, Zagajewski i inni w towarzystwie grafik Czerniawskiego, Januszewskiego, Minkiewicza i Wasilewskiego

Potrzebujesz więcej powodów? Weź, czytaj!

„Moc czytania"
już w salonach prasowych i punktach z dobrą prasą

10 LAT | TYGODNIK POWSZECHNY | zawsze razem | CONRAD FESTIVAL

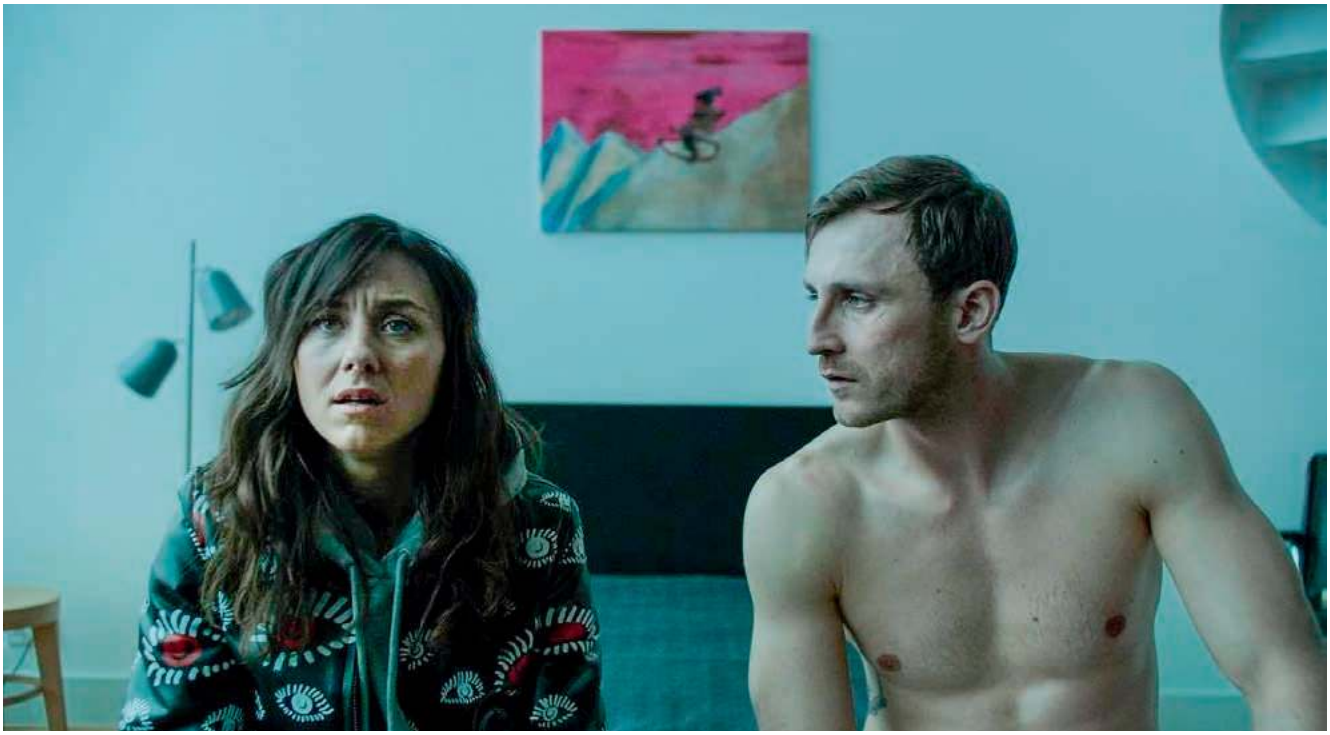

MATERIAŁY PRASOWE

Marta Malikowska i Kamil Nożyński w serialu „Ślepnąc od świateł”

Bożonarodzeniowa apokalipsa

JAKUB MAJMUREK

Mamy wreszcie nie tylko znakomity serial, ale też jedno z najważniejszych wydarzeń kulturalnych 2018 r. w Polsce. Nasza telewizja od bardzo, bardzo dawna nawet nie śniła o takim poziomie.

Serial „Ślepnąc od świateł” to adaptacja powieści Jakuba Żulczyka, ale już od pierwszego odcinka bardziej niż literaturę w serialu widać kinofilię. Produkcja wyreżyserowana przez Krzysztofa Skoniecznego jest dziełem kogoś, kto kocha kino. I nie boi się czerpać z jego skarbca.

„Prawdziwy artysta zawsze kradnie od innych, nie składa im hołdów” – powiedział kiedyś największy złodziej współczesnego kina, Quentin Tarantino. Skonieczny z uroczą bezczelnością, bez lęków i kompleksów, realizuje w swoim serialu tę zasadę. Dosłownie cytuje scenę ze strzykawką i narkotykowym zgonem z „Pulp Fiction” i motywy z „Opętania” Żuławskiego. Duch kina tego ostatniego twórcy – z jego energetycznym nadmiarem, wizyjną gorączką, zamiłowaniem do dość poślednich motywów – przenika serial, nadając mu wyjątkowy w historii polskiej telewizji klimat.

Tydzień z życia dilera

Twórcy wszystkimi tymi odniesieniami żonglują z wirtuozerią. „Ślepnąc od świateł” nie jest jednak tylko kolażem cytatów i parafraz. Kalejdoskop filmowych zapożyczeń układa się w przekonującą opowieść o współczesnej Warszawie oraz rzuconym w jej piekło bohaterze. Medium, przez jakie twórcy opowiadają tę historię, jest konwencja kina gangsterskiego. Tak jak w produkcjach z pierwszej dekady transformacji, przestępcze podziemie staje się zwierciadłem, w którym przegląda się Polska drugiej dekady XXI w.

Naszym przewodnikiem po stołecznym półświatku jest Kuba. Gangster bardzo szczególny. Nie wygląda jak wykarmiony anabolikami kark plujący słonecznikiem pod blokiem, ale jak elegancki przedstawiciel wielkomiejskiej klasy średniej. Mówi poprawną, literacką polszczyzną. Wysławia i zachowuje się jak inteligent, nie „człowiek z miasta”. Pasuje raczej do modnego klubu, przeszklonego biura w odnoszącej sukcesy korporacji branży kreatywnej niż do aresztu śledczego czy kibolskiej ustawki. Widać to szczególnie na tle otaczających Kubę gangsterów – psychopatycznego, bezmyślnie brutalnego Stryja i plebejskiego jak elektorat Andrzeja Leppera bossa Jacka (uwaga przed dalszą lekturą: będą spoilery!).

Kuba ze swoim sposobem bycia budzi zaufanie ludzi, którzy na widok Stryja uciekaliby w popłochu. Sprzedaje kokainę, obsługując sektor premium. Wśród jego klientów są poseł rządzącej partii („proszę pozdrowić prezesa” – mówi mu Kuba po sfinalizowaniu transakcji), telewizyjny celebryta, żona bogacza, dzieci zamożnych rodziców, klientela najlepszych stołecznych klubów.

Na obsłudze elit Kuba świetnie zarabia i cieszy się specjalnymi względami Jacka. Wierzy, że jego wyniki sprzedaży, inteligencki sznyt, spryt, opanowanie i samokontrola (Kuba nie pije i nie bierze rozprowadzanego przez siebie towaru) dają mu specjalną ochronę przed właściwymi

dla jego zawodu niebezpieczeństwami. Zarówno tymi pochodzącymi ze strony państwa i wymiaru sprawiedliwości, jak i samego przestępczego półświatka. Ten w „Ślepnąc od świateł" przedstawiany jest bez romantycznej otoczki. Przestępcy nie kierują się lojalnością i honorem, są skrajnie egoistyczni, irracjonalnie brutalni – dawni przyjaciele w każdej chwili mogą skoczyć sobie do gardeł.

Serial przedstawia tydzień z życia dilera: w jego trakcie walą się wszystkie mury, za pomocą których – jak wierzył – odgrodził się od obscenicznego zła, chaosu i brutalności świata, w jakim funkcjonuje. Zło, z którym Kuba, jak się łudził, negocjował jak równy z równym, przychodzi po swoje. Okazuje się, że w cyrografie od początku były zapisane drobnym druczkiem skrajnie niekorzystne, niezostawiające pola manewru formuły.

Opowieść wigilijna

Tydzień, w którym Kubie wali się życie, kończy się Wigilią i Bożym Narodzeniem. Skonieczny wywraca na drugą stronę oswojone w polskim kinie i telewizji konwencje filmu bożonarodzeniowego. „Ślepnąc od świateł" wchodzi na ekrany, gdy w polskich kinach królują zwiastuny bożonarodzeniowych komedii romantycznych. Grudzień, choć zimowy i ciemny, jest w nich jednocześnie ciepły i przytulny. Zbliżające się święta i zimowe przesilenie to okres, gdy bohaterowie takich dzieł jak „Planeta Singli" czy „Listy do M." odkrywają znaczenie miłości i rodzinnych więzi. We współczesnej popkulturze także zsekularyzowane święta przynoszą przekształcenie świata przez miłość – nawet jeśli tylko do sylwestra.

Nic takiego nie dzieje się w produkcji Skoniecznego i Żulczyka. Tydzień oczekiwania na jedno z centralnych chrześcijańskich świąt przynosi wyłącznie chaos i rozpad. W miejsce Zbawiciela do Warszawy przychodzi Zło. Zamiast obietnicy zbawienia, narasta groźba apokalipsy. Pierwszy odcinek kończy się sceną przepięknie sfilmowanej mszy roratnej. W oświetlanym światłem lampionów, modernistycznym kościelnym wnętrzu Kuba modli się o to, by jakaś siła wyższa zesłała potop, który zatopi zdeprawowaną Warszawę, o oczyszczającą świat apokalipsę.

I faktycznie miasto, które będzie przemierzał w ciągu następnych dni tygodnia, wymaga bardzo radykalnego oczyszczenia. Skoniecznemu jak nikomu innemu przed nim udało się na ekranie pokazać Warszawę dantejską, infernalną. Każdy jest w niej na swój sposób złamany, skorumpowany, przetrącony. Narkotyki, hazard, pieniądze, seks, chciwość, głupota – każdy ma swój uruchamiający spiralę upadku przycisk. Niezależnie, po której stronie prawa stoi. Policjanci są równie brutalni i chamscy co najtwardsza grypsera. I równie nieuczciwi – Kubę chroni złamany przez hazard i alkohol skorumpowany gliniarz.

Rozprowadzana przez Kubę kokaina tworzy podziemny, mroczny krwiobieg miasta. Rzeka kokainy i towarzyszących jej brudnych pieniędzy łączy przestępcze podziemie z finansowymi, medialnymi i politycznymi elitami. Obskurne podwórka dawno nieremontowanych, proletariackich kamienic i penthouse'y w apartamentowcach. Brudne interesy ubijane na zapleczach najpodlejszych garkuchni i najbardziej wytworne salony.

Skonieczny i Żulczyk żywią się miejskimi legendami, plotkami, nagłówkami tabloidów. W fabularnych motywach z serialu bez problemu odnajdujemy prasowe doniesienia o „dilerze gwiazd", historię pewnej modnej klubowo-artystycznej przestrzeni w warszawskim Śródmieściu i inne medialne rewelacje. Twórcza alchemia zmienia te śmieciowe źródła w epicką narrację o współczesnej stolicy.

Opłacalne ryzyka

Ta narracja łatwo mogła zapaść się pod swoim ciężarem, gdyby nie panowanie przez Skoniecznego nad serialową formą. Nie było w Polsce tak dopracowanego na każdym poziomie serialu, gdzie każdy szczegół sprawia wrażenie głęboko przemyślanej decyzji artystycznej. W spójną całość składa się wszystko, od zdjęć Michała Englerta po wybór wykorzystanych w serialu piosenek – tyleż budujących atmosferę, co celnie, często cudownie ironicznie komentujących akcję.

Skonieczny nie boi się przy tym artystycznego ryzyka. Co czasami daje wręcz genialne efekty. Zwłaszcza w dwóch przedostatnich odcinkach – wątki zaczynają się domykać, ale zamiast przyspieszenia akcji i rozwiązania otrzymujemy serię niespotykanych w polskiej telewizji narracyjnych eksperymentów. Narracja zwalnia, myli widza, wkracza w coraz bardziej oniryczno-wizyjne stany, świat przedstawiony gęstnieje w halucynacyjny koszmar. W najmniej spodziewanym momencie w narrację filmu zostaje włożona „musicalowa", „teledyskowa" sekwencja, w której postaci z serialu recytują fragmenty piosenki Myslovitz. Nawet jeśli można mieć wątpliwości, czy to nie za dużo, trudno nie podziwiać bezczelnej, artystycznej odwagi.

Największym ryzykiem było obsadzenie w roli Kuby Kamila Nożyńskiego – rapera bez żadnego aktorskiego doświadczenia. Ta decyzja spotyka się z największą krytyką. Z całym przekonaniem będę jej jednak bronił. Tak, to prawda, Nożyński bywa drewniany w niektórych scenach. Czasem nie radzi sobie z podawaniem dialogów i przekazywaniem emocji. Jednak pomysł, by główny bohater funkcjonował na planie raczej jako model niż aktor ↦

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem żegnamy

Ś.† P.

prof. Jerzego Wyrozumskiego

Wielkiego Uczonego
Od roku 1958 związanego z Polskim Słownikiem Biograficznym,
a od roku 1953 członka jego Rady Naukowej i Komitetu Redakcyjnego.
Naszego wypróbowanego i niezawodnego Przyjaciela.

Rodzinie Zmarłego składamy wyrazy szczerego współczucia.

Zespół Redakcji Polskiego Słownika Biograficznego

sprawdza się doskonale. Brak ekspresji i nieruchoma twarz Nożyńskiego idealnie pasują do maski, jaką Kuba buduje, by oddzielić się od szaleństwa i przemocy świata, w którym na co dzień żyje i zarabia pieniądze. Takie ustawienie roli sprawia, że Kuba do końca pozostaje enigmą. Białym płótnem, na które każdy widz może projektować swoje marzenia, lęki i oczekiwania. Zagadką, której nie odczytujemy do ostatniej sceny.

Z tak poprowadzoną rolą Kuby kontrastuje to, jak grają pozostali aktorzy. „Ślepnąc od świateł" to festiwal aktorskich popisów. Trudno zdecydować, kto bardziej zasługuje na pochwałę. Świetny jest obecny na ekranie tylko kilka minut Jacek Beler, jako złamany przez długi i nałóg gangster Sikor. Nie ustępuje mu Janusz Chabior jako sadystyczny, iracjonalnie socjopatyczny Stryj. Eryk Lubos jako skorumpowany glina, gdzieś w obskurnym kasynie przegrywający na automacie kolejne setki złotych, przepijając ciepłą wódką, robi najlepszą robotę na ekranie od lat. Cezary Pazura jako kupujący od Kuby kilogramy kokainy telewizyjny celebryta Mariusz Fajkowski przypomina, że potrafi być znakomitym aktorem. W roli przaśnego mafijnego bossa Jacka, swojskiego jak żurek, czy wiejskie wesele, swoją klasę potwierdza Robert Więckiewicz.

Nad tymi wszystkimi kreacjami dominuje jednak rola Jana Frycza w roli mefistofelicznego gangstera Daria. To wyjście Dario z więzienia uruchamia koszmar i przynosi Warszawie chaos, odkrywa drzemiące w niej konflikty, pokłady irracjonalnej agresji i przemocy. Dario jest postacią trochę spoza tego świata, siłą czystego chaosu, jak odtwarzany przez Heatha Ledgera Joker w „Mrocznym rycerzu". Frycz wznosi się w „Ślepnąc od świateł" na wyżyny poetyckiego szaleństwa. Poza Mariuszem Treliński żaden inny reżyser nie potrafił tak uruchomić tego aktora, jak udało się to tutaj Skoniecznemu.

Nasz własny koszmar

Jak łatwo zauważyć, w tej wyliczance padają tylko męskie nazwiska. Bo faktycznie na ich tle kobiece role wypadają słabo. Postaci kobiece to niestety największy problem produkcji Skoniecznego i Żulczyka.

Była dziewczyna Kuby, modelka Paulina, wygląda jak przeniesiona z kina Pasikowskiego z początku lat 90. Główny romantyczny wątek serialu tkwi w leniwych stereotypach („zła kobieta"), które dziś jawić się mogą jako cokolwiek mizoginiczne. W przestępczym środowisku, gdzie funkcjonuje Kuba, mizoginia i uprzedmiatawiający seksizm to jedyne języki, przy pomocy których mówi się i myśli o kobietach. Zostają w nim sprowadzone wyłącznie do roli obiektów seksualnych. Z tych schematów wyłamują się jednak interesujące postaci kobiece drugiego planu, a zwłaszcza wątek relacji Kuby z jego najbliższą przyjaciółką – Paziną. Szkoda, że twórcy nie poświęcili mu więcej uwagi.

Mimo tych i innych wad – kilka zwrotów akcji można by lepiej umotywować, w kilku scenach lepiej napisać dialogi itp. – „Ślepnąc od świateł" to znakomity serial. W historii Kuby bez problemu odnajdzie się polski widz z klasy średniej, którego względnie bezpieczne, poukładane i dostatnie życie, nawet bez żadnych kontaktów z półświatkiem, też w każdej chwili może wywrócić do góry nogami kilka nieszczęśliwych wypadków. Choroba, utrata pracy czy kryzys ekonomiczny zdolne są uczynić takiej peryferyjnej metropolii jak Warszawa jeszcze więcej szkód niż gangster Dario w swoim najbardziej szalonym nastroju. Koszmar Kuby śnimy wszyscy.

Przez długi czas nasza krytyka chwaliła polskie seriale celujące w jakościową telewizję – wszystkie te „Pakty" i „Watahy" – bardziej na zachętę niż ze względu na ich realną jakość. Radykalną zmianę perspektywy przyjął „Rojst" – tu w końcu nie trzeba było zaczynać od rytualnej formuły, że „jak na polski serial, nie jest źle". Skonieczny i Żulczyk zawieszoną przez „Rojst" poprzeczkę przeskoczyli bez problemu, z dużą gracją i wielkim zapasem. To jest poziom światowej czołówki.

© JAKUB MAJMUREK

RADIO KRAKÓW

Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika".

Słuchaj nas w Małopolsce: Kraków – 101,6 FM
Nowy Sącz – 90,0 FM | Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM **www.radiokrakow.pl**

Przez dotyk

ANITA PIOTROWSKA

Ciało jest emanacją najgłębiej zakorzenionych lęków i tęsknot. Znajduje spełnienie dopiero w bliskim kontakcie z innym ciałem i tego próbują nauczyć się bohaterowie „Touch Me Not".

Podczas kręcenia tego filmu nikt nie doznał obrażeń wbrew własnej woli" – podobna informacja pojawia się czasem w napisach końcowych odnośnie do udziału zwierząt, choć oczywiście bez wzmianki na temat woli. Ponieważ jedna ze scen filmu „Touch Me Not" kręcona była w klubie BDSM, zapewne owych praktyk dotyczy rzeczona formuła. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że zwycięski film tegorocznego Berlinale wymagał od swych aktorów jedynie nadzwyczajnych fizycznych poświęceń. Kinowy debiut rumuńskiej artystki wizualnej Adiny Pintilie to eksperyment z pogranicza dokumentu i fikcji, w którym chodzi o coś znacznie więcej niż prowokowanie nagością czy seksualnymi upodobaniami. Chodzi o odzyskiwanie ciała.

Już w pierwszym ujęciu kamera sunie po ludzkiej skórze, jakby filmowała jakiś nieznany, bez mała księżycowy pejzaż. Owłosienie, znamiona, pory, żyłki, blizny, słowem: wszystko to, co nasza kultura wyklęła, a reklama określiła eufemistycznym mianem „niedoskonałości", nabiera w maksymalnym zbliżeniu abstrakcyjnego kształtu. By już za chwilę z przedmiotu kontemplacji stać się żywym, aktywnie reagującym podmiotem. Reżyserka postawiła przed obiektywem ludzi, którzy mają jakiś problem ze swoją cielesnością (czytaj: seksualnością, intymnością, bliskością), i sięgnęła, jak łatwo się domyślić, powierzchni znacznie głębszych niż skóra. Są tu zawodowcy i naturszczycy, osoby uczestniczące w zbiorowych warsztatach dotyku i wykreowane postacie, które na własną rękę poszukują kontaktu z własnym ciałem. Najchętniej przyglądając się innym ciałom.

SNH / MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z filmu „Touch Me Not”

Kimś takim jest 50-letnia Laura grana (choć tu stopień aktorskiej odwagi każe postawić duży pytajnik) przez aktorkę Laurę Benson i będąca kimś w rodzaju *porte-parole* samej reżyserki. Na podobną blokadę cierpi całkowicie bezwłosy Tómas (w tej roli znany z islandzkiego filmu „Nói albinói” Tómas Lemarquis), choć on próbuje znaleźć bezpośredni kontakt ze swoim ciałem na wspomnianych już zajęciach terapeutycznych. Bierze w nich udział także Christian, który jest w filmie po prostu sobą, czyli mężczyzną dotkniętym rdzeniowym zanikiem mięśni. Udział w filmowym eksperymencie staje się dla niego okazją, by wypowiedzieć się – całym zdeformowanym ciałem – na temat potrzeb i pragnień osób niepełnosprawnych.

Wbrew oczekiwaniom to właśnie Christian, który nie jest nawet w stanie samodzielnie się podrapać, czy transseksualna Hanna w średnim wieku czerpią więcej ze swej seksualności niż ich bardziej „kompletni” koledzy i koleżanki. Przez ostre zderzenie naturalizmu (choroby, kalectwa, płynów ustrojowych) ze sterylnymi przestrzeniami berlińskich mieszkań, kawiarń czy szpitali, przez zestawianie subtelnego dotyku i sadomasochistycznych praktyk, a także muzyki Brahmsa z industrialno-rockowymi utworami grupy Einstürzende Neubauten, Pintilie poszukuje utraconej harmonii. Ciało, ów system mechanicznie niedoskonały, jest emanacją najgłębiej zakorzenionych lęków i tęsknot. Znajduje spełnienie dopiero w bliskim kontakcie z innym ciałem, i tego próbują nauczyć się jej bohaterowie.

Autorka zdecydowała się obnażyć również siebie. Robi to jednak połowicznie, ujawniając raz po raz swoją obecność w artystycznym projekcie, najczęściej zresztą bezpiecznie zamkniętą w dodatkowym kadrze. I nawet kiedy zdobywa się przed kamerą na intymne wyznania, w przeciwieństwie do swoich bohaterów nie odważa się pójść na całość. Przeglądając się w ich bezbronnej nagości, mówi o własnym wstydzie i strachu przed byciem oglądaną czy ocenianą. Tą uczciwością Pintilie ostatecznie ratuje film, który łatwo byłoby oskarżyć o podglądactwo czy eksploatację.

Łatwo też strywializować psychoanalityczny przekaz „Touch Me Not” – że w ostatecznym rozrachunku wszystkim naszym cielesno-emocjonalnym zahamowaniom winne są nasze matki i nasi ojcowie. Można też zapytać, na ile udział w filmie jest dla amatorów autentyczną psychoterapią, na ile tylko występem przed kamerą. Paradoksalnie jednak najmocniej działa obraz Pintilie właśnie jako filmowe „ciało obce”, czyli przeniesiony do sali kinowej galeryjny koncept, albowiem traktuje on ludzką cielesność zupełnie inaczej niż voyeurystyczne ze swej natury kino. I nie chodzi tu bynajmniej o sprowadzenie ciała do funkcji artystycznego tworzywa. Co by nie powiedzieć o metodach stosowanych przez reżyserkę czy jej osobistym udziale w projekcie, stanowi on także spore wyzwanie rzucone widzowi. Jest rodzajem powiększającego lustra, które eksponuje wszelkie niedoskonałości. Nie tyle jednak ciała jako takiego, co raczej naszych dyscyplinujących wyobrażeń o nim. O tym, jak powinno wyglądać, co powinno czuć i jaką spełniać rolę. ©

TOUCH ME NOT – *reż. Adina Pintilie. Prod. Rumunia/Niemcy/Czechy/Bułgaria/Francja 2018. Dystryb. Stowarzyszenie Nowe Horyzonty. W kinach od 16 listopada.*

WARTO ZOBACZYĆ W TV [17 – 23 XI]

1. Nico, 1988

Biograficzny, reż. Susanna Nicchiarelli, Włochy/Belgia 2017, Cinemax, 18 XI, 20.00, 20 XI, 20.00, 23 XI, 21.25

Film przedstawia ostatni okres życia wokalistki The Velvet Underground i muzy Andy'ego Warhola. Po przeprowadzce do Manchesteru samotna, walcząca z uzależnieniami Nico na przekór wszystkiemu usiłuje powrócić do gry. W tytułową rolę wciela się wybitna duńska aktorka Trine Dyrholm, znana m.in. z filmu „Komuna”.

2. Beltracchi – sztuka fałszerstwa

Dokumentalny, reż. Arne Birkenstock, Niemcy 2014, Planete+, 18 XI, 21.00

Stał się bohaterem jednego z największych skandali w dziejach rynku sztuki. Bohater dokumentu przez prawie 40 lat podrabiał i sprzedawał obrazy sygnowane nazwiskami mistrzów XX-wiecznego malarstwa. Przed nami jego niezwykle barwny portret, który kryje pod spodem kolejne warstwy.

3. Genialna przyjaciółka

Serial, reż. Saverio Costanzo, Włochy 2018, odc. 1, HBO, 19 XI, 20.10, 21 XI, 23.20, HBO3, 19 XI, 21.00, 22. XI, 21.00

Pierwsza część powieściowej tetralogii Eleny Ferrante doczekała się ekranizacji. Przez osiem odcinków poznawać będziemy dzieciństwo bohaterek osadzone w Neapolu lat 50. We wspomnieniach starszej kobiety ożywa opowieść o skomplikowanej przyjaźni na tle ówczesnych przemian społecznych, politycznych i kulturowych.

4. Ballada o Busterze Scruggsie

Western, reż. Ethan Coen, Joel Coen, USA 2018, Netflix

Bracia Coenowie raz jeszcze z właściwym sobie wdziękiem podkopują mitologię Dzikiego Zachodu. Złożony z sześciu nowelek film (nagroda za scenariusz w Wenecji) pojawia się na platformie internetowej z pominięciem dystrybucji kinowej. Występują James Franco, Tom Waits i Liam Neeson.

JAN

Klata:
Ogniu, krocz za mną

Marsz, marsz, Dąbrowski... niestety, ani organizatorzy, ani policja nie ujawnili, ilu z maszerujących nosi nazwisko Dąbrowski, ale statystycznie rzecz biorąc niejednego Dąbrowskiego mógłbym spotkać, gdybym skorzystał z zaproszenia panów Winnickiego, Bosaka oraz Dudy i poszedł w ten marsz stulecia. Noga w nogę z dziesiątkami tysięcy polskich rodzin oraz kibicami-patriotami, wsławionymi zdemolowaniem własnego stadionu. Niejednego Dąbrowskiego mógłbym spotkać, ale i tak bym go nie rozpoznał z powodu, dajmy na to, twarzowej kominiarki. Albo dymu, po prostu, nie ma ognia bez dymu, a 11 listopada zjeżdżają się do stolicy gorejące serca młodych, rzutkich ludzi, którym drogi los ojczyzny.

Marsz był binarny, komplementarny, rządowo-przyszłościowy, ambiwalentny, na dwoje babka wróżyła, ale jeden przyświecał im cel. Z przodu muzeum, z tyłu liceum, czy jakoś tak, właściwie marsze dwa, duży i mały. Z tyłu szła dziarska przyszłość, z przodu świecili oczami oficjele, z ulgą odliczający każdy świąteczny krok w kierunku przytulnej limuzyny. „Tylko biało-czerwone flagi" występowały przeważnie w kolorze zielonym.

Pal sześć wspólny pochód z włoskimi faszystami, furda spopielenie flagi Unii Europejskiej czy rymowanki z Murzynami, ale dla mnie przenikliwie symboliczny był inny obrazek. Oto strażak odpalający racę w tłumie, ratownik medyczny obok, też z racą. Stulecie odzyskania niepodległości państwa, które istnieje jedynie teoretycznie. Iście smoleńskie podejście do procedur bezpieczeństwa. Nad strażakiem i ratownikiem z racami czule czuwali cudownie ozdrowiali policjanci – stróże prawa, zaiste. Lekarze, którzy wystawili im lewe zwolnienia, zapewne też świętowali naszą, polską państwowość, być może z opaskami Polski Walczącej. Państwo Permanentnie Podziemne i jego przekorni obywatele-partyzanci. Sto lat heroicznego oporu wobec procedur!

Marsz marszem, ale może przyspieszmy. W biegach występuje jakże pożyteczna instytucja „zająca": przed zawodnikiem, który ma pobić rekord, biegnie pomocny kolega, który nakręca tempo, a po jakimś czasie odpada. Mam – dość nieprzyjemne, niestety – wrażenie, że w Marszu Stulecia na przedzie kroczyły „zające", a to, co naprawdę istotne, deptało im po piętach. „Zającom" wydaje się, że przechytrzyły tłum z tyłu, co nie znaczy, że im się udało. Szybciutko wsiadły do pancernych limuzyn, zostawiając stolicę dziarskim chłopcom pod zielonymi sztandarami.

Post factum Jarosław „Ogniu, krocz za mną" Kaczyński ogłosił ostatnią wersję prawdy: „wspólny marsz to ogromny sukces". Zaiste, tylko nie wiadomo czyj. Dym się jeszcze nie rozwiał. ©

Lektor:
Powrót ważnej książki

▪ *Stanisław Barańczak*
TABLICA Z MACONDO. OSIEMNAŚCIE PRÓB WYTŁUMACZENIA, PO CO I DLACZEGO SIĘ PISZE
Posłowie Joanna Szczęsna.
Wydawnictwo a5,
Kraków 2018, ss. 350.

Trudno uwierzyć, ale to jest pierwsze krajowe wydanie jednej z najważniejszych książek Stanisława Barańczaka! I pierwsze jej wznowienie od 1990 r., kiedy ukazała się w londyńskim Aneksie. Osiemnaście tekstów ułożonych w sześć rozdziałów powstało w latach 80., w pierwszej amerykańskiej dekadzie autora, który w marcu 1981 r. wyjechał, by przez trzy lata wykładać na Uniwersytecie Harvarda. Trzy lata, podczas których wprowadzono w Polsce stan wojenny... Po wygaśnięciu kontraktu uniwersytet zaoferował Barańczakowi dożywotni etat, pierwsze odwiedziny kraju to dopiero rok 1990. „Tablica z Macondo" jest przede wszystkim wspaniałą lekcją czytania literatury, ale też zapisem autobiograficznego doświadczenia. I wyznaniem wiary poety, ujętym wprost w ostatnim eseju, „O pisaniu wierszy". „Poezja to nic innego jak wyzwanie rzucone niesprawiedliwości wpisanej w prawa wszechświata – prawa, zależnie od wyznawanej przez nas filozofii, »naturalne«, »naukowe« czy »ustanowione przez Boga«, ale zawsze sprzeczne czy co najmniej rozbieżne z tym, czego oczekujemy od życia". Nasze oczekiwania „stanowią jedyną dostępną nam skalę mierzenia rzeczywistości – skalę, której podziałką są rozmaite stopnie bólu". Ten esej domyka kompozycyjnie całość otwartą innym szkicem-wyznaniem, opowieścią o pisaniu wiersza żegnającego zmarłą w listopadzie 1982 r. Gajkę, żonę Jacka Kuronia.

Zwycięskie wyzwanie rzucone Nicości, „zemsta ręki śmiertelnej", jak to nazwała Wisława Szymborska, gest egzystencjalny niesłychanie poważny, a zarazem przynoszący ekstatyczną radość – takie rozumienie literatury przenika całą książkę. Znajdziemy w niej analizy „Świtów" Miłosza, „Balu w Operze" Tuwima, „Poematu dla dorosłych" Ważyka i „Pana Cogito o cnocie" Herberta, szkice o Norwidzie, Schulzu, Havlu, Brodskim i o tłumaczonych przez Barańczaka poetach angielskich (Donne, George Herbert, Marvell, Hopkins). Rozdział zatytułowany „Tłumacząc samego siebie (i samemu sobie)" jest przenikliwym zapisem doświadczenia „przybysza z innego świata", wrzuconego w amerykańską rzeczywistość i wrastającego w nowy język. A dlaczego „Tablica z Macondo" i jaki ma związek z tablicami rejestracyjnymi samochodów w stanie Massachusetts? Kto nie wie, niech przeczyta brawurowy esej tytułowy. No i pozostałe też. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Cebulowe łzy

Dwa pięćdziesiąt. Po tyle ostatnio widziałem cebulę na warszawskim Wolumenie. Jednym z ostatnich miejsc w lewobrzeżnej stolicy, gdzie w zwyczajnym otoczeniu zwyczajny mieszkaniec może spotkać zwyczajnego ogrodnika. Hasła powrotu do lokalności i więzi ze sprzedającymi brzmią tu jak pocztówka z innej planety, bo nikt od lokalności nie odchodził. Może dlatego wszystko wygląda tak siermiężnie i byle jak, krzywo i błotniście, bo taka przeważnie jest polska lokalność. Kochana, ale niewyględna. Jej nienachalne piękno znaczy czerwono-żółto-brązowa mozaika jabłek w skrzynkach z nieco przegniłych deszczułek wyłożonych starą gazetą. Cézanne umiałby się na tym poznać, zwłaszcza szare renety bronią się przed terrorem czystości palety. Ale to wszystko rozkłada się chaotycznie na krzywo położonym bruku, pośród otoczenia niemającego najmniejszej ambicji do ładu i harmonii. Wizualna glątwa – mentalna zresztą również. Takie to wszystko tutaj... kukizowe.

Wróciłem tam na chwilę, jak syn marnotrawny, by podpisać wyłożoną na straganach petycję w obronie targu przed odnowionymi zakusami deweloperów. Nowa (a jakby całkiem stara) władza samorządowa ma teraz okazję przełamać krzywdzący ją może stereotyp, że jedyny znany jej sposób rozwoju miasta to budować, budować i jeszcze raz budować – pozostałe nieliczne szczeliny przestrzeni niech wypełni równiutka kostka bauma i jednorazowe drzewka w donicach. No i przy tej okazji coś mnie tknęło przy skrzynce z cebulą. Przy takich cenach jak dwa, trzy, nawet cztery złote za kilo łatwo zignorować skoki i spadki: człowiek bierze tyle, ile chce, i się nie zastanawia nad ceną, szczęśliwy, że się pozbędzie drobniaków zalegających w kieszeni. Aż któregoś dnia się okazuje, że musi sięgnąć do portfela po całkiem poważny papierek.

Po powrocie sprawdziłem: intuicja mnie nie myliła. W ciągu roku cebula na rynku hurtowym i targach zdrożała dwukrotnie, albo i więcej. Wszystko przez to, że jest jej mało, głównie z powodu ciepła i suszy. Gdyby benzyna podwoiła cenę, mielibyśmy tu już dawno polityczny armagedon, aż śmiesznie brzmi porównywanie takiej koszmarnej perspektywy z drożyzną cebuli czy pietruszki (podskoczyła jeszcze bardziej) – a jednak nie daje mi to spokoju, każe myśleć o samych groźnych wydarzeniach, które czają się za rogiem. Przewodniczący Tusk ostatnio mówił, że jak jeździ po Europie, to spotyka wszędzie polityków czekających usilnie na przyjazd arcyksięcia Ferdynanda, modlących się o wielką nową pożogę (zwaną w języku nowej epoki resetem). Tyle tylko słyszę o europejskich sprawach, ile w radiu podadzą, gdy skubię brukselkę na obiad, ale wiem jedno: jakby miało zabraknąć cebuli, to i ja nie daję złamanego grosza za obecny ład.

Gdybym zażądał od was odpowiedzi prosto z mostu, bez zastanawiania się, ile razy w ciągu zeszłego tygodnia jedliście cebulę, nie byłoby łatwo policzyć. Może ktoś by sobie przypomniał wątróbkę smażoną w zeszły czwartek albo poranną niedzielną jajecznicę czy gotową sałatkę śledziową lub tatara, ewentualnie cebulowe krążki z indyjskiej knajpy. Po paru minutach namysłu okazałoby się, że jedliśmy ją parę razy dziennie, codziennie, w prawie wszystkim, co wymaga jakiejkolwiek pracy bardziej złożonej niż przekrojenie chleba i posmarowanie go masłem. Większość tego, co jemy, ma jako jeden z substratów smakowych charakterystyczne słodko-ostre połączenie. W archiwum naszego kącika kulinarnego słowo „cebula" występuje ponad dwieście razy (statystykę zaniżają przepisy na ciasta). Cebula dodaje wszystkiemu głębi, wzmacnia odczuwanie wielu smaków, a dzięki niej umami jest bardziej, by tak rzec, umamiaste, stąd jej zbawienne działanie w sytuacjach, gdy musimy oszukać podniebienie, żeby np. nie czuło braku mięsa w potrawie.

Jakimi to dokładnie ścieżkami przebiega, o to pytajcie biochemików, chociaż wcale nie jest tak, żeby i oni mieli jasność. Na pewno zdążyli już dokładnie zbadać, dlaczego płaczemy, krojąc cebulę – jest w tym procesie pewna zasada, niestety powszechna nie tylko w kuchni: pewne związki siarki stykając się z płynem łzowym, który pokrywa nasze oczy, doprowadzają do powstania kwasu siarkowego, co wyciska obronne łzy – im bardziej zaś mokre mamy oczy, tym intensywniej ta reakcja zachodzi i tym więcej kwasu powstaje, na co reagujemy jeszcze obficiej płacząc i tak to się zapętla. Nie mamy nad tym żadnej rozumowej kontroli, więc pozostaje ucieczka z kuchni albo imanie się tzw. sposobów. Ale niejednej politycznej spirali, przez którą toniemy zbiorowo w kwasie, dałoby się drobnym wysiłkiem woli uniknąć. ©℗

Sposoby na uniknięcie łzawienia wydają mi się trudniejsze do ogarnięcia niż perspektywa chwilowego płaczu, zwłaszcza gdy trzeba obrobić tylko jedną-dwie cebule. Ale mam w kuchni schowaną maskę do nurkowania – zwykłe gogle narciarskie nie wystarczą, trzeba mieć zakryty również nos – i nakładam ją, gdy muszę dokładnie posiekać dużą ilość. A czynię to, gdy nachodzi mnie ochota na tartę z karmelizowaną czerwoną cebulą. 4 spore czerwone cebule kroimy na cieniutkie piórka. Na patelni rozgrzewamy 4 łyżki oliwy, wykładamy cebulę, mieszamy, dusimy minutę, dosypujemy 4 łyżki cukru pudru, dokładnie mieszamy, przykrywamy, dusimy na malutkim ogniu, aż porządnie zmięknie (ok. 20 minut). Dajemy sól, wlewamy 4 łyżki octu balsamicznego, przyprawiamy oregano, dusimy jeszcze 10 minut. Tak przygotowaną cebulę wykładamy na uprzednio podpieczony kruchy spód, który posmarowaliśmy polską pseudofetą (tzw. serek sałatkowy) rozrobioną z odrobiną śmietany i doprawioną oregano. Pieczemy w 180 stopniach ok. 15 minut, aż ciasto się porządnie zrumieni.

PIXABAY

POLSKA SZKOŁA ŚWIĘTOWANIA

Nie ma jednej Polski, która mogłaby wspólnie przeżywać rocznicę niepodległości. Której radość, duma i nadzieja wyraziłyby się w jednym, kolektywnym zrywie. A może nigdy jej nie było?

MARCIN NAPIÓRKOWSKI

100 STULATKÓW NA 100-LECIE" – TAKI POMYSŁOWY TYTUŁ nosi akcja zorganizowana przez wrocławskie centrum historii Zajezdnia, bardzo skądinąd ciekawa i wartościowa. W ramach projektu grupa seniorów podzieli się wspomnieniami w formie krótkich nagrań.

Program Trzeci Polskiego Radia przygotował listę stu najważniejszych polskich książek. Na analogiczny pomysł – stworzenia nowego kanonu stu lektur – wpadł tygodnik „Polityka".

Radio Zachód przedstawia listę stu najważniejszych piosenek, a Program Drugi jak zwykle uderza w poważniejsze tony i we współpracy z Polskim Wydawnictwem Muzycznym wydaje „Sto utworów na stulecie niepodległości". Pomysł zachwala sam wicepremier Piotr Gliński, minister kultury i dziedzictwa narodowego, mówiąc, że muzyka „nie tylko daje możliwość celebrowania tej wyjątkowej rocznicy w sposób godny i uroczysty, ale daje poczucie wspólnoty kulturowych działań i społecznego porozumienia między podziałami. Jest także jednym z najskuteczniejszych wehikułów komunikowania polityki kulturalnej naszego kraju".

Dla wzrokowców były wystawy: sto obrazów na stulecie, sto pereł polskiego wzornictwa lub sto plakatów niepodległościowych (ale tu trzeba pofatygować się aż do Paryża). Dla ludzi interesu polecam listę stu najważniejszych polskich firm, także zestawioną z okazji stulecia. Jest też możliwość (kolektywnego) oddania stu litrów krwi, pokojowo.

STO NA STO – TEN KONCEPT URASTA DO RANGI SYMBOLU TRWAJĄCEJ ROCZNICY. Sto piosenek, sto drzew, sto stumetrowych ciast i sto multimedialnych ławeczek przemnożone przez sto różnych projektów finansowanych w ramach setki konkursów. Łącznie daje to symboliczny milion pomysłów, które nie składają się w żadną spójną całość. Może to tylko przypadek, wypadek przy pracy, rezultat czyjegoś zaniedbania?

Czy sto całkowicie niepowiązanych pomysłów na to, jak świętować stulecie pod wspólnym dachem, to wymowny symbol tego, jaka jest dziś nasza ojczyzna? Nie ma (a może nigdy nie było?) jednej Polski, która mogłaby wspólnie przeżywać tę rocznicę, której radość, duma i nadzieja wyraziłyby się w jednym, kolektywnym zrywie.

A może to wcale nie wina Polski albo Polaków, lecz raczej znak czasów? W inflacji niepodległościowych inicjatyw odbija się współczesny sektor kultury – rozdrobniony i podporządkowany logice projektów, eventów i sponsoringów. Neoliberalizm polega właśnie na tym, że państwo abdykuje, wycofując się z coraz liczniejszych obszarów życia w przekonaniu, że problemy najlepiej rozwiąże wolny rynek. Rezygnuje tym samym z kluczowych prerogatyw, delegując je na zewnętrzne podmioty. To system, który niewątpliwie ma swoje zalety. Premiuje najlepszych, buduje konkurencyjność, sprzyja przynajmniej niektórym oddolnym inicjatywom. Ale ten sposób działania w kulturze ma też swoje koszty, które stulecie naszej niepodległości dobrze pokazuje. Tymczasowość, rozdrobnienie, brak zdolności i chęci do podejmowania inicjatyw trudnych, złożonych, długofalowych.

Wygląda na to, że na stulecie nie doczekamy się niczego, co porównać można by było z tysiącem szkół na tysiąclecie państwa polskiego.

Odbiór pociągu elektrycznego ELF II przez władze województwa podkarpackiego, 27 września 2018 r.

KRZYSZTOF KAPICA / POLSKA PRESS / EAST NEWS

DRZEWO JEST W MITOLOGIACH CAŁEGO ŚWIATA JEDNYM Z NAJCHĘTNIEJ EKSPLOATOWANYCH SYMBOLI. Drzewo to *axis mundi* – oś świata. Symboliczne centrum kosmosu, a zarazem pionowa oś łącząca to, co ziemskie, z niebem i piekłem. W ten sposób pisał o niej Mircea Eliade: „Aby móc żyć w świecie, trzeba go ustanowić – żaden świat nie powstanie zaś w »chaosie« homogeniczności i względności przestrzeni świeckiej. Odkrycie lub wyprojektowanie punktu stałego, »centrum«, jest podobne do stworzenia świata". To właśnie ten pierwotny gest pokonania potwora i ustanowienia ładu w miejsce chaosu powtarzamy potem w rytuałach. To dlatego tak wiele mitów, legend i pieśni rozpoczyna się od wizji stojącego w polu drzewa.

I być może dlatego motywem przewodnim wielu rocznicowych inicjatyw są drzewa. Z okazji rocznicy planowane jest między innymi zasadzenie dębu pamięci „Stulatek", wiele różnych akcji sadzenia stu drzew, stu dębów, nieco skromniejsza inicjatywa posadzenia stu krzewów, ale także porażająca rozmachem akcja „100 tysięcy drzew na stulecie niepodległości".

Najwięcej uwagi przyciągnął chyba orzeł z tysięcy drzew, którego Nadleśnictwo w Lipuszu sadzi na terenie spustoszonym wcześniej przez wichurę. Sylwetka naszego godła widoczna będzie z lotu ptaka (albo samolotu) i obejmie powierzchnię 11 hektarów (rozpiętość skrzydeł wyniesie 300 m).

Zamiast drzewa mamy więc las. O ile jednak drzewo symbolizuje punkt orientacyjny i ambicję ustanowienia trwałego porządku, o tyle las jest raczej metaforą zagubienia, braku orientacji.

„GDZIE SIĘ PODZIAŁO 200 MILIONÓW NA OBCHODY 100-LECIA ODZYSKANIA NIEPODLEGŁOŚCI?" – pyta Oko.press. To jeden z bardziej wyważonych nagłówków po tym, jak 2 listopada posłowie Nowoczesnej złożyli do wicepremiera Piotra Glińskiego interpelację, w której wyrażają zaniepokojenie „w związku z powszechnie panującym przekonaniem o porażce obchodów 100-lecia niepodległości Rzeczpospolitej Polskiej" i pytają o sposoby wydatkowania 238 milionów złotych, jakie w budżecie przeznaczono na realizację wieloletniego programu „Niepodległa".

Gliński odpowiadał niemal natychmiast. Na stronie Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego pojawiała się „Informacja na temat działań MKiDN związanych ze 100-leciem odzyskania niepodległości", w której czytamy między innymi, że „zgodnie z zapisami Programu wydatki w jego ramach nie mogą być wydatkami ponoszonymi na realizację uroczystości oficjalnych organizowanych przez urzędy administracji rządowej i samorządowej. Wydatki nie mogą być również wydatkami inwestycyjnymi, w tym na budowy i remonty nieruchomości, włączając w to upamiętnienia". Oznacza to, że przeznaczone na realizację programu pieniądze nie zostały zagubione czy sprzeniewierzone, lecz wydane zgodnie z założeniami programu na dofinansowanie setek drobnych inicjatyw. Czy zostały rozmienione na drobne?

WIDZIAŁEM OSTATNIO MAPĘ PUBÓW W WIELKIEJ BRYTANII, krążącą jako popularny internetowy żart. Tysiące narysowanych na niej pinezek-znaczników pokrywały po prostu Wyspy jednolitą plamą czerwieni, z której nie wyłaniał się żaden wzór. Dokładnie tak samo wygląda mapa obchodów umieszczona na stronie programu: niepodlegla.gov.pl. W całej Polsce odbędą się w ramach świętowania setki wydarzeń o bardzo różnym charakterze, ↦

adresowanych do różnej publiczności. Od pikników rodzinnych w niewielkich gminach po monumentalny koncert na Stadionie Narodowym.

Jak to rozdrobnienie wygląda od strony samych organizatorów? Zadzwoniłem do kilku podmiotów, które ubiegały się o dotacje w ramach programu „Niepodległa" – z sukcesami lub bez. Ich opowieści są bardzo podobne do tych, jakie słyszałem już wielokrotnie od ludzi pracujących „w kulturze": niepewność i tymczasowość finansowania, niejasne kryteria oceny, brak informacji zwrotnej, wszystko na ostatnią chwilę.

Izabella Sasin kieruje wołomińską fundacją Ogarnij Emocje. Składała wniosek na dofinansowanie projektu „Patriotyzm widziany młodymi oczami", w ramach którego przygotowane zostałyby „mural, gra miejska między regionami tutaj, działania dotyczące bitwy z roku 1920...".

Niestety, muralu nie zobaczymy. Podobnie jak „Happeningu Patriotycznego 2017", który miał odbyć się w Radomyślu nad Sanem (z autorką tego projektu także rozmawiałem). To tylko dwa z niemal tysiąca wniosków, które w badanych przeze mnie konkursach przepadły. Za każdym kryją się godziny pracy, która nie przyniesie żadnego pożytku.

– Co najmniej cztery miesiące od pomysłu do złożenia – skarży się Izabella Sasin. – To jest praca codzienna, to są rozmowy po prostu, burze mózgów, każdy dział, każdy element tego całego wniosku to jest konkretna osoba. Nie jest tak, że wniosek złoży jedna osoba, która ma swoje wizje. Tyle, ile tam jest wątków, tylu ludzi pracuje przy tym, wchodzą jeszcze w to wolontariusze, którzy mają swoje wizje.

Oto wstydliwe kulisy stulecia niepodległości, a zarazem codzienna rzeczywistość ludzi tworzących kulturę. Godziny spędzone na pisaniu projektów, z których tylko nieliczne doczekają się finansowania i realizacji.

Trzeba walczyć o pieniądze z projektów, tłumaczy mi z kolei Teresa Lachowska, dyrektorka Gminnego Centrum Kultury w Radomyślu nad Sanem: – Małe gminy nie mają łatwo. Budżet nie jest duży, bo to się liczy na mieszkańca. Są gminy, co może mają sponsorów bogatych. Ale my nie mamy takich sponsorów, czasem ktoś może da 500 zł czy 400... Jak słyszę, że ktoś jakieś gwiazdy zaprasza po kilkadziesiąt tysięcy, to ja tego nie rozumiem. My całe duże dożynki robimy za 25 tysięcy.

– To działa mniej więcej w ten sposób: najpierw piszemy w próżnię, czekamy długo, długo, dostajemy 5 minut na zrealizowanie – wyjaśnia Sasin.

I żeby było jasne, to nie tylko głosy rozgoryczonych, którzy tym razem dotacji nie dostali. Bardzo podobne słowa słyszę od autorki jednego z dofinansowanych projektów, pracującej w ośrodku kultury w jednej z niewielkich miejscowości na Mazowszu: – My piszemy dużo projektów, jesteśmy cały czas projektowi. Pisaliśmy też w tym roku i niestety nie przeszedł. Robimy sami, realizujemy sami, za free, nie są zatrudnione żadne dodatkowe osoby.

Pytam ją, jak ten system świętowania stulecia ocenia z perspektywy wykonawcy.

– System może jest dobry, tylko nie jest motywacyjny dla nas, stałych pracowników. Pracownik musi się do tego przygotować, obmyślić plan, załatwić, zrealizować, rozliczyć, ale nie ma żadnej motywacji, robimy to za darmo – odpowiada.

Oto wstydliwe kulisy stulecia niepodległości, a zarazem codzienna rzeczywistość ludzi tworzących w Polsce kulturę. Walka o granty, dotacje, dofinansowania. Godziny spędzone na pisaniu projektów, z których tylko nieliczne doczekają się

Mieszkańcy Przasnysza wykonali stukilometrowy łańcuch z papieru na stulecie odzyskania niepodległości, czerwiec 2018 r.

INFOPRZASNYSZ.COM

HANNA BARDO / PAP

Stumetrowe ciasto zaprezentowane w Chorzowie przez uczniów i nauczycieli Zespołu Szkół Gastronomiczno-Usługowych, 4 października 2018 r.

kiedykolwiek finansowania i realizacji. Opóźniające się rozstrzygnięcia, krótki czas na wydanie i rozliczenie środków, a potem kolejne godziny poświęcone na wypełnianie sprawozdań.

STUMETROWE CIASTO CHCIELI UPIEC UCZNIOWIE ZE SZKOŁY GASTRONOMICZNEJ W CHORZOWIE. Ostatecznie wyzwanie logistyczne nieco ich przerosło i powstało coś w rodzaju węża czy dżdżownicy złożonej z setek mniejszych ciast. Całość udekorowano jednak kremem budyniowym, a w dodatku akcji towarzyszyło wysyłanie kartek do powstańców warszawskich. Sto okolicznościowych kolorowanek otrzymały przedszkolaki z gminy Strzałkowo. Spadochroniarze z Bielska nie zaskoczyli oryginalnością i z okazji rocznicy oddali sto skoków. Z kolei na lotnisku Aeroklubu Kujawskiego, w ramach Gminnego Święta Latawca 2018, wypuszczono sto biało-czerwonych latawców. W Kielcach podziwiać można stumetrową flagę, a w Wojtkowie (woj. łódzkie) narodził się pomysł, by stulecie niepodległości upamiętnił stumetrowy krzyż, „znak wdzięczności, szacunku i pamięci". Sto kilometrów biało-czerwonego łańcucha z papieru wykleją mieszkańcy powiatu przasnyskiego.

Ten łańcuch z papieru to dla mnie jeden z najlepszych symboli obchodów stulecia.

Trwałość to „bardzo słaby punkt organizacji, które myślą najczęściej w kategoriach projektowych, a nie rozwiązywania problemu czy ustanowienia trwałych mechanizmów" – przekonuje w wywiadzie dla portalu NGO.pl Radosław Jasiński, dyrektor programowy Polsko-Amerykańskiej Fundacji Wolności. „Problemy największe to grantoza, projektoza i będący jej skutkiem projektariat, szczególna forma prekariatu – tłumaczy z kolei na swoim blogu Edwin Bendyk. – Te patologie nie są jednak cechą szczególną trzeciego sektora, tylko powielają model upowszechniający się wraz z neoliberalizacją państwa i sektora publicznego, który świadczenie usług publicznych powierza rynkowi i właśnie trzeciemu sektorowi – w poszukiwaniu większej efektywności (czytaj – by zaniżyć koszty)".

Projektoza wytwarza projektariat, czyli ludzi uwięzionych w tymczasowym zatrudnieniu, podpisujących nowe, czasowe umowy z projektu na projekt. Kuba Szreder napisał o nim książkę „ABC Projektariatu", gdzie tłumaczy: „Projekt jest naszym sposobem na przeżycie, nadaje rytm pracy, organizuje czas wolny, dostarcza dreszczyku emocji, pozwala zachować »niezależność«. Życie w projekcie, poza instytucjonalnym jarzmem, ma swój niezaprzeczalny urok. ABC Projektariatu czar projektowej egzystencji rozkłada na części pierwsze. Życie w projekcie oznacza przecież zarówno »niezależność« i niepewność, swobodę i konkurencję, mobilność i ryzyko, kreatywność i depresję, podłączenie i wykluczenie".

STUKILOMETROWY ŁAŃCUCH Z PAPIERU, SPEKTAKULARNY I KOLOROWY DO PIERWSZEGO DESZCZU. Tak mocny, jak jego najsłabsze ogniwo. Oto materiał, z którego budujemy obchody stulecia niepodległości.

Sto kilometrów na stulecie niepodległości można przebyć maszerując, jadąc rowerem, biegnąc w sztafecie, a nawet wiosłując na ergonometrze. Dla prawdziwych twardzieli jest akcja „100 pompek dla Niepodległej". Można też wziąć udział w wyzwaniu „100 wyczynów na stulecie niepodległości": „Twórcy projektu wybrali 100 miejsc, które warto zobaczyć, a przy okazji odwiedzin wykonać zadanie, czy raczej wyczyn, którego efektem – jeśli tylko mamy ochotę – możemy podzielić się na Instagramie, opatrując specjalnym hashtagiem".

A więc raczej wyczyny niż czyny. I sto różnych hashtagów na stulecie niepodległości, choć hashtagi powinny przecież służyć temu, żeby komunikację uspójniać, by wielogłos użytkowników złączyć w jakąś harmonię. ↦

↦ Fragmenty. Skrawki. Odłamki. Na stulecie niepodległości Polska przegląda się w potrzaskanym zwierciadle. Sformowaliśmy chór, który śpiewa setką mocnych, dźwięcznych głosów. Tyle tylko że każdy wykonawca zdecydował się w ostatniej chwili na inną pieśń patriotyczną.

ROZMIENIENIE ROCZNICY NA DROBNE I SCEDOWANIE JEJ ORGANIZACJI PRZEZ PAŃSTWO NA INNE PODMIOTY sprawiło, że w miejscu, gdzie wszyscy spodziewalibyśmy się wielkiej państwowej uroczystości, zieje niepokojąca pustka. Co tego dnia będą robić premier i prezydent, pytają dziennikarze. Gdzie będzie to jedno, najważniejsze wydarzenie? Kiedy wypadnie uroczysty moment będący odpowiednikiem zdmuchiwania świeczek na torcie albo wspólnego odliczania do północy?

Prezydent Andrzej Duda 11 listopada miał uczestniczyć m.in. w mszy w Świątyni Opatrzności Bożej oraz w uroczystej zmianie warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza, w trakcie której punkt kulminacyjny będzie miała jedna z rocznicowych akcji – „Niepodległa do hymnu". O godz. 14 z kolei nadawać miał ordery Orła Białego m.in. Marii Skłodowskiej-Curie, Januszowi Korczakowi i Romanowi Dmowskiemu.

Premier Mateusz Morawiecki tymczasem zapraszał wszystkich (także polityków opozycji) na piknik patriotyczny „Urodziny Niepodległej". W opisie imprezy czytamy, że będzie to rodzinne święto z wojskowymi pokazami, grochówką, dmuchanym placem zabaw i koncertem Stachurskiego. Całość zamknie pokaz fajerwerków. Nad tym piknikiem unosi się złowrogi cień orła z czekolady, którego nad Polskę wypuścił w swoim czasie Bronisław Komorowski.

Przez dłuższy czas wydawało się więc, że jedynym wyraźnym akcentem urastającym do rangi centralnego rytuału pamięci stanie się Marsz Niepodległości. Ma już swoją tradycję i na dobre wpisał się w pejzaż obchodów 11 listopada. Był nawet moment, gdy prezydent Andrzej Duda zapraszał na niego przedstawicieli różnych opcji politycznych. Szybko jednak okazało się, że związani z ONR i Młodzieżą Wszechpolską organizatorzy są zbyt kontrowersyjnymi gospodarzami i sam prezydent, choć innych zapraszał, na marsz się nie wybierze.

Aż nagle w czwartek, na trzy dni przed 11 listopada, Hanna Gronkiewicz-Waltz marsz zdelegalizowała. Już kilka godzin później, po spotkaniu Dudy i Morawieckiego, ogłoszono decyzję o zorganizowaniu pod patronatem Prezydenta RP „Biało-Czerwonego Marszu", na który zaproszeni są wszyscy. Ogłoszono, że wydarzenie będzie miało charakter uroczystości państwowych. Przypadkiem odbędzie się dokładnie na trasie zdelegalizowanego marszu narodowców. Ostatecznie stronom udało się dojść do porozumienia i ulicami Warszawy przeszedł względnie spokojny wspólny marsz.

Na kilka dni przed zapowiadanym od miesięcy stuleciem oglądaliśmy więc nagłe wypełnianie symbolicznej pustki, organizację w popłochu centralnych obchodów i nieoczekiwane upaństwowienie marszu organizowanego przez nacjonalistów. Medialny obraz rocznicy i rozmowy przy rodzinnych stołach zdominowała nie pamięć o przeszłości ani nadzieja na przyszłość, lecz utyskiwania na „odwieczne narodowe wady": brak zgody, chaos, prowizorkę. Na stulecie niepodległości urządziliśmy rekonstrukcję historyczną, demonstrując przywary, które doprowadziły do jej utracenia.

Stukilometrowy łańcuch z papieru, spektakularny i kolorowy do pierwszego deszczu. Tak mocny, jak jego najsłabsze ogniwo. **Oto materiał, z którego budujemy obchody stulecia niepodległości.**

DLA TYCH, KTÓRZY NIE MOGĄ SIĘ ZDECYDOWAĆ, JEST STO POLSKICH OSOBLIWOŚCI ALBO PO PROSTU „STO NAJ", czyli „plastyczno-muzyczny projekt warsztatowy polegający na ukazaniu na 100-lecie Niepodległości Polski stu największych, najciekawszych, najładniejszych obiektów: zwierząt, ludzi, budynków (najciekawszy człowiek, najładniejszy pałac, najpiękniejszy kwiat, najśmieszniejszy ubiór itp.). Ma na celu rozwijanie zdolności manualnych u dzieci, rozwijanie uzdolnień muzycznych, zapoznanie z przyrodą i historią Polski, zdobycie ciekawych wiadomości...".

Do redakcji Wirtualnej Polski nadsyłać można... przymiotniki w ramach akcji „Polska Pro100": „Na stulecie niepodległości chcemy dowiedzieć się, jaka jest Wasza Polska. Piękna? Ważna? A może smaczna? Na adres polskapro100@grupawp.pl wyślijcie nam jeden przymiotnik, który Waszym zdaniem najlepiej opisuje Polskę. I wyjaśnijcie, dlaczego akurat ten przymiotnik jest dla Was najbardziej odpowiedni". Aż się boję, co też pomysłowi internauci redaktorom nadesłali.

BRAK ZAGRANICZNYCH GOŚCI WYSOKIEJ RANGI NA PAŃSTWOWYCH UROCZYSTOŚCIACH wielu komentatorów uznaje za dowód na słabość pozycji naszego kraju pod rządami PiS. To nie takie proste. Problem tkwi głębiej. Polska pamięć zbiorowa o roku 1918 jest bardzo niekompatybilna z pamięcią większości Europy. W dniu, w którym Francuzi, Niemcy czy Brytyjczycy świętują przede wszystkim koniec Wielkiej Wojny, my celebrować będziemy wyłącznie odzyskanie niepodległości.

Bo obsesja niepodległości przysłania nam wszystko, co bezpośrednio z nią nie związane. Nawet na pamięć o uzyskaniu praw wyborczych przez kobiety niewiele miejsca pozostało w naszym kalendarzu świętowania. Także dlatego świętujemy osobno. A niepodległość Polski widziana osobno, w oderwaniu od globalnego czy europejskiego kontekstu, nie interesuje Francuzów, Niemców czy Amerykanów.

SKORO KAŻDY CHCE WSIĄŚĆ DO BIAŁO-CZERWONEGO POCIĄGU Z NAPISEM NIEPODLEGŁOŚĆ, TO CZASEM TRAFI SIĘ TEŻ PASAŻER NA GAPĘ. Setną pracownię multimedialną ufundowała właśnie firma Orange. „Fundując setną Pracownię chcemy uczcić stulecie odzyskania przez Polskę niepodległości i pokazać poprzez oddolne, obywatelskie inicjatywy nowoczesny wymiar patriotyzmu" – przekonuje Jean-François Fallacher, prezes Orange Polska. Kusi też „wyjątkowa promocja w Biedronce!": „W setny dzień roku, w którym Polska obchodzi stulecie odzyskania niepodległości, przygotowaliśmy 100 produktów ze 100-procentowym rabatem".

Jan Pietrzak opowie sto żartów: „Osobiście opowiem sto żartów. Będą one z różnych czasów. Sprzed wojny, z PRL i oczywiście żarty współczesne. Obiecuję humor w dużych ilościach".

A wszystkim zmęczonym świętowaniem Episkopat Polski proponuje sto dni abstynencji. © MARCIN NAPIÓRKOWSKI

REKLAMA

XXVII FESTIWAL ARS CAMERALIS

FAJNY FESTIWALIK

8 XI – 23 XI 2018

Cień słońca

KAMERALNY FESTIWAL SZTUK ROZMAITYCH

BILETY DOSTĘPNE NA

WWW.ARSCAMERALISFESTIWAL.PL

ORGANIZATORZY:

Ars Cameralis Silesiae Superioris

ARS CAMERALIS JEST INSTYTUCJĄ KULTURY SAMORZĄDU WOJEWÓDZTWA ŚLĄSKIEGO

Śląskie.

REKLAMA

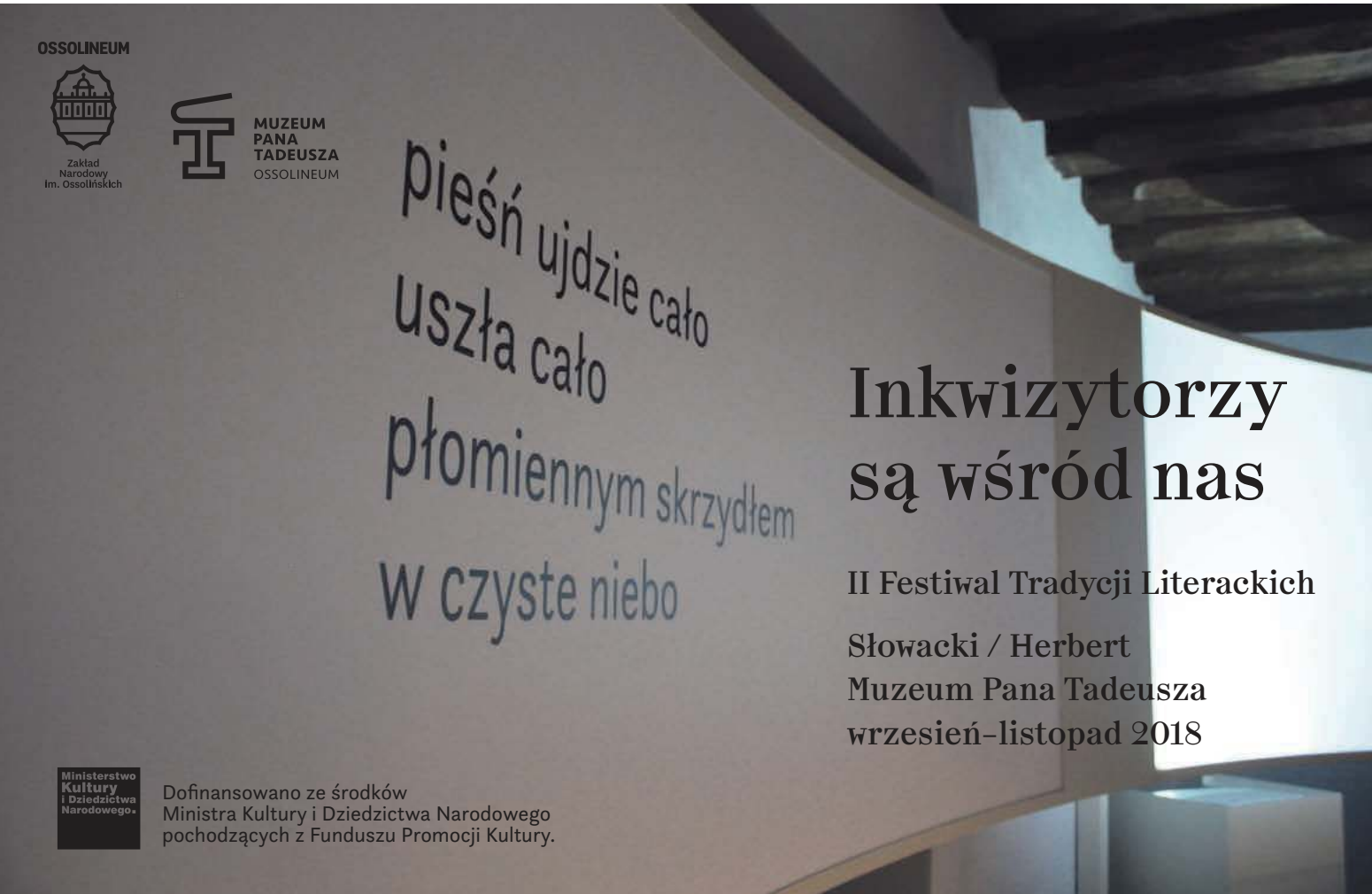

OSSOLINEUM

Zakład Narodowy Im. Ossolińskich

MUZEUM PANA TADEUSZA OSSOLINEUM

Inkwizytorzy są wśród nas

II Festiwal Tradycji Literackich

Słowacki / Herbert
Muzeum Pana Tadeusza
wrzesień–listopad 2018

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków
Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

STANISŁAW

Mancewicz:
O nowych uczuciach

Oczywiście słusznym jest postulat, by ostatnie posiedzenie komisji śledczej polskiego parlamentu obowiązkowo pokazywać dzieciom w ramach zajęć „Jak się nie zachowywać i jak nie mówić do dorosłych". To jasne. Ale także winien być to materiał dla psychologów, menedżerów i biznesmenów. Był to bowiem fantastyczny spektakl, w którym dziewięcioro dorosłych, starających się osób przez siedem godzin nie było w stanie zadać ani jednego inteligentnego czy też kłopotliwego pytania jednemu, starszemu, standardowo inteligentnemu panu. Doprawdy wyglądało to też na skrupulatnie wyreżyserowane przedstawienie teatralne, ze znakomicie sporządzonymi dialogami, czy monologami, z wpisaną do scenariusza bezradnością, zadaną aktorom charakterystycznym.

Jest coś jeszcze, co wydaje się umknęło entuzjastycznym analizom tego wydarzenia. Baczna obserwacja członków komisji śledczej potwierdziła dość powszechne obawy, że rozwój technologii ma dojmujący wpływ na pracę mózgu, i jest to wpływ całkowicie demolujący. Oto starzec z pokolenia uformowanego w czasach, gdy jedynym urządzeniem z pogranicza *science fiction* był toster samoczynnie wyrzucający przypieczony kawałek pieczywa, a na telefoniczne połączenie międzymiastowe czekało się dwa dni, próbował bezskutecznie nawiązać kontakt duchowy i oralny z ludźmi stuprocentowo z innych czasów. Gdy człowiek ów coś mówił, cokolwiek, co mogłoby być znakomitą pożywką dla ich reakcji, ludzie ci jakby zaczarowani wpatrywali się w tym czasie w ekraniki swych urządzeń przenośnych, pieszcząc je przy tym czule swymi wyłącznie po to wypielęgnowanymi dłońmi. Widać było bardzo wyraźnie, że dręczy tych ludzi skrajne rozkojarzenie, że ich zdolność skupienia jest zerowa, że ich gruczoły i zęby jadowe są trwale zwiotczałe.

Gdyby przewodnicząca komisji mogła, ogłosiłaby natychmiast, jak bardzo kocha swój smartfon, jego jedwabisty ekranik, jego guziczki oraz jakże kosztowne plecki. Trzeba powiedzieć, że widowisko to bardzo prędko przestało mieć dla nas charakter polityczny, a stało się polem niepokojących obserwacji neurologicznych. Mniemamy skromnie, że w nieodległej przyszłości obrady parlamentu, przesłuchania przed komisjami śledczymi będą polegać na ogłaszaniu zaręczyn z urządzeniami przenośnymi, deklaracjach miłości do aplikacji, bądź także na odwrót, będą one krytykowane i niszczone za pomocą tzw. mowy nienawiści. Obiektem emocji przestanie być człowiek, a stanie się nim urządzenie. Oby! Wyobraźnia maluje nam ruchomy obraz, na którym Gospodarz zmuszony przez nowoczesność, ale w ramach swego żoliborskiego etosu inteligenckiego, z trybuny sejmowej lży jakiś animalny model smartfona, nazywając go mordą zdradziecką. Posiedzenie komisji śledczej było nieśmiałą zapowiedzią przyszłości. Tak sądzimy.

Po tych znakomitych spostrzeżeniach zmienimy teraz obszar obserwowany. Z mikroświata wąsko pojętej sztuki i szeroko pojętego znachorstwa wkroczymy teraz raźno do rozedrganej przestrzeni wulgarnej polityki, posługując się oczywiście olśniewającą erudycją.

Oto, po ostatnich wyborach, w których to mieszkańcy miast polskich odrzucili przejmującą ofertę Gospodarza, dało się zauważyć w szeregach jego zwolenników silne antymieszczańskie wzmożenie o charakterze niesłychanie archaicznym. Miasta są teraz przedstawiane jako źródło wszelakiego występku, zdrady, oszustwa i wyuzdania. Jest mnóstwo tekstów historycznych od początków formowania się organizmów miejskich, których autorzy, dla których tego typu skupiska były szokującą nowością, poddają swe przeżycia tzw. refleksji. Współczesna odmiana tych dywagacji niczym się od starożytnych nie różni. To zaniepokojenie graniczące z paniką, lęk przestrzeni, której nie można ogarnąć ni oswoić. Miasto jawi się w nich jako organizm przerażający, który trzeba w imię – najlepiej Boże – okiełznać, a tak naprawdę zniszczyć. Pojawiają się więc pomysły bynajmniej nie nowe, by mieszczan przede wszystkim reedukować, oczywiście na zdrowej polskiej wsi. By poczuli smak sielskości – za przeproszeniem. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

„Tygodnik” + książka

UDANE POŁĄCZENIE!

Książka ks. Adama Bonieckiego „Połączenie odebrane”▪ W PREZENCIE – dla każdego, kto wykupi do 30 listopada 2018 DOWOLNĄ▪▪ prenumeratę „Tygodnika Powszechnego”!

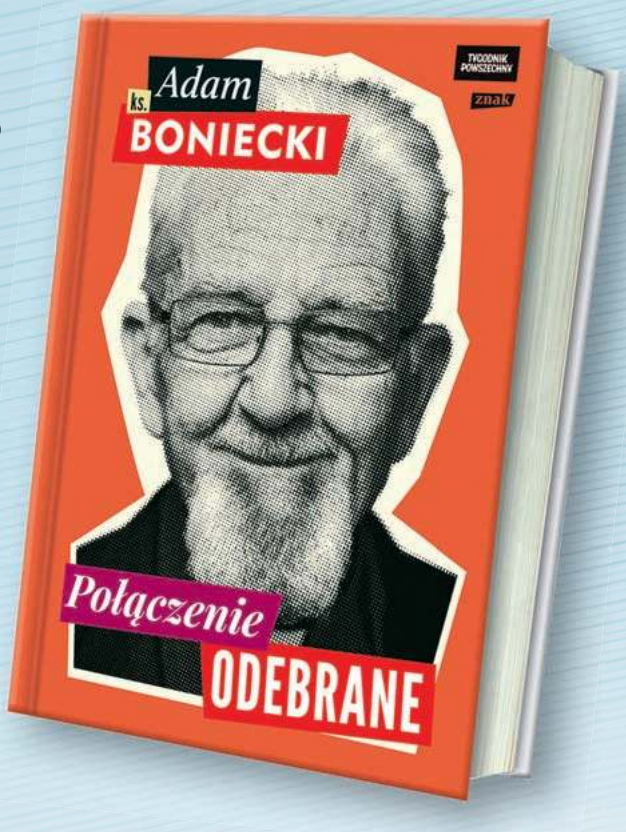

▪ „Połączenie odebrane”, rok wydania: 2018, cena katalogowa – 39,90 pln, stron 224. Wysyłka książki będzie realizowana w styczniu 2019 bez dodatkowych opłat.

▪▪ Aby skorzystać z oferty, należy do 30 listopada 2018 opłacić (wykupić nową lub przedłużyć na kolejny okres) dowolną prenumeratę wydania papierowego „Tygodnika Powszechnego”. Cennik i zasady zakupu prenumeraty opisane są poniżej.

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: Tygodnik Powszechny
  ul. Wiślna 12, 31-007 Kraków
  Bank Pekao SA
  nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987
- opłacenie osobiste w Dziale Prenumeraty „TP”, ul. Wiślna 12 w Krakowie, od poniedziałku do piątku w godz. 9.00–16.00

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa pod nr. tel. 12 431 26 83, tel. kom. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@tygodnik.com.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	339 zł	369 zł
Półroczna (26 numerów)	209 zł	229 zł
Kwartalna (13 numerów)	109 zł	119 zł
Pokolenia	300 zł ▪	

▪ Oferta POKOLENIA 300 zł na rok

Niższa cena za roczną prenumeratę ekonomiczną dla osób, które w dniu zakupu są w wieku poniżej 25 albo powyżej 65 lat.

(Uwaga! zastrzegamy sobie prawo do weryfikacji prawa do ulgi.)

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

TYGODNIK POWSZECHNY

PARTNER MARKETINGOWY SALES MANAGO marketing automation

znak

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

REKLAMA

Kraków
PROJEKT JEST WSPÓŁFINANSOWANY ZE ŚRODKÓW MIASTA KRAKOWA

Teatr im. J. Słowackiego w Krakowie
INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO

MAŁOPOLSKA MOJA WOLNOŚĆ

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego z Funduszu Promocji Kultury